

**REPORTAŻ: DRAMATYCZNY
POWRÓT DO KRAJU PRZEZ
ŚWIAT OGARNIĘTY EPIDEMIA**

**WILDSTEIN:
CZY UE TO
PRZETRWA**

**JANECKI: KIEDY
PRZEPROWADZIĆ
WYBORY**

**ZYBERTOWICZ:
NA RAZIE RZĄDZĄCY
SPROSTALI ŻĄDANIU**

RYBIŃSKA: CZY BRYTYJSKI SPOSÓB NA WIRUSA MA SENS

SIECI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 13 (382) 2020
23–29 marca 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

MINISTER ZDROWIA

ŁUKASZ SZUMOWSKI

W MOCNYM WYWIADZIE

OTO POLSKI PLAN NA WOJNĘ Z EPIDEMIA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



Zostaję w domu

A Ty?



ZAMÓW
E-PRENUMERATĘ

SIECI za **9⁹⁹**
/mc

I NIE WYCHODŹ Z DOMU!

WEJDŹ NA: **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl a379032aa3

Tu tarcza antykryzysowa, tam populizm i polityczna wojna

Niestety nie ma co liczyć, że nasza opozycja, rozgrzana chęcią wywrócenia za wszelką cenę wyniku wyborów z lat 2015 i 2019, doceni cokolwiek z działań rządu premiera Mateusza Morawieckiego i wsparcia udzielanego tym wysiłkom przez prezydenta Andrzeja Dudę.

Nawet przy tak wielkim przychodzącym z zewnątrz kryzysie obowiązuje gra na klęskę, zero merytorycznej rozmowy i szukanie kija, którym można uderzyć (Jarosław Kaczyński ograniczył publiczną aktywność – znaczy ucieka, Andrzej Duda pozostaje aktywny – znaczy nadużywa stanowiska).

Ludzie, którzy za wszelką cenę dążyli do wyprzedaży całego majątku narodowego, dziś nie potrafią powiedzieć „dziękuję”, kiedy się okazuje, iż dzięki ocalałym przed grabieżczą prywatyzacją zasobom możemy szybko uruchomić produkcję płynów do dezynfekcji i inne działania (świetnie postępują m.in. Orlen, KGHM, LOT, Pekao SA, PKO BP, PZU, PGNiG, Energa, Lotos – nikt nie zaspa!).

Ludzie, którzy uważali, że balcerowiczowski darwinizm rozwiązuje wszystko, sami nigdy nie pokazali wrażliwości społecznej, promując wyłącznie grupy już dobrze uposażone, podnosząc drastycznie wiek emerytalny seniorom, dzisiaj się puszą, że oni to by dopiero Polakom w obliczu koronawirusa pomogli. Szczególnie czarnymi literami na tej liście zapisują się działania Donalda Tuska, który wydaje się myśleć jedynie o szukaniu szczeliny, by Polaków podzielić.

Dobrze jednak, że ekipa premiera Morawieckiego się nie przejmuje tym proszeniem o narodowe nieszczęście, tylko robi swoje. Projekt tarczy antykryzysowej to odpowiedź udzielona szybciej, niż czynią to kraje zachodnie. Znowu, jak przy decyzji o zamknięciu szkół i drastycznym ograniczeniu przepływu ludzi przez granicę, Polska podejmuje działania dynamiczne, proaktywne.

Musimy mieć świadomość, że łatwo nie będzie. Nie ma na świecie rządu, który każdej firmie zapewni byt, a każdemu pracę taką, jak miał wcześniej, gdy dynamika społeczna ulega zamrożeniu na kilkanaście tygodni, a może dłużej. Nikt ani nic nie zwalnia żadnego z nas od podejmowania osobistych, odpowiedzialnych i racjonalnych decyzji związanych z życiem osobistym i naszą działalnością gospodarczą.

To, co jest w zasięgu sprawczości rządu, to pomoc tym, którzy będą walczyli, by przetrwać, stymulowanie publicznych działań inwestycyjnych w sytuacji,

gdy wiele prywatnych zostanie wstrzymanych, wzmocnienie tkanki państwowej, by przejść przez kryzys z jak najmniejszymi stratami.

Nie wiem, czy dzisiaj można odpowiedzialnie zrobić więcej. Kto chce wierzyć w bajania opozycji, że każdemu wszystko, każdą stratę zwróci, niech wierzy, ma prawo. Ale ja bym radził ufać doświadczeniu podpowiadającemu, że jak ci ludzie mówią, że dużo dadzą, to będzie odwrotnie – zabiorą. Trzeba mówić prawdę, nazywać sprawy i rzeczy po imieniu. Polacy muszą wiedzieć, że przed nimi zasadniczy, jasny i oczywisty wybór.

Po jednej stronie są rządy profesjonalnej ekipy, fachowców od gospodarki, znających świat i rozumiejących zjawiska globalne, ale realizujących z przekonaniem społecznie wrażliwą politykę formacji Jarosława Kaczyńskiego. To jest ekipa premiera Mateusza Morawieckiego i prezydent Andrzej Duda.

Po drugiej stronie mamy populistyczne pokrzykiwania turboliberalnej ekipy wynoszącej pod niebiosa bolesny okres balcerowiczowski (pełen straconych zakładów, zmarnowanych szans, całych obszarów kraju skazanych na biedę), amatorów władzy, którym pod bokiem skradziono setki miliardów złotych z pieniędzy podatników, dzisiaj dla politycznego zysku przebiegających się w szaty społecznie przejętych polityków.

Tu konkretny, startujący natychmiast plan wsparcia, tam chaotyczne ściganie się na pomysły z kosmosu. Tu stabilny, skoordynowany między wszystkimi ośrodkami władzy kurs, tam polityczna zemsta i nieodpowiedzialność serwowana przez pana Tomasza Grodzkiego w Senacie. To wybór nie tylko polityczny, to fundamentalny wybór, czy ten światowy kryzys rozwój Polski na chwilę tylko spowolni, pewnie boleśnie (to nieuniknione), czy też z tej drogi zawrócimy ku epoce lat 90.

Naród, który w tak trudnym okresie wybrałby przywódców nieodpowiednich, niepoważnych, haratających w gałę i wierzących przede wszystkim w siłę medialnej przewagi obozu III RP, zapłaciłby straszną cenę. Nie poruszamy się przecież w próżni, przypomnijmy sobie lata 2007–2015, ten czas nie tak bardzo odległy.

I pamiętajmy: w programie opozycji jest nadal rozbicie dzielnicowe Polski. Jak byśmy dzisiaj wyglądali, gdyby on wszedł w życie? Wycofanie się z niego to dziś najważniejsze zadanie dla opozycji.

Michał Karnowski





24 Koniec życia w iluzji Maja Narbutt



28 Ten wirus już nie wróci z wirusologiem rozmawia Aleksandra Jakubowska



67 Niezwykłe eksponaty Muzeum II Wojny Światowej Dodatek specjalny

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 KASZANKA MANNA**
Krzysztof Feusette
- 9 NARODOWA KWARANTANNA**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 WIRUS SZLUS, MUS TO MUS!**
Jan Pietrzak
- 14 CZY UNIA EUROPEJSKA
PRZETRWA KORONAWIRUSA?**
Bronisław Wildstein
- 15 ZWIEDZAJMY ON-LINE**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 16 WALIZKA JOLANTY
TURCZYNOWICZ-KIERYŁŁO**
Michał Korsun
- 17 KOWIDOWNIEBOWSTĄPIENIE**
Dominik Zdort
- 18 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

KORONAWIRUS

- 20 Z PROF. ŁUKASZEM SZUMOWSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 24 KONIEC ŻYCIA W ILUZI**
Maja Narbutt
- 28 Z PROF. WŁODZIMIERZEM GUTEM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska
- 32 WIELKA GRA**
Andrzej Skwarczyński
- 36 WYBORY PRZESUWNE**
Stanisław Janecki
- 38 Z PROF. ANDRZEJEM
ZYBERTOWICZEM**
rozmawia Jacek Karnowski
- 43 OPOZYCJA W STANIE KLĘSKI**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 46 WALKA BEZ WALKI BORISA JOHNSONA**
Aleksandra Rybińska
- 48 KRES ZSRR, KRES ROSJI PUTINA?**
Marek Budzisz
- 50 Z O. JANEM KONIOREM**
rozmawia Piotr Ślabek
- 52 KOŚCIÓŁ W CZASACH ZARAŻY**
Grzegorz Górny

OPINIE

- 54 PAŃSTWO Z DYKTY JUŻ MIELIŚMY**
Konrad Kołodziejski
- 56 Z MARKIEM CICHOCKIM**
rozmawia Marcin Fijolek

SIECI KULTURY

- 59 PŁOMIENNE DZIEWCZYN**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 61 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 62 POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

ŚWIAT

- 64 DOŻYWOTNI PREZYDENT**
Jan Rokita

HISTORIA

- 67 NIEZWYKŁE EKSPONATY MUZEUM
II WOJNY ŚWIATOWEJ**
Dodatek specjalny

PODRÓŻE

- 72 MOJE SZLAKI: TAM GDZIE
NAS JESZCZE NIE BYŁO**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 73 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 74 UZASADNIONE LĘKI**
Wojciech Reszczyński
- 76 FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 78 CZY SZUMOWSKI SYPIA?**
Aleksander Nalaskowski
- 79 Z KAMASZY**
Wiktor Świetlik
- 80 NIE ROZKLEKOTAĆ SIĘ**
Ryszard Makowski
- 81 I KIEDY WIOSNA ZNOWU, TA OTO...**
Leszek Długosz
- 82 DZIEWIĘĆ PRZESTRÓG
SOCJOLOGÓW NA NIEPEWNOŚĆ**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

**Sprawdź
wiarygodne
źródła:**

www.gov.pl/koronawirus
**Bezpłatna infolinia 24/7:
800 190 590**



Tarcza antykryzysowa!

Program wsparcia dla
pracowników i przedsiębiorców

To nadzwyczajny czas, który wymaga nadzwyczajnych działań. Dlatego rząd we współpracy z Prezydentem RP przygotował „Tarczę Antykryzysową”, która może osłonić naszą gospodarkę, naszą pracę, nasze firmy, słowem - naszą przyszłość przed negatywnym wpływem skutków pandemii koronawirusa.

Wybrane propozycje tarczy antykryzysowej dla Polski

-  **Finansowanie przez państwo**
części wynagrodzenia pracownika
-  **Możliwość zawieszenia spłacania**
kredytów bankowych
-  **Rozszerzenie gwarancji i kredytów**
z dopłatą dla firm
-  **Finansowanie leasingu**
dla firm transportowych
-  **Korzystne rozliczenie**
tegorocznej straty
-  **Dodatkowe finansowanie**
walki z koronawirusem
-  **Potężny zastrzyk finansowy**
dla inwestycji publicznych
-  **Odroczenie płatności składek**
na ZUS i niektórych podatków

212 000 000 000 zł

*Bezpieczeństwo
pracowników*

*Finansowanie
przedsiębiorstw*

*Ochrona
zdrowia*

*Wzmocnienie
systemu finansowego*

*Program inwestycji
publicznych*

 **Szczegółowych informacji szukaj na stronie: www.gov.pl/koronawirus**



KANCELARIA PREZESA
RADY MINISTRÓW
eprasa.pl/a379032aa3

Sygnalista nadaje

🔊 **Donald Tusk** udzielił Polakom rady na czas „społecznego dystansowania się”: „W kwarantannie nie chodzi o to, żeby jeść dwa razy więcej. Lepiej poćwicz. I nie oglądaj non stop seriali. Możesz przecież wreszcie poczytać. I nie siedź w necie godzinami, zadzwoni do teściowej albo pomóż najmłodszemu w telelekcjach. DO SIEBIE MÓWIĘ!”. Rady jak rady, ale wiedza o stylu życia byłego premiera – bezcenna.

🔊 Tusk zarzucił też rządowi, że bada siebie poza kolejką: „Łatwiejszy i szybszy dostęp do testów dla ludzi władzy niż dla chorych i lekarzy to obłany test z przyzwyczajenia i demokracji”. To była zapewne sugestia, że minister środowiska Michał Woś skorzystał z szybkiej ścieżki. Ale Woś tego nie zrobił – pojechał do szpitala zakaźnego, jak każdy obywatel, i ma dowód: zdjęcie. Przeprosin, rzecz jasna, nie było.

🔊 Tuska najlepiej spuentował Bogusław Sonik, poseł Koalicji Obywatelskiej, w przeszłości europoseł. „Dobrze by było znać stanowisko Europejskiej Partii Ludowej w sprawie dość dramatycznej sytuacji zdrowotnej w UE. Czekam” – stwierdził dość niespodziewanie, dodając: „To wiodąca partia w UE, oczekujemy aktywnej roli instytucji unijnych teraz!”. Tusk nie odpowiedział. Pewnie coś czyta albo dzwoni do rodziny.

🔊 Epidemii nie bardzo przejął się także prezydent Warszawy **Rafał Trzaskowski**, przynajmniej w pierwszych dniach. „Prezydent jest lekko przeziębiony. Nie ma to nic wspólnego z koronawirusem. Jest osłabiony dużą

ilością pracy, którą wykonywał. Ma 35,5 st. C. Tak naprawdę jest to bardziej osłabienie” – poinformowała jego rzeczniczka. Nikt tej informacji nie podważał, bo brzmiała bardzo wiarygodnie. Jakoś tak idealnie pasowała do prezydenta stolicy.

🔊 A prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak tak oto skomentował pierwszą ofiarę śmiertelną koronawirusa: „Osoba, która została zarażona, zaraziła również męża i zaraziła również córkę. I to była osoba bardzo wierząca. Ona krótko przed tym jeszcze była na pielgrzymce, jej mąż był szafarzem, udzielał komunii. To jest bardzo wierząca rodzina i to pokazuje też, że ta modlitwa czy wiara ona nie chroni przed zarażeniem”. Jeszcze chwila, a Jaśkowiak założy w Poznaniu Związek Wojujących Bezbożników i otworzy Muzeum Ateizmu. PS Modlitwa nie zawsze chroni przed wirusem, ale prowadzi do Boga i pomaga w zbawieniu.

🔊 Wspomnianego ministra Wosia zaatakowali także inni politycy, również sugerujący, że zbadał się poza kolejką. „Niesamowite, że posunęli się do hejtowania w takim momencie Michała Wosia i rozsyłania fake newsów na jego temat. Co kieruje tymi ludźmi?” – zapytał na Twitterze dziennikarz TVP Samuel Pereira. Do tych słów odniósł się, niezwykle brutalnie, Paweł Kukiz: „A co Tobą (oprócz pieniędzy) bandyto od propagandy i niszczenia ludzi kieruje?”. Co poszło nie tak?

🔊 Opozycja ostro atakuje prezydenta Andrzeja Dudę za aktywność w czasie epidemii. Zarzuca mu

🔊
*Wojciech Mann, który niedawno odszedł z radiowej Trójki, postanowił zabawić się w performer. Zaprezentował nagranie, na którym najpierw wita się słowami: „Dobry wieczór, Bonsoir, Good evening, Guten Abend. Krótko mówiąc, dobry wieczór”, a później wygłasza taką oto myśl: „Gdybym w tej chwili miał się odnieść do sytuacji, jaka panuje, to musiałbym to zrobić skrótowo. Brzmiałoby to, powiedzmy sobie otwarcie: w du****ie to mam”. Nie jest to ładny finał, ale na pewno logiczny. Tak, ten nurt duchowy do tego właśnie prowadzi.*

prowadzenie kampanii w czasie, gdy rząd apeluje do Polaków o pozostanie w domu. Dziennikarka „Gazety Wyborczej” Dominika Wielowieyska ukuła nawet hasło wezwanie pod adresem głowy państwa: „Zostań w pałacu”. Piękne hasło. Irzeczywiście szanse, że Andrzej Duda zostanie w pałacu na kolejne pięć lat, są dość duże.

 Rzecz jasna, gdyby prezydent Duda posłuchał doradców z Czerskiej i schował się pod żyrandolem, ci sami dziennikarze pisaliby, że „stchórzył, uciekł, nie udźwignął funkcji w czasie kryzysu, zostawił Polaków sam na sam z wirusem, nie miał nic do powiedzenia”. Klasyczna pułapka. Na szczęście prezydent nie uległ. Gdy „Wyborcza” coś radzi, trzeba robić dokładnie odwrotnie. Nie czasem, ale zawsze. Ich rady są zawsze zatrute.

 Tę linię wsparła posłanka Koalicji Obywatelskiej Klaudia Jachira. „Od kilku dni słyszę, jak moje koleżanki i koledzy z ław poselskich narzekają, że prezydent jeździ po całej Polsce, odwiedza szpitale, przebiera się w mundury itd. Uważam, że jest to czysta hipokryzja z naszej strony. (...) absolutnie każdy na jego stanowisku wykorzystalby tę funkcję i robił dokładnie to samo. Dobrze wiecie, że wytykanie mu tego jest czystym cynizmem”. A ostrzegaliśmy, że branie Jachiry na listy to prośzenie się o kłopoty!

 Opozycja desperacko próbuje wymusić przełożenie wyborów, choć gdyby któryś z jej kandydatów prowadził w sondażach, na każdą tego typu sugestię reagowałaby wrzaskiem o „pisowski spisek” i o „łamanie konstytucji”. No i jeszcze jeden paradoks: przez lata oskarżała rządzących o rzekomy zamordyzm, a teraz chce wprowadzenia stanu wyjątkowego i tym samym drastycznego ograniczenia praw obywatelskich. Muszą mieć poczucie, że jest naprawdę źle.

 Na pierwszym froncie walki o przełożenie wyborów jest Władysław Kosiniak-Kamysz, który przekonuje, że głosowanie w wyznaczonym terminie „może być wzniciem na nowo epidemii”: „10 maja powinno być lepiej, ale pewnie to się będzie jeszcze wszystko tliło” – argumentuje kandydat PSL. Kosiniak-Kamysz zachowuje się tak, jakby coś wiedział lub przeczuwał. Np. to, że po przełożeniu wyborów zostanie wspólnym kandydatem opozycji.

 Kandydaci opozycji rozważają także scenariusz solidarnego wycofania się z wyborów. W takiej sytuacji, gdyby na placu boju pozostał jedynie Andrzej Duda, wybory musiałyby zostać



rozpisane na nowo. „Taki wariant rodzi ryzyko, że ktoś w ostatniej chwili się wyłamie” – mówią współpracownicy Kosiniaka-Kamysza, cytowani przez „DGP”. No i pozostaje jeszcze jeden problem: co będzie, gdy w wyścigu prezydenckim zdoła wystartować Marek Jakubiak?

 Czy wyborów rzeczywiście nie da się przeprowadzić? „Da się. Oczywiście to będzie wymagało zwiększonej dyscypliny ze strony osób, które zostaną powołane w skład komisji. (...) To nie jest tak, że to jest niemożliwe, że jesteśmy bezradni, da się. Moim zdaniem takie osoby się znajdują” – ocenia w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” były szef PKW Wiesław Kozielewicz, podkreślając: „Można prowadzić kampanię wyborczą, też przecież zakazu nie ma”. Opozycjo, nie jęcz. Walcz!

 Prezes PiS Jarosław Kaczyński – mimo dyspensy i zachęty ze strony biskupów do pozostania w domach – wziął udział w niedzielnej mszy św. 16 marca. „Wszelkie środki ostrożności zgodne z zaleceniami GIS zostały zachowane. A niedziela dzień święty, święcić trzeba” – tłumaczył Krzysztof Sobolewski z PiS. Tego dnia w kościołach była nas garstka, ale te msze zapamiętamy na długo.

 Jolanta Turczynowicz-Kieryłło nie jest już szefową kampanii prezydenta Dudy. „Moi Drodzy, z uwagi na stan zdrowia nie będę pełnić już funkcji szefowej kampanii prezydenta Andrzeja Dudy. Dziękuję wam za wszystkie wspólne chwile na kampanijnej drodze. Myślę teraz o tym, byśmy zwyciężyli jako naród...” – ogłosiła tuż po tym, gdy rząd wprowadził kwarantannę. Świat polityki chyba wiele nie stracił, ale może świat poezji coś zyska?

 Za sprawą epidemii, która zatrzymała świat, **Lech Wałęsa** czasowo nie zarabia na wykładach. I narzeka. „Ja mam 6 tys. zł prezydenckiej emerytury i za tyle nie dam rady się utrzymać, bo moja żona Danuta wydaje 7 tys. miesięcznie. Muszę zarobić przecież na utrzymanie siebie i żony. A za friko robił nie będę przecież, ja już za friko robiłem przed 1989 rokiem” – mówił były prezydent w rozmowie z „Super Expressem”. Cóż, pozostaje znów zagrać w totka.

 Wałęsa wyjaśnił także, dlaczego ma duże wydatki: „Mam dużą rodzinę, dużo wnuków, dzieci. Rozdaję im pieniądze, a jaki mam wybór? Gnębią moją rodzinę przecież”. Smutny obraz. I rzeczywiście dotkliwa kara, nawet biorąc pod uwagę, że winy też wielkie.

Drogi przybyszu, jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że nas już nie ma. Pokonał nas koronawirus, chińska grypa, wyhodowana jako broń biologiczna, tyle że głównie przeciw seniorom oraz przewlekłe chorym, gdyż to oni, zdaniem Chińczyków, mieli stanowić dla nich największe zagrożenie. Podobno Tajwan wiedział o epidemii już na pół roku przed jej wybuchem, ale nikomu nie powiedział, tylko się zamknął i dzięki temu miał na początku prawie zero chorych. Czarnogóra miała w tym czasie jeszcze mniej, ale ona nic nie wiedziała.

U nas, w Polsce, długo wszystko ukrywano. Praktycznie, gdyby nie tweety Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, Jana Grabca, Michała Szczerby i Jana Vincenta-Rostowskiego, do usr...nej śmierci o niczym byśmy nie wiedzieli. Pisowska władza koniecznie chciała newsem o wirusie przykryć konwencję wyborczą Kidawy, podobno wysłali nawet cicią osobę w państwie do Włoch, ale umył ręce. Roman Giertych twierdził, że polska służba zdrowia nie przeprowadza żadnych testów, bo „zero testów to zero przypadków”. Ale presja społeczna, a przede wszystkim bohaterska postawa byłych i aktualnych bossów Unii Europejskiej, z Donaldem Tuskiem na czele, zmusiła pisowskich siepaczy do kupienia kilku respiratorów, które jeździły od miasta do miasta, rozsiewając przy tym wirusa. Jeśli ktoś, jak Marek Migalski, nie uciekł profilaktycznie na Teneryfę, by tam cieszyć się życiem w pandemii po raz pierwszy i ostatni, nie mógł liczyć nawet na lekarzy pogotowia. Gdyby nie czujność Iwony Hartwich, nigdy byśmy się nie dowiedzieli, że to nie są prawdziwi lekarze, tylko zwyczajni pisowcy. Władza chciała w ten sposób wyłapać liderów opozycji, aby ich następnie zarazić, bo na nią i tak czekały już pięciogwiazdkowe izolatki all inclusive. Testy robiono tylko aktualnym ministrom, oczywiście – wyłącznie pisowskim.

Pierwsza ofiara zmarła w Poznaniu i była osobą wierzącą, ale to jej – jak drwił prezydent miasta Jacek Jaśkowiak – nie pomogło. Szkoły i knajpy zostały zamknięte zdecydowanie za szybko, w stosunku do wiodących krajów Unii Europejskiej, co mogło stwarzać mylne wrażenie, iż ich rządy popełniły tragiczne w skutkach błędy. A im przecież chodziło tylko o demokrację. Stu kilkudziesięciu Francuzów już nie żyło, Włochów – blisko 2 tys., a prezydent Macron jeszcze potrafił urządzić wybory samorządowe, twierdząc, że wszystko ma pod kontrolą. Anglicy najpierw chcieli się pozarażać, żeby potem mieć spokój, jednak ktoś policzył, że w ten sposób władza wspólnie z wirusem uśmierca 250 tys. osób, więc premier Johnson zaczął zachęcać rodaków do pozostania w domach. Gdzie naszym władzom do takich

Kaszanka Manna



KRZYSZTOF FEUSETTE

mężów stanu? Nawet jeśli był to głównie stan odrętwienia.

W Polsce w tym czasie najważniejsze informacje krążyły wyłącznie w drugim obiegu. Np. ta, że minister środowiska miał zrobiony test „po znajomości”, o czym poinformował osobiście lider największej partii opozycyjnej. Minister

Woś zaprzeczył, szpital zaprzeczył i nawet pacjenci, którzy byli z Wośiem, zaprzeczyli, ale myśmy swoje wiedzieli. Nie ma tak, że się w Budce coś bierze z niczego, a w każdym fake newsie jest przecież ziarenko faktów autentycznych. Dlatego, chociaż powtarzaliśmy, że to nie jest czas na kampanię, jednocześnie prowadziliśmy swoją przez całą prawdę i całą dobę. Pomagała nam „Gazeta Wyborcza”, która dzielnie

walczyła z niedoborem na rynku papieru toaletowego. To ona odkryła, iż zaraza spadła z nieba, konkretnie w okolicach Krakowskiego Przedmieścia.

Na szczęście koronawirus okazał się tak mocny, że przyspieszone wybory prezydenckie i parlamentarne wygraliśmy. Nie bójmy się tych słów: głównie i przede wszystkim dzięki wspaniałemu wystąpieniu radiowego więźnia pisowskiej dyktatury, który na wszelki wypadek zwolnił się z pracy sam.

Ludzie kultury, którzy – w odróżnieniu od ofiar pandemii – stracili wszystko (a już na pewno popularność), właściwie odczytali apel wielkiego człowieka z małym mikrofonem. To on, Wojciech Mann, rzucił bowiem w twarz lekarzom, pielęgniarkom, pacjentom, ale przede wszystkim rodzinom ofiar i ciężko chorych swoje wiekopomne „odniesienie do sytuacji, jaka panuje”, zawarte w czterech słowach i literach: „W dupie to mam”. Za nim poszli inni i wkrótce lepsza polowa społeczeństwa także miała już w d... koronawirusa, kwarantanny, środki bezpieczeństwa, nawet mycie rąk, choć sam Mann szybko umył rączki. Rzecz jasna – tylko w przenośni.

Objęliśmy rządy. Do resortu zdrowia wróciła Ewa Kopacz, która już pierwszego dnia poinformowała, że nie kupi szczepionek, co powszechnie zostało uznane za pierwsze prawdziwe zdanie, jakie wypowiedziała publicznie, gdyż szczepionki po prostu nie było. Premier Budka objął kwarantanną wszystkich członków pisowskiego rządu, potem posłów i działaczy, na końcu zaś – wyborców, sympatyków oraz niezdecydowanych. Poszły na to pieniądze, które Unia Europejska dała nam na złagodzenie skutków pisowskiej pandemii (bo przecież pierwszy chory należał kiedyś do PiS). Prezydent Kidawa-Błońska zaś przypominała już w pierwszym orędziu swoją najważniejszą obietnicę, że nic, co dane, nie będzie zabrane.

I otworzyła granice...

Maja, daj mi komputer. Muszę napisać felieton do „Sieci” – wołam do mojej 14-latki.

Nie mogę, za 10 minut mam kartkówkę – wrzeszczy latorośl z góry.

Mamo, musisz mi usprawiedliwić nieobecność na polskim – atakuje 12-latek.

A to niby dlaczego? – pytam głupio.

Bo Maja ma komputer i ja nie mogę teraz uczestniczyć w lekcji.

Faktycznie mamy tylko jeden laptop, który w dodatku jest moim narzędziem pracy i odkład dzieci (w moim przypadku – tylko czwórka) przebywają na przymusowej domowej edukacji, stało się to poważnym problemem, choć wcześniej nigdy nim nie było. Nie mogąc zasiąść do telepracy, myślę, że chociaż skorzystam ze smartfona. Zobaczę, ile osób zachorowało na koronawirusa w ostatniej dobie i czy są kolejne ofiary śmiertelne. Siadam więc na kanapie, nerwowo rozglądając się za telefonem, który przecież tam został. I wreszcie słyszę, że z kuchni dochodzi jakaś muzyka i śpiew: „Ko, ko, ko, ko, ko”. Idę, patrzę, a tam moja czterolatka tańczy i śpiewa.

Co robisz?

Mam rytmikę z panią Elizką – tłumaczy Anielka.

Faktycznie zapomniałam, że parę chwil wcześniej Eliza Czachorowska wysłała dzieciakom fenomenalny film z e-rytmiką. Tego nie można przerwać. Biorę więc telefon męża, wpadam na chwilę w społecznościówki i widzę mem: „BBC donosi, że matka trójki dzieci po czterech dniach kwarantanny wymyśliła szczepionkę na COVID”. Lecę dalej, a tam ktoś relacjonuje swoją rozmowę telefoniczną: „Dzwonię do banku: – Julka, bo spadniesz z tej kanapy!!! Bank Pekao SA, słucham”.

Kolejne zdjęcie przedstawia matkę przy komputerze i czwórkę związanych na podłodze dzieci, następny mem jest o tym, że ktoś już trzeciego dnia biegał po mieście i lizał poręcze w miejskiej komunikacji, jest też taki bardziej budujący: „Już drugi dzień spędzam w domu z rodziną. Zaczynamy się zaprzyjaźniać. Okazuje się, że syn w tym roku zdaje maturę, córka w ubiegłym roku wyszła za mąż, żona zrobiła habilitację. Fajni są”. I wtedy z tego zanurzenia w internecie sprowadza mnie do rzeczywistości głos córki: Dostałam, szóstkę. Możesz pisać.

Zbudowana tym, że szkoła daje radę i nauczyciele dają radę, siadam wreszcie do pracy, nerwowo zerkając na zegarek i kontrolując, czy to już jest ten moment, kiedy sekretarz redakcji zacznie do mnie tarabanić z pytaniem: „Gdzie tekst?”. Zaczynam pisać: „Weź tu, człowieku, bądź mądry i dogódź opozycji i jej medialnym

Narodowa kwarantanna

akolitom! Zwyczajnie się nie da. Bo albo mają pretensję, że prezydent coś robi, albo, że nie robi. Jak działa, to źle, a jak działania zawieszają, to jeszcze gorzejiiiiiiiiiiiiiiiii...”.

Mamo, dziewczyny piszą do mnie, że pani od angielskiego wysłała karty pracy. Mogę zrobić? – szczebiocze radośnie 10-latka,

która do tej pory rysowała, podśpiewując.

Gdybym miała ołówek, to pewnie bym go złamała, ale że akurat nie mam, to tylko nerwowo dłużej przyciskam literę „j”. No ale jak tu nie dać dziecku się uczyć? Skoro szkoła daje radę, to rodzice też muszą.

Aaaaandrzej, kup jakiegoś laptopa, bo zwariuję – wołam do męża, który zamyślony nad przyszłością świata wygląda przez okno.

Nie mogę, bo sklepy są zamknięte – odpowiada małżonek.

To przez internet! – krzyczę.

Ale okupujesz kompa... – odpowiada mąż.

Dobra, Hania, bierz komputer, rób angielski i oddaj – mówię nerwowo.

Wyszło słońce. Siadam na tarasie, czekając na mój czas na telepracę. Ptaki ćwierkają, róże zaczynają kwitnąć, kot pogonił mysz. Nic nie wskazuje na to, żeby świat toczył wojnę z zabójczą zarazą.

Janek, opróżnij zmywarkę – wołam do syna.

Ja nie wychodzę z pokoju, słucham premiera – odpowiada syn, który właśnie na tablecie obejrzał wywiad Błowka z Mateuszem Morawieckim.

Tak naprawdę obejrzały go wszystkie znane mi dzieciaki. YouTube to ich świat, telewizja ich nie interesuje. Jeśli przez chwilę zastanawiałam się, czemu premier udzielił wywiadu youtuberowi, to już wiem.

Hania oddaje komputer. Siadam do pracy.

„Panika opozycji wynikająca z aktywności prezydenta Dudy i rządu wiele mówi nam o tym, jak mogłaby się zachowywać prezydent Kidawa-Błońska. Po prostu nie wyściubiłaby nosa z Pałacu Prezydenckiego. A gdyby ministrem zdrowia była Ewa Kopacz? Pewnie kazałaby czekać Polakom do wiosny, cieszyć się słońcem, jak to było w przypadku epidemii świńskiej grypy”.

Mamo, co dziś na obiad? Głodna jestem. Zmęczyłam się tańceniem – pyta Anielka, która właśnie skończyła swoją rytmikę.

Związać czy lizać poręcze? – przemknęło mi przez myśl.

Dorota Łosiewicz



W Izraelu nieoczekiwane qui pro quo w powyborczej układance. Mimo że – jak pisaliśmy tydzień temu – prawicowy Likud premiera Netanjahu zdobył największą liczbę głosów w wyborach parlamentarnych, to misję formowania nowego rządu otrzymał jego główny rywal, szef centrolewicowej koalicji Niebiesko-Białych Benny Gantz. Stało się tak dlatego, że prezydent Reuven Rivlin otrzymał pisemne potwierdzenie od 61 deputowanych do Knesetu, na ogólną liczbę 120, że udzielił oni wotum zaufania gabinetowi lidera opozycji. Gantz ma teraz 28 dni, a w razie potrzeby dodatkowe dwa tygodnie, na negocjacje z potencjalnymi koalicjantami. A nie będą one łatwe, bo zdobycie większości zakłada nie tylko utrzymanie jedności jego macierzystego bloku Kahol Lawan, który już w trakcie kampanii wyborczej trzeszczał w szwach, lecz również zawarcie porozumienia z arabskimi deputowanymi ze Wspólnej Listy oraz formacją Awigdora Liebermana Nasz Dom Izrael, na który głosują obywatele Izraela przybyli z byłego ZSRR. Formacja Liebermana przez lata popierała Netanjahu, ale w ubiegłym roku wybuchł

między nimi konflikt, który zaognił się po tym jak Lieberman zapowiedział, że nie wejdzie do rządu popieranego przez formację ortodoksyjnych Żydów.

Gantz w przemówieniu zapowiedział wolę budowy nowej jakości w polityce Izraela. Nawiązując do wspólnej, jak powiedział, „ramię w ramię” walki z epi-

Izrael

Benny i Bibi muszą się dogadać

demią koronawirusa, jaką toczą arabscy i żydowscy lekarze i pielęgniarki, zapewnił, że jego rząd będzie „troszczył się tak samo o interesy mieszkańców Judei i Samarii, jak arabskich obywateli Państwa Izrael połączonych wspólnym losem”.

Jednak te pięknie brzmiące deklaracje mogą się okazać niewystarczające, zwłaszcza w obliczu propozycji, jakie sformułował pod adresem Gantza premier Netanjahu. Otóż jego zdaniem z powodu epidemii koronawirusa oraz



spodziewanej, zwłaszcza w następstwie ogłoszenia przez sąsiedni Liban niewypłacalności, dalszej destabilizacji regionu, najlepszym rozwiązaniem byłby rząd „zgody narodowej”. Netanjahu zaproponował przy tym dwa warianty. Pierwszy to gabinet rządzący krajem przez najbliższe sześć miesięcy, którym kierowałby on, i drugi, wielkiej koalicji, na cztery lata, z rotacyjnym premierostwem. Pierwsze dwa lata tekę premiera miałby Likud i na czele rządu pozostałby obecny premier, a dwa kolejne to czas dla Benny’ego Gantza.

Propozycja Netanjahu obliczona jest na to, że Gantz nie uzyska stabilnej większości. Jeśli nie zdoła on powołać rządu, to będzie miał do wyboru dwie opcje, czwarte wybory parlamentarne w czasie nieco dłuższym niż rok lub koalicję z Netanjahu.

Marek Budzisz

Japonia

Prekursor nowej eutanzji



W Tokio zakończyła się jedna z najgłośniejszych rozpraw sądowych w historii Japonii. Na śmierć skazany został 30-letni Satoshi Uematsu, sprawca największego zbiorowego mordu w tym państwie po II wojnie światowej.

W latach 2012–2016 pracował on w ośrodku dla niepełnosprawnych w miejscowości Samagihara. Po trzech latach pod wpływem swych doświadczeń z chorymi wystosował petycję do japońskiego parlamentu z wnioskiem o uśmiercenie 470 osób o największym stopniu upośledzenia w kraju. Jego zdaniem są oni jedynie źródłem nieszczęścia i nie ma potrzeby, aby dłużej żyli. Domagał się też zalegalizowania eutanazji. Postulował, by Japonia stała się pierwszym na świecie krajem bez ludzi niepełnosprawnych, a więc bezproduktywnych i niepotrzebnie obciążających budżet państwa wysokimi kosztami.

Kiedy jego apel pozostał bez echa, postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. W nocy z 26 na 27 lipca 2016 r. uzbrojony w kilka noży wszedł po cichu do ośrodka w Samagihara, gdzie zaczął mordować pogrążonych we

śnie mieszkańców. Poćwiartował 19 osób, zaś pozostałych 25 ranił, w tym 20 ciężko. Następnego dnia sam zgłosił się na policję, przyznając do popełnionej zbrodni.

W internecie wielu przyklasnęło jego zbrodni. Abp Tarcisio Isao Kikuchi z Tokio powiedział: „Byłem w szoku, gdy dowiedziałem się z komentarzy w mediach społecznościowych, jak duża liczba Japończyków popiera pomysły Uematsu. Ta pogarda dla ludzkiego życia nie jest obecnie niczym niezwykłym w naszym społeczeństwie”.

Na sali rozpraw adwokaci próbowali udowodnić, że ich klient cierpi na chorobę psychiczną i działał pod wpływem marihuany, jednak sąd nie dał wiary ich tłumaczeniom. Jak pokazują sondaże, wyrok śmierci został przyjęty z zadowoleniem przez większość społeczeństwa. Gdyby sprawca stanął przed sądem w Wielkiej Brytanii, Belgii lub Holandii, być może zostałby uniewinniony jako

człowiek kierujący się pobudkami humanitarnymi i miłosierdziem.

Grzegorz Górny

Czy to szaleństwo?

Prezydent Filipin Rodrigo Duterte, rządzący krajem od 2016 r., wypowiedział wojnę oligarchom i opozycji sprzeciwiającej się jego brutalnej kampanii antynarkotykowej. Według amerykańskiego dziennika „The Washington Post” Filipiny stają się pod jego rządami „coraz bardziej autorytarne”. Prezydentowi najbardziej przeszkadza wiceprezydent Leni Robredo z Partii Liberalnej, którą mianował na stanowisko szefowej agencji do zwalczania przestępczości narkotykowej. Zdymisjonował ją jednak po zaledwie trzech tygodniach, po tym jak zapowiedziała zakończenie „bezsensownego zabijania”. W ciągu ostatnich czterech lat wojna z narkotykami kosztowała już bowiem życie tysiące osób. Robredo twierdzi, że Duterte usiłuje ją oczernić, i zaangażował w tym celu nawet farmę internetowych trolli. Prezydent zaś twierdzi, że wiceprezydent „ma coś z głową” i nie powinna piastować tak odpowiedzialnego stanowiska.

Duterte obok karteli narkotykowych bezlitośnie zwalcza też Partię Komunistyczną (CPP). Na początku marca wysoko postawiony działacz CPP Julius Soriano Giron oraz jego żona zginęli od kul policji, która wtargnęła nocą do



ich domu. Na celowniku Dutertego znaleźli się także rodzimi oligarchowie. Zagroził m.in. zamknięciem należącego do rodziny Lopez konglomeratu mediów ABS-CBN, wrogo nastawionego do jego rządów. Podobne groźby skierował także do Manila Water, spółki należącej do kolejnej rodziny związanej z opozycyjnym obozem liberalnym.

Jak by tego było mało w lutym Duterte zawiadomił Waszyngton o wypowiedzeniu dwustronnej umowy regulującej status i zasady pobytu amerykańskich wojsk na terytorium Filipin. Jej zapisy przestaną obowiązywać w sierpniu. Według amerykańskiego pisma „The National Interest” Duterte postanowił zamienić Filipiny w „nową zabawkę Chin” w zamian za fundusze na rozwój. Na razie Donald Trump specjalnie się tym nie przejął. „Może być. Oszczędzimy na tym dużo pieniędzy” – skomentował zerwanie umowy. Jednak eksperci ostrzegają, że wypowiedzenie umowy wystawia na szwank bezpieczeństwo USA.

Amerykańskie media twierdzą, że Duterte „jest szalony”. Filipińczycy widzą to inaczej. Według najnowszych sondaży Duterte cieszy się poparciem 87 proc. społeczeństwa. A do końca jego kadencji – w 2022 r. – jeszcze daleko. Jeśli w ogóle zdecyduje się zakończyć w terminie swoje rządy, bo teraz wszystko na Filipinach wydaje się możliwe.

Aleksandra Rybińska

Fot. mł. prasowe

Koronawirus, który w szalonym tempie atakuje Amerykę, stał się już bronią w bieżącej polityce. Używa się jej po obu stronach Atlantyku i chętnie są do tego wykorzystywane fake newsy. Jednak w USA odsłaniają one coś więcej niż tylko chęć dokuczenia nielubianemu wrogowi. One obnażają stan umysłu wielu wpływowych środowisk.

Przykładem może być pisarz Stephen King, który napisał na Twitterze, że powołany przez Donalda Trumpa zespół do walki z koronawirusem składa się wyłącznie ze „starych i białych mężczyzn”. Na konferencji prasowej zespołu okazało się, że to bzdura i są tam kobiety o innym niż biały kolorze skóry. Jednak samo zwrócenie uwagi, że w czasie kryzysu, który może totalnie przeobrazić świat, Trump nie zachował parytetu płciowego i rasowego, pokazuje, jak zacietrzewieni ideologicznie są wrogowie obecnego prezydenta.

Ostatnio bardzo popularne stało się rozpowszechnianie pogłosek, że Donald Trump chce zarobić na epidemii. Nominowana do Oscara aktorka Minnie Driver twierdzi, że Trump dogadał się w tym celu z Google i dlatego stworzono stronę internetową pomagającą testować koronawirusa. „Dziękuję Google. Ten dupek znalazł już sposób, aby spieniężyć wirusa” – napisała o prezydencie aktorka. Jeffrey Wright, inny popularny aktor i milioner

zarabiający dzięki korporacjom rządzącym w Hollywood, zarzuca z kolei administracji Trumpa, że chce ona wciągnąć do współpracy w walce z koronawirusem takie giganty jak



USA

Wirusem w Trumpa

Walmart, CVS i Target. Zdaniem aktora rzuca to podejrzenie na Trumpa, że chce zarobić na epidemii. Ten wątek pociągnęła aktorka Ashley Judd, nazywając porozumienie Trumpa z menedżerami tych korporacji „frat party” [imprezą bractw studenckich skupiających zamożne dzieci – przyp. Ł.A.] białych bogaczy”. Wszystkich przebił jednak reżyser Rob Reiner, który tym razem uderzył w wiceprezydenta Mike’a Pence’a, będącego w Ameryce główną twarzą walki z epidemią. „Wszyscy chcemy, aby koronawirus był pod kontrolą, ale mam pytanie: jak głęboko Mike Pence będzie teraz wchodził w dupę Trumpowi?” – zapytał na Twitterze filmowiec.

Niektórzy celebryci stają też na czele pochodu najbardziej absurdalnych teorii koronawirusowych. Przykładowo piosenkarka Keri Hilson napisała, że winę za wirusa ponosi... chińska sieć 5G i promieniowanie internetu LTE. To prawda, że Trump też ostro walczy z chińskimi planami podbicia świata nowoczesnym internetem. Ale w odróżnieniu od wielu swoich oponentów jest zbyt przytomny, aby rzucać takie oskarżenia.

Łukasz Adamski

Fot. Vectorfarm / Shutterstock

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wirus szlus, mus to mus!

Ale się porobiło na tym świecie... Miałem taki cykl monologów w minionej epoce. I patrzcie, państwo, mijają lata, ustroje, pokolenia, a świat ciągle nas wpędza w gapowatą zadumę. Wirus z Chin urządził nam kwarantannę. Jeszcze dwa tygodnie temu mieliśmy z żoną zaplanowany lot do Grecji w ten weekend na wesele znajomego. Chiny były z drugiej strony globusa. Dzisiaj siedzimy na Sadybie, nie mogąc zobaczyć wnuka z Saskiej Kępy. Bo my jesteśmy w grupie ryzyka. Mamy nosa nie wystawiać za drzwi. Żeby nas nie ciągnęło na lotnisko, skancelowano gremialnie samoloty i szlus, basta, mus! Macie okazję, staruszkowie, odrobić zaległe prace domowe i zrobić porządek w szufladach!

Poważnie mówiąc, podziwu godne są zdecydowane działania rządu i konsekwencja oparta na wiedzy i odpowiedzialności. Wyobraźcie sobie, jaką byśmy mieli sytuację pod rządami bezymysłnej totalnej gawiedzi. Strach pomyśleć. Posłuchajcie wypowiedzi opozycyjnych kandydatów do prezydentury. Co oni wygadują? Jakie mają projekty i rozwiązania w dramatycznej walce z epidemią? Infantylnie złośliwości, głupkowate ataki personalne to jedyne, co potrafią wygenerować ich sztaby wyborcze i medialne zaplecze.



Jan
Pietrzak

Nic dziwnego, że doświadczony wyga antypolskiej opozycji wzywa do przełożenia wyborów na termin późniejszy. To ten sam oszust, który przed tygodniem ostrzegał przed „wirusem kłamstwa”. Niestety, odroczenie wyborów byłoby naruszeniem konstytucji! Doszło więc do tego, że frakcja uliczna opozycji, znani bojówkarze domagają się przed Pałacem Prezydenckim wprowadzenia stanu wojennego. Ci sami co latami krzyczeli o pisowskiej dyktaturze. Nic ich nie obchodzi żaden wirus. Mają zadanie potęgować chaos, podkrecać panikę, przeszkadzać w przebiegu wyborów i leczeniu Polaków. Tak się zapętlił zadymiarze, że już się nie wykręca.

Zostanie zapamiętane, kto w trudnej społecznie sytuacji wzywa do unieważnienia konstytucji i łamania prawa wyborczego. Przy pierwszej okazji przedstawione zostaną w Brukseli podczas debaty o praworządności te partie i nazwiska. Nie prędko to nastąpi, bo Komisja Europejska jak na razie stara się zorientować, co robią różne państwa z zagadkowym wirusem, którego w traktacie lizbońskim nie ma. Strefa Schengen go nie przewiduje. Układ z Maastricht nie uwzględnia. Chiny daleko, Trump zły, Londyn ma dość Unii – nie ma kogo spytać?! Tak się porobiło, że jedynie polski rząd wie, co robić. Właśnie ogłoszono projekt „tarczy antykryzysowej”. Szacun!

„Zemsta”, czyli nasze polskie sprawy

Z **Redbadem Klynstrą-Komarnickim** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Mocium panie, „Zemsta” to nie lada wyzwanie. Pan je podjął, dlaczego właśnie teraz?

Redbad Klynstra-Komarnicki: Dramat hrabiego Fredry pojawia się na scenie najczęściej w czasach, gdy napięcie społeczne rośnie. Można powiedzieć, że dla kolejnych pokoleń jest i lustrem, i swoistym wentylem bezpieczeństwa. Myślę, że zaproponowano mi przygotowanie inscenizacji „Zemsty”, bym na pokazane w niej nasze polskie sprawy spojrział z innej perspektywy, z dystansu, który jest mi właściwy z racji mojej dwukulturowości.

I postawił pan na scenie mur. Co z tego wynika?

W czasie tworzenia spektaklu podczas prób okazało się, że być może podział, który dziś się dokonuje, nie przebiega między prawą a lewą stroną, a odgradza pokolenia. Młode, zawo-

dowo aktywne roczniki nie do końca rozumieją, z czego wynika spór ich rodziców i dziadków; a nawet jeśli rozumieją jego przyczyny, chcieliby włączyć się w decydowanie. Mają poczucie, że gdyby – obdarzeni zaufaniem starszych – zaczęli rządzić, nastąpiłaby zgoda.

Wacław i Klara wchodzą do pierwszego rzędu?

Przede wszystkim Klara. W naszej inscenizacji jest potencjalną przyszłą liderką.

Kogo zobaczymy w ikonicznych rolach i scenach?

Cześnika gra Michał Czernecki, Rejenta – Grzegorz Mielczarek, Podstolinę – Ewa Konstancja Bulhak, Papkina – Rafał Zawierucha, Wacława – Marcin Stępnia. Po raz pierwszy na ekranie zobaczymy Alicję Karluk jako Klarę. Premiera: 23 marca o godz. 21 w TVP1.



Fot. Stanisław Loba/TVP



PKO BANK POLSKI NAJCENNIJSZĄ POLSKĄ SPÓŁKĄ W 2019 ROKU



Bank Polski

Zakończyliśmy rok z najwyższą
kapitalizacją wśród spółek notowanych
na Giełdzie Papierów Wartościowych
w Warszawie

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czy Unia Europejska przetrwa koronawirusa?



Naturalnie tytułowe pytanie jest retoryczne. Z pewnością UE będzie istniała nawet po spełnieniu się najczarniejszego scenariusza przebiegu epidemii w Europie. Międzynarodowa przestrzeń usłana jest realnie martwymi instytucjami, które kontynuują swoje życie po życiu niekiedy tylko dlatego, że nikomu nie chciało się już ich oficjalnie zamykać. Pytanie brzmi więc: w jakim stanie Unia przetrwa chorobę?

W poprzednim felietonie wspominałem, że crash testy, jakimi są wielkie katastrofy, odsłaniają realne znaczenie politycznych instytucji i generalnie polityki jako takiej. Ostatni kryzys finansowy i obecna pandemia dowodzą, jak wielkie ma ona znaczenie, a więc i dowartościowują jej realny podmiot, jakim jest współcześnie narodowe państwo. Wydawać by się to mogło banalne, ale żyjemy w epoce, która usiłuje podważyć wszelkie tradycyjne i oczywiste prawdy. Taki ma charakter zakwestionowanie narodowego państwa.

W nowoczesność wpisane jest utopijne myślenie. Podejście takie istniało zawsze, ale wegetowało (śluszenie) na marginesie dominujących nurtów myślenia. W nowoczesności wdarło się do ich centrum. Wyrasta z humanizmu, który człowieka usytuował na miejscu Stwórcy, a więc przypisał mu boskie kompetencje. Wszelkie ludzkie limity mają być przezwyciężone, wszelkie cele możliwe do osiągnięcia. W realizacji utopii podstawowym ograniczeniem okazuje się natura ludzka, która dla jej rzeczników jawi się jako niewolący nasz gatunek system przesądów. Należy odrzucić wszelkie wynikające z niej bariery i w ten sposób podążyć ku pełnej i nieograniczonej samorealizacji.

Wspólnoty naturalne od rodzinnej po narodową jawiły się w tym przedsięwzięciu jako pęta wiążące człowieka i uniemożliwiające mu osiągnięcie doskonałości. Wszelkie tragedie, które wygenerowała nowoczesność, interpretowane były jako efekt przywiązania do tradycyjnych form cywilizacyjnych. Nie miejsce tu na analizę, jak uproszczone i zmystyfikowane było to podejście. Dominujące dziś wyobrażenie, iż II wojna światowa to konwulsje europejskich nacjonalizmów, nie ma żadnego związku z rzeczywistością, gdyż był to głównie konflikt ideologiczny, a sprowadzenie nazizmu do ekscesu narodowych sentymentów, jakkolwiek żerował on na nich, jest daleko idącym zafalszowaniem. Konsekwencją

tego podejścia była wizja światowego, a choćby ponadnarodowego rządu, który miał położyć kres wszelkim wojnom. Rozumowanie upajało prostotą. Nie będzie państw, a więc nie będzie miał kto z kim walczyć. Zapanują pokój i harmonia, a wilk zamieszka z jagnięciem.

Tym, że również w czasach pokoju systemy wcielające utopie pochłonęły hekatombę ofiar i powołały nieznane wcześniej totalitarne despoty, ideologiczni marzyciele się nie przejmowali. Z jednej strony deklarowali najdalej idącą pomocniczość, czyli oddelegowanie władzy na najniższy możliwy szczebel, z drugiej wzywali do tworzenia ponadpaństwowych gremiów, które odbiorą narodowym instytucjom ich suwerenność. Doskonale możemy obserwować to w odniesieniu do Unii, bo owe utopijne zamiary stawały się doskonałym parawanem dla rządów silniejszych. Jak zwykle jednak w utopijnych przedsięwzięciach cel był mglisty i odległy, realna była zaś pasja niszczenia tradycyjnych form cywilizacyjnych – w tym wypadku narodowego państwa.

Kiedy jednak nadchodzi czas próby, a takim jest klęska żywiołowa, ten właśnie organizm okazuje się optymalny do stawienia jej czoła. Nie ma co narzekać, że UE za mało robi. Na szczęście. Wyobraźmy sobie, że robić by usiłowała. Naturalnie mogłaby próbować powściągnąć egoizm europejskich potęg, czyli Niemiec i Francji, i spróbować bardziej medlować w odniesieniu do najbardziej potrzebujących, przede wszystkim Włoch, ale i tak jest oczywiste, że państwa same muszą rozwiązywać swoje problemy i robią to w rozmaity sposób. Nie tylko z polskiej perspektywy dobrze się stało, że w obecnej sytuacji TSUE stonował – w każdym razie na jakiś czas – beczelne interwencje w działania demokratycznych władz naszego kraju. Najważniejsze wydaje się jednak oddziaływanie obecnej sytuacji na mentalność Europejczyków, w tym przede wszystkim Polaków. Wyobrażenie, że europejscy mędrcy wezmą nas pod kuratelę i rozwiążą nasze problemy w starciu z rzeczywistością, stopniowo będzie musiało gasnąć. I trzeba będzie stawić czoła rzeczywistości.

Do strefy Schengen wróciły – wydawałoby się – wyeliminowane definitywnie granice. To symboliczny obraz tego, że ani w Europie, ani w polityce w wyobraźalnej przyszłości z narodowych państw nie możemy zrezygnować. Musimy wyciągnąć z tego wnioski.

Zwiedzajmy on-line



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Pandemia koronawirusa jest porównywana z gripą zwaną hiszpanką, świńską gripą, SARS, ebolą. Wszystkie z wymienionych trwały mniej więcej rok. Wiele może wskazywać na to, że choć medycyna nieustannie się rozwija, to i tym razem wymuszona pauza oraz zmiana sposobu funkcjonowania mogą nie zakończyć się szybko. Będziemy więc musieli przywyknąć, by nie tylko nasze obowiązki zawodowe, lecz także czas wolny spędzać w sposób zapewniający nam jak najmniejsze ryzyko zakażenia się, czyli przede wszystkim w domowym zaciszu. Książki, gry planszowe, platformy z filmami i serialami na dłuższą metę mogą się okazać niewystarczającym sposobem na oderwanie się od rzeczywistości.

Wiosna sprzyja wędrownikom, ale mamy do dyspozycji jedynie spacer i inne aktywności fizyczne na świeżym powietrzu, o ile nie wiąże się to z przebywaniem w zbyt niewielkiej odległości od siebie. Pozostaje nam zatem odkrywanie świata i zaspokajanie naszych potrzeb kulturalnych przez internet. Wirtualna oferta turystyczna jest arcyciekawa i tak bogata, że nie sposób wymienić wszystkich miejsc, które za pośrednictwem sieci moglibyśmy odwiedzić. Warto jednak suflować sobie nawzajem kolejne pomysły, poczynawszy nawet od tych być może najbardziej oczywistych, co niniejszym postaram się uczynić.

Zwiedzanie on-line możemy rozpocząć w Łazienkach Królewskich w Warszawie, aby następnie dotrzeć na Zamek Królewski i do sąsiadującego z nim barokowego Pałacu pod Blachą. Zmęczeni zgiełkiem stolicy odetchniemy na Trasie Muzealnej Muzeum Żup Krakowskich we wpisanej na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO Kopalni Soli w Wieliczce. Zamek Królewski na Wawelu udostępnia on-line swoją kolekcję, a w serii filmów otwiera wnętrza, które na co dzień pozostają niedostępne dla zwiedzających. Bogate i arcyciekawe zbiory Muzeum Narodowego w Krakowie można także poznać, nie wychodząc z domu. Znajdują się w nich zarówno najcenniejsze dzieła sztuki, meble, zastawa stołowa, jak i elementy garderoby. Wirtualna galeria ma doskonałej jakości zdjęcia i jest bardzo prosta w obsłudze.

Muzeum Narodowe w Warszawie posiada analogiczną stronę, ale nieco mniej przyjazną laikom. Warszawska Galeria Zachęta oferuje internetowe warsztaty dla najmłodszych. Muzeum Powstania Warszawskiego każdego ranka zachęca do wirtualnego zwiedzania z przewodnikiem i prowadzi lekcje historii zarówno dla dzieci, jak i dorosłych.

Polskich placówek muzealnych, które zdigitalizowały swoje zbiory, jest jeszcze wiele, ale tych, którzy mają ochotę na wyprawę za granicę, można zaprosić na strony największego i najstarszego muzeum w USA – Metropolitan Museum of Art w Nowym, do British Museum, Luwru albo do florenckiej Galerii Uffizi. Wszystkie wymienione miejsca znajdują się dla nas dosłownie na wyciągnięcie ręki. Można je zwiedzić samodzielnie, ale najlepiej zabrać na taką wirtualną wycieczkę swoich bliskich, zwłaszcza tych, którzy dotychczas stronili od internetu.

Zmęczonym zwiedzaniem zabytków, muzeów i galerii albo zwyczajnie stroniącym od tego typu miejsc można polecić spektakle Teatru Telewizji Polskiej dostępne na platformie VOD, a w szczególności niezmiennie aktualną klasykę, jak choćby świetnie wyreżyserowaną przez Marcina Wronę „Moralność pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej z Magdaleną Cielecką i Robertem Więckiewiczem. Melomani znajdą mnóstwo koncertów na kanale YouTube Filharmonii Narodowej w Warszawie, a także na stronie berlińskiej filharmonii, gdzie w archiwum zamieszczono utwory Chopina, Lutosławskiego, Moniuszki, Pendereckiego i Wieniawskiego. Opera Wiedeńska do 2 kwietnia udostępnia bezpłatnie nagrania oper. Tak samo uczyniła nowojorska Metropolitan Opera. Teatr Wielki – Opera Narodowa w Warszawie emituje na swojej stronie niedawną premierową „Halkę (wileńską)”, przeniesioną do epoki komunizmu, „Toscę” i „Straszny Dwór”. Nieprzebrane zbiory ciekawych filmów dokumentalnych, spektakli i koncertów można odszukać na stronach Ninateki. Trzeba tylko dobrze zaplanować czas i można na chwilę zapomnieć o wirusie.

Bank Pekao wspiera walkę z wirusem

Aby wesprzeć polską służbę zdrowia, Bank Pekao przekaże darowiznę w wysokości 5 mln zł na rzecz szpitali, zakładów opieki zdrowotnej i służb sanitarnych, które podejmują działania przeciwdziałające rozprzestrzenianiu się choroby COVID-19

– Jesteśmy bankiem odpowiedzialnym społecznie, a sytuacja epidemiczna, w której znalazła się Polska, wymaga wyjątkowej solidarności. Dlatego zdecydowaliśmy się włączyć w pomoc także poprzez bezpośrednie

wsparcie finansowe szpitali – mówi Marek Lusztyn, prezes Banku Pekao.

Darowizna banku ma wspomóc najbardziej potrzebujące placówki medyczne w kraju. Szczegółowa lista placówek zostanie ustalona po konsultacjach z Ministerstwem Zdrowia. Już dziś wiadomo, że będą to m.in. szpitale w Starachowicach, Chełmie, Łukowie, Biłgoraju, Lublinie i Tomaszowie Lubelskim. Wkrótce do tej listy dołączą kolejne ośrodki.

gim



Prezes Banku Pekao
Marek Lusztyn

Fot. Andrzej Wiktor



Walizka

Jolanty Turczynowicz-Kierytło

adwokat, wykładowczyni akademickiej, szachistki

Mam charakter podróżnika. Wyrosłam w domu pełnym książek, rozmów, pasji. Każdy z nas podróżował, rodzice, my z bratem, czasem nie nadążaliśmy przepakowywać walizek. To był przyjazny otwarty dom, ale też o silnych polskich tradycjach. Jestem przecież po rodzinie taty wilniaczką, po rodzinie mamy góralką z Białej.



SZACHY

Do dzisiaj w walizce wożę szachy. Motto międzynarodowej federacji szachowej brzmi: Gens una sumus – jesteśmy jedną rodziną. Bez względu na to, o co się spierasz, o co walczysz, po drugiej stronie jest tylko przeciwnik, nie wróg. Po zawodach przyjaźnimy się z naszymi konkurentami.

ADIDAS

Przez wiele lat byłam członkiem kadry narodowej junierek w szachach. Każdy kolejny zdobyty medal to były dziesiątki godzin nie tylko przy szachownicy, lecz przede wszystkim na stadionie, w górach, na hali. Trenerzy zawsze powtarzali: w zdrowym ciele zdrowy duch... i sprawny umysł. Do dzisiaj o tym pamiętam i zabieram z sobą adidas i strój do ćwiczeń.



KURTKA RAMONESKA

Zawsze w podróży mam też kurtki ramoneski. Uwielbiam jazdę na motorze i latanie śmigłowcami. Gdy tylko mogę, przesiadam się z samochodu i podróżuję dalej z wiatrem...



CHUSTA

Ponieważ dużo latam, śmiało mogę powiedzieć, że nie ma nic praktyczniejszego niż chusta. Może być poduszką, szalem, kocem. Serdecznie wszystkim polecam – w podróży jest naprawdę nieocenioną pomocą.



KSIĄŻKI

Jednak w mojej walizce zdecydowanie największe miejsca zajmują książki. Czytam po kilka naraz, robię dużo notatek. Zabieram komentarze, kodeksy, ale też „Mistrza i Małgorzatę” Bułhakowa oraz „Wielką szachownicę” Brzezińskiego. Ta książka pomaga mi zrozumieć zasady geopolityki, mechanizmy zachowań USA, Rosji i innych państw.



Kowido- wniebowstąpienie

Jedni będą mówić, że to Pan Bóg od czasu do czasu przywołuje nas do porządku, a to topiąc w potopie naszą utopię, a to zysłając morderczego wirusa. Inni wolą uważać, że Matka Ziemia, zmęczona ludźmi, postanowiła pozbyć się ich części.

To, co wczoraj było świeckim dogmatem, dziś wydaje się kretyńskim absurdem. To, co było politycznie poprawne, okazuje się niebezpieczne dla życia. Jakiś czas temu w redakcji słyszałem, że zamknięcie granic w strefie Schengen jest nie do wyobrażenia. A dziś nikt nie żąda wpuszczania do kraju cudzoziemców, nikt poważny nie zamierza przywracać swobodnego ruchu z zagranicą, bo przecież stamtąd przychodzi niebezpieczeństwo.

Jeszcze parę miesięcy temu czytałem, że trzeba szukać sposobów na utrudnianie wjazdu prywatnych aut do centrów metropolii, aby obywatele poruszali się autobusami, metrem, kolejką. Dziś prezydenci miast likwidują opłaty za parkowanie, by zachęcić mieszkańców do podróżowania prywatnymi samochodami, bo komunikacja miejska to rozsądny środek. A Greta Thunberg wraz ze swoimi poglądami dotyczącymi technologicznych wyrzeczeń nie jest już nieszkodliwą ekscentryczką, awansowała na postać groźną dla świata.

Co więcej – niedawno mówiliśmy, że testowanie leków na zwierzętach to barbarzyństwo. Dziś chętniej korzystamy ze zdrowego rozsądku: skoro to przyspieszy stworzenie szczepionki, to testujcie, nie ma na co czekać.

Nagle się okazało, że państwo powinno być silne, a nie minimalne, powinno dbać o własną produkcję żywności i leków, bo w czasach pandemii nikt nam tego nie sprzeda. Zaraz niemożliwe staną się też ekstrawagancje w stylu elektrowni wiatrowych czy słonecznych, do których trzeba dopłacać grube miliardy dolarów, euro czy juanów. Nikogo nie będzie na to stać i trzeba się będzie przeprosić z węglem, postawić na atom.

A my sami? Nie uganiamy się już za przecenami po galeriach handlowych, martwimy się najwyżej, czy nie zabraknie jedzenia, więc robimy za duże zapasy. Nie przesiadujemy wieczorami w pubach i restauracjach. Spotykamy się w parkach, na spacerach. Odwiedzamy opustoszałe kościoły, w których modlimy się razem już tylko z najwierniejszymi z wiernych, pamiętając, że „gdzie dwóch albo trzech gromadzi się w Moje imię, tam jestem pośród nich”. Żyjemy wolniej, przynajmniej przez pewien czas.

Wzrosła tylko cena zaufania, nie każdemu już podaje się dłoń.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**



ANIOŁKI

Aniołki zaczęły przynosić mi klienci i tak narodziła się spora kolekcja. Mam do nich duży sentyment. Ten z walizki pochodzi z ukochanego miasta – Rzymu. Niedaleko Zamku Anioła mam swój ulubiony taras na Via Vitelleschi. Tam lubię czytać i patrzeć na skąpany w słońcu Watykan. Rzym jest bliski mojej rodzinie, mój dziadek zdawał tu maturę, studiował. Ja dzisiaj do Włoch jeżdżę również zawodowo jako adwokat.



EWANGELIA

W walizce mam zawsze mały zbiór Ewangelii, który dostałam od mojej kochanej babci Izuni zamiast kompasu, żebym się nie zgubiła w jakiegokolwiek życiowej podróży.



SUSZONE OWOCE

Ile razy w podróży uratowały mnie suszone owoce i orzechy. Opóźnienia lotów, pusta lodówka na miejscu i można przeżyć. Lubię produkty, które mają dużo witamin i mikroelementów, ale zajmują mało miejsca. I do tego ani upał, ani mróz im niestraszny.



ZDJĘCIA NAJBLIŻSZYCH

I oczywiście mam też zdjęcia najbliższych, oprócz tych w telefonie wózę z sobą w książkach te ulubione, najchętniej z jakichś wspólnych szaleństw albo rodzinnych spotkań. To takie pigułki radości, gdy jestem z dala od domu.



Fot. Andrzej Wiktor

Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Pomorze padło



Pomorze długo opierało się SARS-CoV-2, ale też padło. Za sprawą dwóch nieodpowiedzialnych mieszkanek miejscowości Pszczółki: jedna lat 49, druga 57. Nie mogły się oprzeć pokusie taniego wyjazdu do Włoch i wracając, przywlokły zarazę. Dalej poszło jak z płatka. Wszystkie pięć zakażonych osób z Pomorskiego to ofiary dwóch niefrasobliwych pań, z których jedna do końca prowadziła biuro rachunkowe. Ale to półbiedy. Narzeczony jednej z nich jest policjantem w Pruszczu Gdańskim. W związku z tym prawie cała tamtejsza komenda wyładowała na kwarantannie. Była policja i nie ma policji. Szczęściem bracia Daltonowie, autorzy najsłynniejszych napadów na banki na Dzikim Zachodzie, od dawna pokutują za swoje grzechy na tamtym świecie. Być może ich polscy następcy zastosowali się do apelu policji o zawieszenie „działalności gospodarczej” na czas trwania pandemii, bo jak na razie jest spokój. Poza tym, że chowając się przed morowym powietrzem, wyjechałem do domu na wsi, który akurat stoi w gminie Pruszcz i... trafiłem w pomorskie epicentrum wirusa. Jak pech, to pech.

Grecy nie mają łatwo na cypryjskiej granicy z Turcją. Nie zapominajmy, że oprócz koronawirusa Europę szturmują rzesze imigrantów z południa. „The New York Times” informował w poprzednim tygodniu o próbie przedarcia się 350 osób do Grecji. Wspierane były przez tureckie służby bezpieczeństwa, które ostrzelały greckie patrole gazem. Tamtejsze siły bezpieczeństwa przy wsparciu straży granicznych z Polski

i Austrii odpierają szturmy „półksiężycy”. Ale Angela Merkel wydaje się już chodzić na miękkich nogach. Na europejskich salonach mówi się o kolejnej transzy 6 mld euro dla Erdoğan. W dodatku nie pojawiły się żadne informacje o dodatkowych warunkach wobec Turcji, jakimi byłaby obwarowana pomoc. Zdesperowani „uchodźcy” (wśród złapanych przez Greków jest wielu Afganów, Persów, kolesiów z krajów Maghrebu, a także Murzynów) stanęli przed ostatnią szansą przebic się do „Festung Europa”. Użyli więc taranów do rozprucia nadgranicznych instalacji. Ale dla potomków Spartan, hoplitów i różnych rodzajów syfony, rury i tuby, za pomocą których wystrzeliano łatwopalne mieszaniny oleju, ropy naftowej, smoły, siarki, saletry, żywicy czy wapna palonego, niestraszne. A co dopiero jakieś tam tarany. Jak Leonidas w termoplińskiej potrzebie odparł szyki króla perskiego Kserksesa, tak dziś grecka policja zatrzymała nawał imigrantów.

Niemcy niczym kandydat na prezydenta Szymon Hołownia usiłujący „korygować” Ewangelię i Pismo Święte w duchu postępu. Niemiecki teolog o. Ansgar Wucherpennig SJ, rektor Filozoficzno-Teologicznej Szkoły Wyższej Sankt Georgen we Frankfurcie, stwierdził, że: „Pismo Święte nie może być jedyną podstawą kościelnego stanowiska na temat homoseksualizmu”. Jezuita ubolewa nad tym, że w Kościele katolickim nie można błogosławić par homoseksualnych. Szkokujące jest stwierdzenie katolickiego kapłana, że takie ceremonie muszą się odbywać „za zamkniętymi drzwiami”.

Sam zresztą przyznał się do tego, że udzielał takiego „błogosławieństwa”. W jego ocenie błogosławienie par jedнопłciowych jest w pełni zgodne z nauczaniem Kościoła. W 2018 r. o. Wucherpennig został obłożony przez Stolicę Apostolską sankcjami, jednak wystąpienie niemieckiego episkopatu i niemieckich jezuitów doprowadziło ostatecznie do zdjęcia tych restrykcji. I znowu wrócił „tęczowy” bełkot. Daj kurze grzędę, a ona: wyżej siędę.

Widząc, że świat niebezpiecznie zmierza w złym kierunku, Amerykanie na wszelki wypadek zbroją się po zęby. Do sieci wyciekły ostatnio zdjęcia najnowszego superdziała SLRC o ogromnym zasięgu. Zdjęcia przedstawiają armatę na pokładzie ciężarówki M1070, którą wykorzystuje się w amerykańskim wojsku do przewożenia czołgów M1A2 Abrams. Choć nie wiemy, ile może ważyć SLRC, to widzimy nawet kilkunastometrową lufę, która z całością może się przełożyć na sprzęt o długości przekraczającej 20 m. Specyfikacja SLRC poraża. Działło ma wystrzeliwać pociski na odległość ok. 1609 km z maksymalną prędkością 2060 m/s, co daje ok. 7416 km/godz. Armatę jest przy tym bardzo dokładna – dzięki wykorzystaniu GPS mówimy o marginesie błędów wynoszącym maksymalnie 10 m. Praktycznie przy odrobinie szczęścia pocisk może z odległości 1,5 tys. km trafić w sedes, na którym akurat usiadł dowolnie wybrany światowy lider. Przywódca Korei Północnej Kim Dzong Un, zwany popularnie „Prosiakiem”, powinien się teraz poważnie nad sobą i swoim postępowaniem zastanowić.

Andrzej Rafał Potocki

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

AUTORY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSSETTE, MARCIN FLJEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZTOF GRZYBOWSKI, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIAKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZIAŁ: ANNA LABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTŁOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBIUT, MARZENA NIKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TRUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE WYRACA MATERIAŁÓW NIEZAMOWIANYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNĄ SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

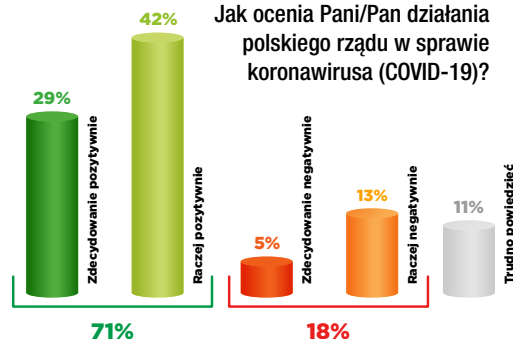


FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

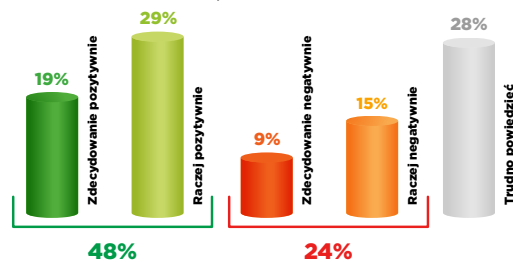


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

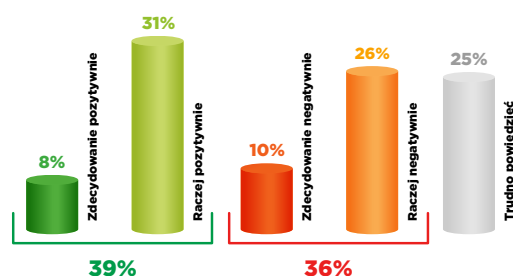
Jak ocenia Pani/Pan działania polskiego rządu w sprawie koronawirusa (COVID-19)?



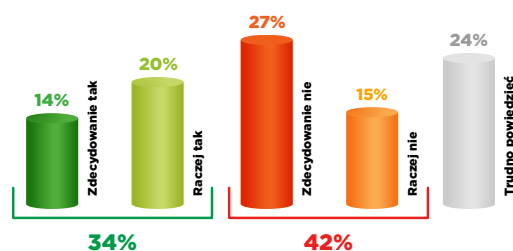
TO SAMO BADANIE, WYNIKI SPRZED TYGODNIA:



Jak ocenia Pani/Pan działania Unii Europejskiej w sprawie koronawirusa (COVID-19)?



Czy według Pani/Pana Małgorzata Kidawa-Błońska jest osobą, która będzie dobrze pełnić funkcję prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej?



Badania realizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1003.

Zakres czasowy badania 13–17 marca 2020 r.



Czeka nas poważna walka

Nigdy nie będzie już tak, jak było. To pierwsza tak wielka epidemia od 100 lat. Ona zostanie w naszej świadomości. Zmienia się nawyki, zachowania. Ale jak dokładnie będzie wyglądało życie po koronawirusie, trudno dziś przewidzieć

Z prof. *Łukaszem Szumowskim*, ministrem zdrowia, rozmawia Dorota Łosiewicz

Wygramy walkę z koronawirusem?

Łukasz Szumowski: Jako populacja ludzka wygramy, a raczej lepiej byłoby powiedzieć, że podpiszemy rozejm. Tak się przeważnie dzieje w przypadku wirusów: stają się łagodniejsze, zasiedlają populację ludzką i dochodzi do kohabitacji. Oczywiście niektóre udało się pokonać, m.in. za pomocą szczepień. Tak było choćby w przypadku polio.

Polska sobie poradzi?

Czeka nas poważna walka. Wyjście z niej zwycięsko będzie wymagało ogromnego wysiłku. Także od pojedynczych obywateli, dla których wprowadzane restrykcje i obostrzenia mające zahamować rozprzestrzenianie się koronawirusa są bardzo dotkliwe. Finansowe i gospodarcze

skutki dla wszystkich będą mocno odczuwalne. Wiem, że mamy mnóstwo ludzkich dramatów, zwłaszcza wśród osób, które pracowały na tzw. umowach śmieciowych i z dnia na dzień pozostały bez dochodu. Ogromny pakiet ekonomiczny, który zapowiedział premier, ma pomóc, ale nie jesteśmy w stanie zniwelować wszystkich skutków pandemii.

Ludzie często zadają sobie dziś pytanie, czy jeszcze kiedyś będzie normalnie?

Nigdy nie będzie już tak, jak było. To pierwsza tak wielka epidemia od 100 lat. Ona zostanie w naszej świadomości. Zmienia się nawyki, zachowania. Ale jak dokładnie będzie wyglądało życie po koronawirusie, trudno dziś przewidzieć.

Jaki jest czarny scenariusz dla Polski?

Czarny scenariusz realizuje się we Włoszech, a także już poniekąd w Hiszpanii. I taki scenariusz może nieestety dotknąć każdy kraj. Spójrzmy na Niemcy. Tam dzienne przyrosty zachorowań są na poziomie kilkudziesięciu procent. To pokazuje, do czego jest zdolny ten wirus. Procenty nie oddają oczywiście tego, czym jest epidemia. Śmiertelność u osób starszych wynosi 10 proc. To znaczy tyle, że nasi rodzice, nasi dziadkowie są bardzo zagrożeni i naszą rolą jest otoczenie ich opieką poprzez izolację.

Są symulacje, z których wynika, że jeżeli nie wyhamujemy krzywej wzrostu zachorowań, to pod koniec marca osiągniemy włoski scenariusz.

Robimy wszystko, żeby wyhamować rozprzestrzenianie się wirusa. Temu służą wszystkie nasze dotychczasowe działania. Jesteśmy jednak przygotowani na poważny wzrost zachorowań. W tzw. jednoimiennych szpitalach zakaźnych mamy 10 tys. miejsc, 10 proc. z nich to łóżka z respiratorami.

Brakuje też maseczek, fartuchów, gogli.

Wszystkim na świecie brakuje, bo nikt nie szykował się na pandemię. Dziś w niektórych mediach mogliśmy przeczytać, że Francuzi wyczerpali zapasy środków ochrony osobistej. My staramy się ściągać sprzęt z każdej strony świata, w tym także z Chin. Codziennie rozmawiamy z oferentami i staramy się robić nowe zakupy. Pracujemy także nad uruchomieniem polskiej produkcji. Niesamowici są polscy przedsiębiorcy, którzy proponują nam przesunięcie swoich linii produkcyjnych w stronę szycia kombinezonów, masek, sprzętu ochronnego. Chwilę przed naszą rozmową wojewodowie dostali dyspozycje zaopatrzenia ratowników w kolejny sprzęt ochrony osobistej. 13,5 tys. masek oraz 6 tys. kombinezonów dla diagnostów. Wiemy, że oni są na pierwszej linii frontu. Do wszystkich szpitali jednoimiennych dotarło po tysiąc sztuk kombinezonów i po tysiąc sztuk masek.

Co będzie dalej z dystrybucją arechinu, leku, który może wspomagać leczenie?

Na razie rozdysponowaliśmy 6,5 tys. opakowań arechinu do szpitali zakaźnych. Na szczęście Polska produkuje ten lek i mamy zasoby. Trzeba jednak pamiętać, że to nie jest lek, który leczy, tylko wspomaga leczenie, bo na koronawirusa leku na razie nie ma. Nie mamy jeszcze pewnych danych klinicznych, nie wykonywano pełnych badań. Arechin jest dopuszczony przez Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych.

Czy pana zdaniem lekarze nie powinni być profilaktycznie poddawani testom. Najlepiej szybkim?

Każdy test – i ten tzw. szybki, czyli immunoenzymatyczny, i ten genetyczny – można zrobić najwcześniej po tygodniu od kontaktu z osobą zakażoną. Genetyczne są znacznie dokładniejsze, bo wylapują bezpośrednio wirusa. Testy szybkie, czyli te wykrywające przeciwciała, mogą być bardzo złudne, ponieważ organizm może nie wytworzyć przeciwciał lub wytworzył niewystarczającą ich ilość. Wynik będzie wtedy ujemny, a mimo to osoba może być zakażona. Jest więc dużo wątpliwości co do zastosowania

Długo rozmawialiśmy z premierem, prezydentem, kolegami z rządu i wspólnie doszliśmy do wniosku, że wyżej cenimy życie i zdrowie ludzkie niż wyniki gospodarcze. Poniesiemy koszty gospodarcze, ale ratujemy ludzi

testów immunoenzymatycznych. Najlepszą ochroną dla lekarzy będzie wysoka świadomość pacjentów. To bardzo ważne, by nie iść do lekarza, nie iść na izbę przyjęć czy na SOR, jeżeli mamy infekcję. Dramatem jest to, że pacjenci pojawiają się w szpitalach niebędących zakaźnymi i zatają możliwe zakażenie. Dochodzi wtedy do zakażenia personelu, przeniesienia wirusa na innych pacjentów. Nie wolno tego robić. Każda osoba, która przechodzi teraz infekcję, ma objawy grypopodobne, powinna zachować szczególną ostrożność w kontaktach z innymi i w kontaktach z personelem medycznym. Mam ogromny apel do wszystkich pacjentów. Jeśli ktoś ma podejrzenie, że może być zakażony, musi o tym mówić od razu. Najlepiej zgłosić się do szpitala zakaźnego. Pamiętajmy o personelu medycznym. Dbajmy o niego.

Skąd się biorą w przyrodzie takie wirusy jak SARS-CoV-2?

Najpierw są u zwierząt, a potem zaczynają mutować i przenoszą się na człowieka. Gdy jeszcze mają zdolność przeskakiwania z człowieka na człowieka, to pojawia się epidemia. Wirus MERS miał bardzo wysoką, 30-procentową śmiertelność, przeniósł się z wielbłąda na człowieka, ale nie uzyskał umiejętności przenoszenia się z człowieka na człowieka. Ten nowy wirus niestety ją uzyskał.

Jak pan ocenia strategię europejskich rządów w walce z koronawirusem? Brytyjczycy muszą płacić kary, ale nie za nieuprawnione wyjście z domu (jak teraz we Włoszech), ale za nieposłanie dziecka do szkoły.

Ja bym nigdy takiej strategii nie zaproponował. Moim zdaniem koszty ludzkie byłyby gigantyczne. Jestem przekonany, że nie jest to strategia słuszna. Warto przy tym pamiętać, że Wielka Brytania jest wyspą, nigdy nie byli w strefie Schengen, mają więc kontrolę na granicach. Napływ ludzi jest kontrolowany, dlatego w pierwszej fazie epidemii w Wielkiej Brytanii był stosunkowo niski wzrost zachorowań. Francja jednak już wyspą nie jest, tam pewne restrykcje wprowadzono dopiero po wyborach samorządowych. Myślę, że niechęć do wprowadzania restrykcji jest wynikiem obaw polityków związanych z ceną radykalnych działań, jakie my podjęliśmy. Długo rozmawialiśmy z premierem, prezydentem, kolegami z rządu i wspólnie doszliśmy do wniosku, że wyżej cenimy życie i zdrowie ludzkie niż wyniki gospodarcze. Poniesiemy koszty gospodarcze, ale ratujemy ludzi.

Unia Europejska pomaga?

Słyszymy o miliardach dla Polski na walkę z koronawirusem, ale to nie są wcale dodatkowe pieniądze, tylko to jest zgoda na wykorzystanie w inny sposób przyznanych już pieniędzy. Unia nie przeznaczyła żadnych dodatkowych środków na walkę z epidemią, jedynie uelastyczyła możliwości



wydawania środków. Największe pieniądze idą z budżetu państwa. Jeśli chodzi zaś o tzw. wspólne zamówienia, to sytuacja wygląda tak, że każde z państw próbuje wyrwać, co może. Nie jest to świetnie działający mechanizm.

Dużo mówimy ostatnio o odpowiedzialności Polaków. Wielu dostosowało się do zasad narodowej kwarantanny, ale są też zachowania nieodpowiedzialne. Byli tacy rodzice, którzy po zamknięciu szkół polecieli z dziećmi na Maltę. Nad Wisłą w ciepłe dni gromadzą się tłumy.

W Polakach jest coraz większa odpowiedzialność i świadomość, że wszystko zależy od nas samych. Narodowa czy też społeczna kwarantanna jest naprawdę potrzebna. Policja kontroluje osoby przebywające w kwarantannie. Ponad 99 proc., czyli ponad 30 tys., osób jest w tym czasie w domu, to znaczy, że Polacy są bardzo zdyscyplinowani. Do osób, którym wydaje się, że są wakacje, mogę wystosować ten sam apel: to nie są wakacje, bądźmy odpowiedzialni za siebie i innych! Potrzebujemy powagi i odpowiedzialności wszystkich Polaków. Jeżeli chcemy spowolnić rozprzestrzenianie się wirusa, to odpowiedzialne zachowanie, pozostanie w domu, może uratować życie innym, zapewne słabszym od nas,

Dramatem jest to, że pacjenci pojawiają się w szpitalach niebędących zakaźnymi i zatajają możliwe zakażenie. Dochodzi wtedy do zakażenia personelu, przeniesienia wirusa na innych pacjentów. Nie wolno tego robić

starym i schorowanym. My musimy zatrzymać gwałtowną falę chorych przybywających do szpitali. We Włoszech rozgrywa się prawdziwy dramat. Gdy widziałem wczoraj ludzi leżących na czymś w rodzaju pryczy, to miałem nieodparte skojarzenie z Kalkutą. Tak to właśnie wyglądało w Indiach. Pacjenci leżą w jednej hali, w dwumetrowych odstępach, nawet bez żadnych osłon.

Skoro o Kalkucie pan wspomina, to sieć podbija pana zdjęcie ze świętą Matką Teresą z Kalkuty. Pracował pan w „umieralni”. Jak do tego doszło?

Pojechaliśmy z żoną po studiach w podróż życia. Pociągami z Warszawy do

Indii. W Indiach zrozumieliśmy, że nie możemy nie pojechać do Kalkuty i chociaż nie zobaczyć Matki Teresy z daleka. Gdy pojawiliśmy się w klasztorze, usłyszeliśmy: „Wolontariusze! Zapraszamy”, i od razu przydzielono nam zadania. Z Matką Teresą widywaliśmy się dwa razy dziennie. Rano na mszy świętej i wieczorem na adoracji. Tam się zwykle nie robi zdjęć, trzeba mieć specjalną zgodę, ale wolontariusze mogą zrobić jedno zdjęcie na pobyt i tak powstała ta słynna fotografia.

Co robiliście w „umieralni”?

Wszystko, co było do zrobienia. Myśliśmy chorych, wysadzaliśmy ich, poiłymi, karmiliśmy, praliśmy im ubrania. A ponieważ byliśmy tam jedynymi medykami, więc były i zadania typowo medyczne. Przeprowadziłem chyba jedyną w moim życiu amputację palca, i to w znieczuleniu miejscowym, bo innego nie było. Czyściłem też zakażone rany. To działania, które tam są rutynowe, a w kulturze europejskiej są rzadko widywane.

Bał się pan wtedy? Boi się pan teraz?

Strach nie jest dobrym doradcą. Trzeba zachowywać się racjonalnie. Będąc w Indiach, każdy produkt myśliśmy wodą z butelki, płynem odkażającym, potem znów wodą. Obowiązywały te same zasady, którym trzeba poddać się

teraz: myć ręce, dbać o higienę. Dziś stosowanie się do tych zasad po prostu chroni zdrowie i ratuje życie.

Środowiska lewicowe, liberalne zarzucają panu, że zawierzył pan Ministerstwo Zdrowia Matce Bożej.

To typowy fake news. Byłem na pielgrzymce, na której pielęgniarki ze Związku Katolickich Pielęgniarek i Położnych odczytały zawierzenie służby zdrowia Matce Bożej. Robią to co roku. Byłem obecny na tej pielgrzymce w Częstochowie. Jako minister nie mam takich narzędzi, by zawieść służbę zdrowia Matce Bożej. Mogę sam siebie zawieść, jako ja, czyli jako Łukasz Szumowski.

Jak pan dba o siebie?

Myję i dezynfekuję ręce. Nie biorę żadnych suplementów, nie lykam leków przeciwwirusowych, staram się, na ile to możliwe, wysypiać.

Śpi pan? Widząc pana na codziennych konferencjach, raczej powiedziałabym, że niewiele.

Rzeczywiście, ostatnio zdecydowanie mniej. Sen jest potrzebny, bo bez tego nie da się rozłożyć wytrzymałości fizycznej i psychicznej na dłuższy czas.

Poddał się pan testowi, gdy się okazało, że minister Woś jest chory?

Nie miałem z nim kontaktu. Nie byłem na Radzie Ministrów, na której on był. Prędzej czy później pewnie jednak będę musiał się zbadać. Wykonuję dziś zawód wysokiego ryzyka. Dużo spotkań, kontaktów, zespół kryzysowy pracuje 20 godzin na dobę. Po skardze pracownicy WHO, że oni pracują po 13 godzin na dobę, moi współpracownicy żartowali, że musimy zwolnić, bo WHO zaleca dzień nie 13 godzin pracy. Test zrobię dopiero wtedy, gdy będę miał wiedzę, że miałem kontakt z osobą zakażoną. Gdybym zaś taką wiedzę już miał, to najpierw musiałbym iść na kwarantannę i dopiero po siedmiu dniach mógłbym się poddać testowi. Nie istnieje mechanizm szybkiego wykrywania wirusa u mi-

nistrów. Dotyczy nas ten sam mechanizm, co wszystkich Polaków. Dopiero po siedmiu dniach od kontaktu wirus się inkubuje, wykluwa i wtedy można stwierdzić, czy ktoś jest zakażony, czy nie jest.

Zbiera się Sejm. Czy posłowie powinni pracować? To 465 osób w jednej sali.

Sejm to na szczęście duży budynek. Prace można zorganizować tak, by w jednym miejscu nie przebywało więcej niż 50 osób. Rozmawiałem o tym z marszałek Witke. Są pomysły, jak to zrobić. Oczywiście, gdyby nie było takiej potrzeby, nikt by Sejmu nie zwoływał, ale przedsiębiorcy, osoby zatrudnione na umowach-zleceniach czy o dzieło potrzebują szybkich dzia-

Nie chciałbym być odbierany jako jakiś superbohater. Robię to, co robiłem do tej pory, i staram się to czynić jak najlepiej. Miłe jest to, że ludzie patrzą na mnie życzliwiej niż kiedyś. Mam jednak świadomość, że nastroje ludzkie mogą się w każdej chwili odwrócić

łań regulacyjnych, choćby wydłużenia terminu spłaty obciążeń. Tych działań nie można odłożyć w czasie, bo skutki byłyby potwornie dotkliwe dla Polaków. Ustawę po prostu trzeba przyjąć, inaczej nie da się pomóc ludziom.

Czy pana zdaniem należałoby przesunąć termin wyborów prezydenckich?

Wszelkie polityczne dywagacje to nie moja działka. Ja zajmuję się organizacją leczenia, pracą szpitali, zaopatrzeniem w sprzęt. Musimy obserwować sytuację, co się będzie działo, jak będzie się

rozprzestrzeniała choroba. Być może w kwietniu będzie można podejmować jakieś decyzje w tej sprawie.

Rekomenduje pan wydłużenie okresu zamknięcia szkół?

Z punktu widzenia epidemicznego byłoby to rozsądne działanie.

Niektórzy lekarze mówią, że wiosna, słońce będą sprzymierzeńcami w walce z epidemią. Zgadza się pan z tą opinią?

Za wcześnie, by mieć pewność, że tak będzie. Teraz tego nie wiemy. Podobnie, jak nie wiemy, czy na jesieni będzie powtórne uderzenie wirusa. COVID-19 istnieje od stycznia, w Polsce jest od lutego. Jego zachowania obserwujemy zbyt krótko, by mieć pewność, jak się zachowa.

Czuje się pan superbohaterem, którym okrzyknęli pana Polacy, o czym można poczytać w internecie?

Nie i nie chciałbym być tak odbierany. Robię to, co robiłem do tej pory, i staram się to czynić jak najlepiej. Miłe jest to, że ludzie patrzą na mnie życzliwiej niż kiedyś. Mam jednak świadomość, że nastroje ludzkie mogą się w każdej chwili odwrócić.

A jak urodziło się pana zamiłowanie do boksu?

Ech. Od trzech tygodni nie byłem na treningu. Teraz już zupełnie nie ma na to czasu. A lubię bardzo intensywny trening i wysiłek. To też rozładowanie emocji. Kiedyś trenowałem pływanie na kajakach górskich, jeździłam na nartach – slalom i slalom gigant. Poza tym uprawiałem koszykówkę – byłem w reprezentacji Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Dziś jest boks. Wciągnęli mnie w to koledzy z Kliniki Zaburzeń Rytmu Serca Michała Orczykowskiego. Ten ostatni chodził do Tomka Kosteckiego do Akademii Walki. Ja też tam zajrzałem i złapałem bakcyła.

Ma pan jeszcze życie rodzinne?

Niezwykle ograniczone. I to jest największa strata ostatnich dni.



Koniec życia w iluzji

*Nieoczekiwanie znaleźliśmy się w sytuacji królików doświadczalnych w laboratorium.
Pandemia jest jak eksperyment bezlitośnie testujący państwa i jednostki*



MAJA NARBUTT

Mamy do czynienia z efektem skali. Kiedy rośnie liczba zakażonych, do coraz większej liczby ludzi dociera, że sytuacja jest poważna. Straciliśmy poczucie bezpieczeństwa, bo rozumiemy, że nie możemy już nad wszystkim zapanować i nie bardzo mamy kontrolę nad własnym życiem – mówi psycholog Marta Gruhn.

Z okna swego warszawskiego mieszkania, w którym rozmawia z pacjentami na Skypie, obserwuje kolejkę pod apteką. Do środka może wejść tylko jedna osoba, reszta karnie stoi przed budynkiem, zachowując duże odstęp.

– Musimy się zmierzyć z pierwotnym lękiem. Chociaż długo żyję, nie doświadczyłem nic podobnego. Czujemy, że zagrożenie może nadejść z każdej strony, nie wiadomo skąd i od kogo. Zwiększamy dystans wobec innych ludzi, chociaż brak pewności, czy to wystarczy – mówi mi profesor psychologii Kazimierz Pospiszyl.

Również on wygląda przez okno swego domu, patrzy na leżący na obrzeżach Warszawy Las Kabacki. Zrobił się

tu prawdziwy tłok, podobnie jak na położonym w centrum miasta Polu Mokotowskim. Niektórzy lekarze z przekonaniem zapewniają przecież, że najważniejsze jest dotlenienie organizmu i że trzeba spacerować. Chociaż są i tacy, którzy z równym przekonaniem twierdzą, że najważniejsze to nie wychodzić z domu bez koniecznej potrzeby, o czym świadczą chociażby zarządzenia wprowadzone we Francji.

Nic nie jest oczywiste, najwyklesza czynność może nieść zagrożenie. W szybkim tempie uczymy się nowych zachowań. Dawny świat przetrwał jeszcze w reklamach telewizyjnych. Patrzymy, jak na ekranie ludzie ocierają się o siebie w pubach, krzyczą na

stadionach i rzucają się sobie na szyję. Nawet reklama jedzenia na wynos wygląda dziś surrealistycznie – zachwycony pysznym daniem klient z błogim uśmiechem ściska w niej kuriera.

Pandemia COVID-19 zmieniła jeszcze jedno – pokazała, że nikt, niezależnie od pozycji społecznej, nie może się czuć bezpieczny. To lekcja pokory.

– Koronawirus ma bardzo demokratyczną naturę. Kosi równo bogatych i biednych, tych, co mieszkają w blokach, i tych z apartamentów. Chorują celebryci, członkowie elit i zwykli ludzie – podkreśla socjolog Małgorzata Bogunia-Borowska, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

TABU ŚMIERCI

Nieoczekiwanie okazało się też, że kiedy dzieje się coś złego, pryskają uroki globalizacji. Kierowani jakimś instynktem ludzie chcą wrócić do swych ojczyzn, przedzierają się przez zamykające się granice, stoją w gigantycznych korkach. Szukają bezpieczeństwa wśród swoich, a może podświadomie czują, że jeśli stanie się najgorsze, lepiej być w domu.

Wszystko zmienia się też w zawrotnym tempie: to, co wczoraj wydawało się niemożliwe, dziś staje się faktem.

To świetny grunt, na którym rozwijają się i kwitną fake newsy. Bo jeśli nagle zamykają się granice państw UE, to dlaczego nie mielibyśmy uwierzyć, że za chwilę Warszawa stanie się miastem zamkniętym? Zwłaszcza gdy ci, którzy przekazują nam te informacje, zapewniają, że usłyszeli to od kuzynki, która ma znajomych w ABW lub ratuszu? Albo dlaczego nie mielibyśmy się oburzyć, że ludzie masowo przyprowadzają psy do weterynarzy, żądając ich uspienia, bo boją się, że przenoszą koronawirusa? Ta historia zrobiła karierę w mediach społecznościowych, obrosła w drastyczne szczegóły. Oficjalnie zdementował ją w końcu związek weterynarzy.

Jak uważa psycholog prof. Kazimierz Pospiszyl, jesteśmy coraz bardziej rozchwiani emocjonalnie i w zasadzie radzimy sobie z epidemią gorzej niż poprzednie pokolenia. Sytuacja nas przerosła, nie mamy spójnego systemu wartości, który pomógłby nam przetrwać.

– Pandemia przypomina nam o śmierci, która przecież stała się w naszej kulturze tabu, jak był nim kiedyś seks. Najgorzej na całą sytuację będą reagować ludzie, którzy w ogóle nie chcą się konfrontować z własną śmiertelnością, są skłonni do nerwiczek lękowych – mówi mi psycholog i psychoterapeuta Bogusław Włodawiec.

Niektórzy niemal już uwierzyli, że jeśli będą biegać maratony i posypywać owsiankę nasionami chia, śmierć o nich zapomni, a choroba ominie. Ta iluzja rozpada się na naszych oczach.

Z sytuacją zagrożenia nie radzą sobie nawet ci, którzy zawodowo walczą z cudzymi lękami.

– Jestem zbulwersowany tym, co spotkało moją pacjentkę. Miała wizytę w poradni przy Szpitalu Bielańskim. Wizytę odwołano, ale obiecano, że psychiatra prześle jej e-receptę. Nie odezwał się. Kiedy przyszła do poradni, była tam tylko sprzątaczką. Zamiast recepty dostała esemesa, że wizyta nie odbyła się z powodu niestawienia się pacjentki – opowiada Bogusław Włodawiec.

Bez lekarstw cierpiąca na chorobę afektywną dwubiegunową kobieta mogła stanowić zagrożenie dla siebie lub innych. Ostatecznie bezinteresownie pomógł jej prywatny psychiatra, który wcześniej wcale jej nie leczył.

Takie rzeczy będą się zdarzały coraz częściej. Niektórzy ludzie będą się zachowywać przyzwoicie, inni – wręcz przeciwnie, nawet jeśli przyzwoite zachowanie nie będzie od nich wymagało żadnej odwagi.

PAN Z MAKARONEM

– 24 godziny na dobę i przez siedem dni w tygodniu. Fabryka makaronów Lubella pracuje bez przerwy, podobnie Winiary produkujące sosy. Traktujemy to trochę jak misję. Tak samo jak misją jest przekazywanie żywności szpitalom zakaźnym – mówi mi Dorota Liszka, rzecznik prasowy Maspexu, jednego z największych koncernów spożywczych w naszej części Europy.

Kiedy pandemia oficjalnie była tylko epidemią, żartowano z ogołacanych z makaronu półek w supermarketach. „Sympatyczny pan z zapasem maka-

ronu pozna miłą panią z zapasem sosów” – to jeden z serii tych dowcipów.

Podobnych dowcipów już się raczej nie opowiada, a zaopatrzenie staje się sprawą bardzo poważną. Nic nie zagraża łańcuchowi dostaw, to oczywiste, że w krytycznej sytuacji do transportu do marketów zaangażowano by wojsko, tak jak to się stało już w Austrii.

Problemem jest raczej sposób dokonywania zakupów. Niektórzy traktują to jak swego rodzaju operację specjalną – trzeba mieć listę zakupów, szybko zgarnąć towar do koszyka – trzymanego przez papierową chusteczkę, jak przypomina Ministerstwo Zdrowia – i zapłacić kartą, w miarę możliwości zbliżeniowo. Jednak są nadal ludzie, którzy traktują wszystko niefrasobliwie. Krążą wśród półek, a potem wysypują kasjerce banknoty i monety.

– Starsi ludzie, przychodząc czasem kilka razy dziennie do sklepu, zachowują się nieracjonalnie. Ale to dla nich często jedyna forma kontaktu z innym człowiekiem i nie potrafią z niej zrezygnować. Raczej nie zdają sobie też sprawy z zagrożenia, nie surfują





przecież po internecie, szukając wskazówek, jak się zachować podczas pandemii – mówi psycholog i psychoterapeutka Marta Gruhn.

Zakupy stają się coraz trudniejsze – sklepy internetowe podają coraz odleglejsze terminy. Coraz bardziej oczywiste jest, że mądrą taktyką było zrobienie rozsądnych zapasów.

– Znajomi śmiali się ze mnie, że przesadzam, kiedy w pierwszych dniach marca mówiłam im, żeby robili drobne zapasy. Nic wielkiego, ale warto do koszyka w supermarkecie wrzucić dodatkowy produkt, który może dłużej poleżeć, warto też kupić mięso, podzielić na porcje i włożyć do zamrażalnika. Wstawić kilka zgrzewek wody do wersalki. Zaopatrzyć się w środki higieniczne. Byłam pewna, że w końcu koronawirus dojdzie do nas i trzeba być przygotowanym na różne scenariusze – przyznaje prof. Małgorzata Bogunia-Borowska.

Jak uważa, na tle zachodniej Europy Polacy wykazali się w sumie pewną przezornością i zdyscyplinowaniem.

– Nasze społeczeństwo ma pewien gen pamięci. Wiemy, że bywają trudne czasy, przeżyliśmy katastrofę w Czarnobylu, rozumiemy, że zdarzają się rzeczy, które trudno przewidzieć. Tej intuicji nie mają społeczeństwa zachodnie. Nie wyczuły, że zbliża się coś złego. Coś, co im naprawdę zagraża i zabija – mówi socjolog.

Największą wartością był hedonistyczny styl życia. Obrócić się przeciw nim, bo uznali, że nic nie może go zepsuć i żaden wirus nie będzie im dyktować, że powinni zrezygnować

z wyjść do restauracji, klubów i jakoś się ograniczać.

ZABÓJCZE JABŁKO

„Czy można jeść jajka na miękko? A czy zjedzenia jabłka jest bezpieczne?” – takie pytanie zadał ekspertowi zaproszonemu do studia telewizyjnego jeden z widzów. W pierwszej chwili można się było roześmiać, ale śmiech zamarł na ustach, gdy usłyszało się wyjaśnienia.

Bo, jak mówił dr Paweł Grzesiowski, z rekomendacji WHO wynika, że należy teraz spożywać pokarmy poddane obróbce termicznej. Nie padła jasna odpowiedź, czy jabłko nas zabije albo przynajmniej zakazi, ale zrobiło się dość nieprzyjemnie.

To, co wczoraj było uznawane za bezpieczne – na przykład spożywanie posiłków dostarczanych na wynos, dziś nie wydaje się już najlepszym pomysłem. Trzeba przecież wziąć pod uwagę problem opakowania – jeśli wierzyć poważnemu źródłu, jakim jest „The New England Journal of Medicine”, to koronawirus może przetrwać na kartonie dobie, a na powierzchni plastikowej nawet trzy doby.

Oczywiście inne źródła podają trochę inne dane. To już reguła w kwestii ko-

ronawirusa – opinie ekspertów często różnią się zasadniczo, a czasami potrafią oni powiedzieć rzeczy zdecydowanie kontrowersyjne.

„Ależ oczywiście, że dobrze się zaszczepić na grypę” – z miłym uśmiechem odpowiadał widzowi inny zaproszony do tv lekarz. Tak jakby nie zauważył, że Ministerstwo Zdrowia zawiesiło szczepienia dzieci, wychodząc z założenia, że nie jest rozsądne, by odwiedzać teraz przychodnie. A poza tym przyjęcie szczepionki na grypę na pewien czas osłabi odporność układu immunologicznego na inne infekcje.

– Czasem odnoszę wrażenie, że kiedy tabloidy pytają jasnowidza Jackowskiego, jak rozwinie się sytuacja, mają taką samą szansę na prawdziwą prognozę jak ci, którzy opierają się na poważnych opracowaniach – uważa jeden z moich rozmówców.

Ciągle zbyt mało wiemy o koronawirusie COVID-19, by stawiać wiarygodne prognozy. – Żaden matematyk nie może obliczyć, jak będzie się rozwijać pandemia, jeśli nie dostanie danych, których, jak mam wrażenie, jeszcze nie ma. Chyba nie wszystko wiadomo o wirusie, a poza tym sprawę komplikuje to, że zakażają nawet ci, którzy nie mają żadnych objawów – mówi mi prof. Krzysztof Diks, matematyk specjalizujący się w algorytmach i strukturach danych.

Kiedy trudno oprzeć się na racjonalnych podstawach, nieuchronnie zaczynamy wpadać w metafizykę.

– Żyjemy w wieku katastrof. Były pewne znaki, które należało odczytać. Zamachy terrorystyczne, katastrofa elektrowni atomowej w Fukushima, pożar katedry Notre-Dame w Paryżu, pożary w Australii. Niezwykle nagromadzenie zaskakujących sytuacji, które powinny dać do myślenia. Ta sytuacja zmusza do pokory. Nie jesteśmy nieśmiertelni ani nie mamy patentu na wszystkie katastrofy – mówi mi jeden z naukowców.

KIEDY SIĘ SKOŃCZY

Jedyną pewną rzeczą jest teraz to, że przyszłość jest bardzo niepewna. Kiedy pytam moich rozmówców, jakie są ich plany, zwykle mówią, co będą robić za miesiąc lub dwa, „kiedy to się wreszcie skończy”.

Nieliczni doszli jednak już do wniosku, że zagrożenie związane z pandemią jeszcze długo nie musi być wcale mniejsze. A świat zaczął się już zmieniać w sposób, który trudno było przewidzieć, a przy okazji ujawniły się trochę nieprzyjemne rzeczy.

– Nasza cywilizacja opierała się na zasadzie, że chroni się słabszych. A słabsi to dzieci i starcy. Dzieci są urocze i w sposób naturalny chce się je chronić. Ale ludzie starsi nie są tak uroczy, wręcz bywają irytujący, i mówię tu także o sobie. Nikomu na świecie nie chce to przejść przez usta, ale chyba stosunkowo łatwo spisano seniorów na straty – mówi mi 80-letni prof. Pospiszył.

Wiele państw zapewne bardziej i szybciej przejęłoby się pandemią COVID-19, gdyby nie przekonanie, że dotknie przede wszystkim starych ludzi i będzie swoistą formą eugeniki, zmieniającą społeczeństwo. Widać to było zwłaszcza w wypadku Wielkiej Brytanii i Szwecji.

Koronawirus ma bardzo demokratyczną naturę. Kosi równo bogatych i biednych, tych, co mieszkają w blokach, i tych z apartamentów. Chorują celebryci, członkowie elit i zwykli ludzie – podkreśla socjolog Małgorzata Bogunia-Borowska, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego

O tym, że pandemia będzie miała wiele dalekosiężnych skutków społecznych, negatywnych i pozytywnych, przekonani są socjolodzy. Mówienie o pozytywach brzmi co najmniej niewłaściwie, gdy okupione to będzie wieloma tysiącami istnień,

niemniej naukowcy wybiegają już w przyszłość.

Jak mówi prof. Bogunia-Borowska, nastąpi wiele przewarściowań. Wiele osób dojdzie do wniosku, że nie musi daleko podróżować i nastawiać się na konsumpcję rozmaitych dóbr i usług. Uznają, że czasem warto zostać domu. Spędzić urlop we własnym kraju. I w ogóle zacząć się zastanawiać, czy warto tak pracować, żeby zapewnić sobie rzeczy, bez których można się obejść.

– Jeśli zostaniemy w domach na dłużej, to nasze zwyczaje i codzienność mogą się zmienić. Przecież już teraz się okazuje, że można na dużą skalę organizować pracę w sposób zdalny. Będą też zmiany makrostrukturalne.

Zmienia się alianse polityczne i gospodarcze. Pandemia to czas próby. Jesteśmy jak w eksperymencie laboratoryjnym, w którym państwa, relacje, ludzie są testowani z zaradności, lojalności, godności – uważa.

Fot. 3 x Andrzej Wiktoria

30 marca w tygodniku **SIECI**

ukaze się kolejny dodatek z olimpijskiego cyklu



PARTNER DODATKU



- historia igrzysk
 - Londyn 1948, Helsinki 1952 i Melbourne 1956
- sukcesy Polaków
- największe olimpijskie gwiazdy



Ten wirus już nie wróci

W Europie jeszcze będzie wzrost zakażeń i on się utrzyma, dopóki każdy kraj będzie działał zgodnie ze swoim uznaniem i nie zostanie wypracowana jakaś wspólna linia

Z prof. dr. hab. Włodzimierzem Gutem, wirusologiem, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Niektórzy eksperci twierdzą, że wirus SARS-CoV-2, bo taką oficjalną nazwę ma koronawirus z Chin, zaraża 80 proc. populacji, zachoruje 20 proc., a umrze od 2 do 3 proc. chorych. Czy są jakieś podstawy, żeby twierdzić, że taka prognoza jest prawdopodobna?

Włodzimierz Gut: Raczej nie. Takie opinie wygłasza się wtedy, kiedy z jednej strony nie można się skompromitować, nie doceniając problemu, z drugiej zaś, jeśli problem okaże się mniejszy, można powiedzieć, że mamy zasługi w jego zwalczeniu. W tej chwili liczba zarażonych sięga około 200 tys., co w skali świata jest niewielką liczbą.

Czy można się spodziewać, że lada moment nastąpi przesilenie i zacznie spadać liczba osób zarażonych?

Zależy od regionu. W Europie jeszcze będzie wzrost zakażeń i on się utrzyma, dopóki każdy kraj będzie działał zgodnie ze swoim uznaniem i nie zostanie wypracowana jakaś wspólna linia. Ale wszyscy w tej chwili dążą do jednego standardu, więc choć przez jakiś czas krzywa zachorowań będzie rosnąć, później zacznie się obniżać.

A co jest teraz standardem?

Raczej co powinno być, bo na razie są różne eksperymenty, zaczynając od



brytyjskiego, który budzi przerażenie, kończąc na naszym, gdzie w tej chwili zajmujemy się właściwie odpieraniem napływu wirusa z zewnątrz, przy próbie utrzymania sytuacji w kraju na jakimś przyzwoitym poziomie.

Anglicy początkowo zastosowali taktykę „odporności stadnej”, to znaczy kto ma zachorować, zachoruje, kto ma umrzeć, umrze, a my jako imperium przetrwamy.

Problem polega na tym, że nie da się rozdzielić populacji na grupy zagrożone i grupy, które przejdą do łagodniej. Jest to automatyczne skazanie określonej grupy na ciężki przebieg

choroby, a w ostatecznym przypadku na śmierć.

Ale przecież są grupy szczególnie narażone na zachorowanie i śmierć, osoby starsze, z innymi chorobami, o słabej odporności albo otrzymujące leki osłabiające odporność.

Tak, ale to są grupy, które wymagają często opieki ze strony innych ludzi, opieki lekarskiej i tu kontakt z młodszymi grupami, które mogłyby łagodniej to przeżyć, niestety jest koniecznością.

Anglicy zmieniają taktykę, każą osobom powyżej 70. roku życia zostać



Fot. DimaBerlin / Shutterstock, wPolisa.pl

w domach przez najbliższe cztery miesiące, bo eksperci wyliczyli, że przy taktyce „odporności stadnej” może umrzeć 250 tys. osób, a jeżeli wprowadzi się taką kwarantannę, to liczba zgonów zamknie się w 20 tys.

Chińczycy pokazali, że przy ich populacji można zatrzymać epidemię na poziomie 80–90 tys. zachorowań, zgony stanowią około 10 proc. tej liczby, a jest to populacja w skali świata znacząca. Taktyka Anglików przy tak przewidywanych stratach jest szaleństwem.

Skąd się ten wirus właściwie wziął? Bardzo popularne są teorie spiskowe, wyciąga się książkę sprzed 40 lat Deana Koontza, amerykańskiego autora thrillerów, który napisał w niej o wirusie Wuhan-400 i prorokował, że w 2020 r. pojawi się wirus, który spowoduje bardzo ciężkie zapalenie płuc.

Takie wirusy były znane, on korzystał z wiedzy o wirusie amerykańskim, hantawirusie Sin Nombre, który akurat w USA się pojawił i wywoływał zapalenie płuc. Jeżeli powiem, że priony wymyślił poeta, a Prusiner dostosował wyobrażenia poety do teorii, to jest jednak pewnego rodzaju żart.

Ale przecież nie bez powodu Koontz nazwał tego wirusa Wuhan-400.

Na początku lat 50. ubiegłego wieku właśnie w tym mieście rozpoczął działalność Institute of Virology i są przypuszczenia, że właśnie tam eksperymentowano z tym wirusem, który wymknął się z laboratorium.

To nie jest wirus, który powstaje w tego typu laboratoriach. Laboratoria takie jak to w Wuhan są tworzone dla tych czynników zakaźnych, które są niezwykle groźne i prace nad nimi trzeba wykonywać w szczególnych warunkach, przy wysokim poziomie bezpieczeństwa i rygorystycznym przestrzeganiu procedur. Ten wirus na broń biologiczną w ogóle się nie nadaje, nie jest aż tak groźny i można go badać w mniej zabezpieczonym laboratorium, nawet przy łagodniejszych normach niż w przypadku SARS czy MERS.

To skąd się wziął?

Koronawirusy występują u wielu ssaków i co jakiś czas następuje przełamanie bariery gatunkowej, wirus wydostaje się poza zwierzęce środowisko, atakuje ludzi.

Czy można na sto procent powiedzieć, że ten wirus ma pochodzenie odzwierzęce?

Tak. Nawet jak się analizuje pokrewieństwa, to można stwierdzić, że jest spokrewniony ze wszystkimi korona-

wirusami, czyli wirusami odzwierzęcymi. Ktoś tam szukał w nim manipulacji genetycznej, ale nic z tego, genom SARS-CoV-2 odpowiada genomom, której już znamy.

To jest dziewiąty znany wirus z tej grupy koronawirusów, SARS (2002 r.) i MERS (2012 r.) były przed nim. One już nie zarażają? Zniknęły?

Są w środowisku, ale już nie obserwuje się zakażeń wśród ludzi, być może było to jednorazowe przełamanie bariery gatunkowej, co się zdarza, albo zwierzęta, które te wirusy przenosiły, są w tej chwili niejako izolowane, z racji wiedzy o ich roli jako pośredników w zarażaniu.

Próbowano wtedy wyprodukować szczepionkę przeciw tym dwóm koronawirusom?

Szczepionka to jest rzecz, o której zawsze się mówi przy okazji każdej epidemii, ale decydują względy ekonomiczne. Nawet jeśli badania osiągną pewien etap, to nikt nie wyłoży pieniędzy na coś, czego już nie ma. Epidemia wygasła, więc dalszych prac zaprzestano, bo po co produkować szczepionkę, której już nikt nie kupi.

Teraz ogromne pieniądze rządy i prywatne firmy przeznaczają na



badania nad szczepionką chroniącą przez SARS-CoV-2. W Chinach już zatwierdzono skierowanie do badań klinicznych rekombinowanej szczepionki COVID-19, Voice of America pokazało filmik z rozpoczęcia testów klinicznych w Stanach Zjednoczonych.

Na tym filmie jest pierwsza osoba, która została zaszczepiona szczepionką typu DNA, czyli materiałem genetycznym odpowiadającym pewnym obszarom wirusa, teoretycznie ustalonym jako odpowiedzialne za szerzenie się wirusa w organizmie. Chodzi o zablokowanie jego namnażania się w organizmie po zakażeniu i uodpornienie. Ta szczepionka nikogo nie uchroni przed zakażeniem, może tylko zatrzymać rozwój choroby.

Czyli ta szczepionka powinna być podana osobom, które są już zarażone wirusem?

Nie, powinna być podana osobom narażonym na zakażenie, ma wywołać stan odporności na potencjalne zakażenie.

Pracuje się także nad nowymi lekami, teraz próbuje się stosować leki na malarię i HIV.

Tu mamy dwie sprawy. Jedna – to leki, które mają wzmocnić działanie organizmu. To nie są leki przeciwwirusowe, tylko leki pomagające w procesie samouleczenia. Druga – to leki, które mają hamować wirusa, ale wyłącznie wirusa. Tu pojawia się problem, bo w żywej komórce wirus korzysta z jej mechanizmów. I bardzo często lek może być gorszy od zarazy, bo będzie blokował funkcję nie tylko zakażonej komórki, lecz także tych zdrowych.

Anglicy mówią, że ta epidemia potrwa do wiosny przyszłego roku. Czy możemy rzeczywiście dzisiaj określić, kiedy się skończy i czy nie wróci?

W Chinach zaczęło się 2 grudnia, wtedy zanotowano pierwszy przypadek, teraz liczba zarażonych spadła do takiego poziomu, że w skali chińskiej można powiedzieć, że zarażeń już tam prawie nie ma. To jest okres,

który może się powtórzyć w innych krajach, przy racjonalnej polityce.

Można wierzyć chińskim danym?

To nie są dane chińskie. Przy SARS-ie, który wybuchł w Hongkongu, Chiny próbowały trochę kręcić, zakładając, że szybko wygaśnie, bo to była brama gospodarcza i obawiano się skutków ekonomicznych. Teraz Chińczycy są nadzorowani przez międzynarodową komisję, którą wpuścili do kraju. Tak więc to są dane komisji, która jest na miejscu, a Chińczycy, bojąc się utraty twarzy, bo to jest dla nich najważniejsza rzecz w tej chwili, nawet straszą urzędników, którzy by próbowali zataić zachorowania,

Testowana obecnie w USA szczepionka nikogo nie uchroni przed zakażeniem, może tylko zatrzymać rozwój choroby

bardzo wysokimi karami. Proszę sobie pomyśleć, co to są wysokie kary w wydaniu chińskim...

Mają także chyba poczucie pewnej odpowiedzialności za to, że być może za późno zareagowali, za późno poinformowali świat... Teraz pomoc dla Włoch, pomoc dla Polski w postaci sprzętu i materiałów medycznych.

Tu są dwa elementy – Chińczycy lekko przesadzili i mają problem ze zużyciem tego, co zgromadzili. Prościej oddać, niż trzymać, przepraszam za ekonomiczną brutalność. A po drugie w mentalności tamtych narodów najważniejsze jest zachowanie twarzy, zachowanie honoru. Przywódca, który straci twarz, szybko się skończy.

U nas pierwszy przypadek był mniej więcej trzy tygodnie temu. Biorąc ten chiński przykład, musielibyśmy z tym zagrożeniem żyć jeszcze jakieś dwa miesiące.

Pod warunkiem że nie będzie dostaw wirusa z zewnątrz, czyli że wszystkie kraje będą działać według tego samego schematu. Przy aktualnej sytuacji to może być dłużej niż w Chinach, ponieważ działania miejscami są niespójne, weźmy chociażby przykład Anglii.

Ale my nie wpuszczamy cudzoziemców do kraju.

Ale nie możemy izolować się całkowicie. A poza tym Polacy, którzy wracają, przyjeżdżają z miejsc, gdzie epidemia występuje, bądź przejeżdżają przez takie tereny. Nie odmówimy obywatelom polskim powrotu do kraju.

Nie przeżywalismy do tej pory takiej sytuacji, w której musimy się poddać swoistej samoizolacji. Od naszej dobrej woli zależy, czy będziemy przestrzegać tych zaleceń, oczywiście poza tymi objętymi kwarantanną, bo tu jest przymus i są kary.

I to u nas zadecyduje o sukcesie. Jestem pozytywnie zaskoczony zachowaniem rodaków.

Czy może nastąpić taki moment, kiedy poczujemy się oswojeni z wirusem, kiedy uznamy, że już po prostu mamy dość ograniczeń w pracy, w domu, w życiu towarzyskim i rozluźni się ta samodyscyplina, zmęczenie społeczeństwa będzie większe niż obawa przed wirusem?

Jeżeli to będzie w sytuacji, kiedy już będziemy mieli kontrolę nad wirusem, to może to nie mieć negatywnych skutków, jeżeli nie – to będzie nasza klęska.

Czyli cały czas trzeba powtarzać, że zmniejszenie liczby zachorowań i śmiertelnych przypadków nie oznacza, że już jesteśmy już bezpieczni.

Nie, dopiero wtedy, kiedy definitywnie to się skończy.

Grypa wraca do nas co roku i co roku dostajemy nową szczepionkę. Dlaczego w przypadku grypy to się udaje, a w przypadku koronawirusa nie?

W przypadku grypy też nie do końca się udaje. Bo nie musielibyśmy wówczas co roku tworzyć nowej szczepionki. Jest to szczepionka opracowywana na podstawie końcówki jednego okresu grypowego, z założeniem, że następny zacznie się tym samym. Bo zmiany, mutacje mają miejsce w trakcie tych procesów, a nie wtedy, kiedy grypa jest bardzo ograniczona. I często w trakcie epidemii grypy szczepionkę trzeba modyfikować.

Czy biorąc pod uwagę to, że wirusy SARS i MERS już nie zagrażają ludziom, można wysnuć przypuszczenie, że jeżeli SARS-CoV-2 już przetoczy się przez świat i wygaśnie, przestanie być niebezpieczny dla ludzi?

Na naszym terenie nie mamy naturalnego gospodarza tego wirusa, który występuje na Półwyspie Indochińskim, i to upoważnia do twierdzenia, że on nie wróci.

A co jest gospodarzem naturalnym tego wirusa?

Takie przemile zwierzątko, luskowiec, który prawdopodobnie wirusa odziedziczył po nietoperzach.

A psy mogą przenosić wirusa? Bo dochodzą niepokojące informacje o porzucaniu tych zwierząt przez właścicieli w obawie przed zarażeniem.

To jest panika wynikająca z tego, że te zwierzęta mają własne koronawirusy, które z tymi zagrażającymi człowiekowi nie mają nic wspólnego. Dla kotów nawet jest szczepionka na koronawirusa kociego, który jest dla tych zwierząt śmiertelny. Nie zarazimy się od psa i nawet na łapach po spacerze nie przyniesie nam tego koronawirusa do domu.

Najlepsza rada wirusologa dla Polaków na dzień dzisiejszy?

Zachować spokój, słuchać zaleceń, nałożyć maskę, jeżeli czujemy się

przeziębieni, nie ukrywać kontaktów z zarażonymi, bo w ten sposób łańcuch ludzi, którzy nie wiedzą, że są zarażeni, znacznie się przedłuży, będąc w izolacji, nauczyć się trochę innych zasad życia – zająć kulturą, przyjemnościami innego typu, które przez nasz zaginiony świat zostały zapomniane w kącie.

To byłoby bardzo przyjemne, gdyby nie trapiła nas obawa przed przyszłością, szczególnie obawa o nasz ekonomiczny byt, pracę, raty i świadczenia, które trzeba płacić. I kiedy się skończy epidemia, to dla ludzi i państwa powrót do życia, które już nie będzie takie samo, może się okazać trudniejszy niż zwalczanie epidemii.

Muszę przyznać rację, że z tym będą problemy. Ale jeżeli nie zachowamy spokoju, to i tak te problemy nie znikną, mogą się tylko pogłębić.

REKLAMA

LECZENIE BEZ KOLEJEK

**Indywidualne Ubezpieczenia
Zdrowotne w placówkach
wybranych Spółdzielczych Kas**

SALTUS
UBEZPIECZENIA

www.saltus.pl/zdrowotne



Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym



Autor w pełnym rynsztunku
na Hauptbahnhof w Berlinie

Wielka gra

*Wybuch epidemii zastał mnie na drugim końcu
świata, w stolicy Japonii – Tokio.
Musiałem natychmiast wracać do Polski.
Za każdą cenę*

14 marca, w sobotę rano, dowiedziałem się o zawieszeniu wszystkich międzynarodowych połączeń lotniczych z Polską. Samoloty miały być uziemione przez 10 dni, co uniemożliwiało mi powrót do kraju w planowanym terminie. Teoretycznie mógłbym przedłużyć pobyt w Japonii i poczekać na wznowienie ruchu lotniczego, jednak w sytuacji światowego kryzysu epidemiologicznego zdrowy rozsądek alarmował i absolutnie nie zezwalał na takie rozwiązanie. Przyjąłem, że samoloty nie będą mogły wlatywać do Polski przez znacznie dłuższy okres, niż dotychczas ogłoszono, i że wiele innych państw w niedługim czasie również zdecyduje się na taki krok. W efekcie byłbym uwięziony w Kraju Kwitnącej Wiśni, nie wiadomo jak długo.

Kronikarski obowiązek wymagał ode mnie, bym od tego momentu utrzymywał jak najwięcej materiałów. Przede wszystkim zacząłem nagrywać na smartfonie krótkie filmy, opowiadać na nich, co aktualnie się wydarzyło, gdzie się znajduję. Podczas mojego powrotu do Warszawy zarejestrowałem ok. 40 takich nagrań.

Przygotowałem swój dobytek do podróży. Spakowałem ubrania, pamiętki, książki, komputer, statyw, dodatkowy obiektyw. Kupiłem prowiant i napoje. Wszystko to zebrane w dwóch plecakach zostawiłem w hotelowym pokoju i wyposażony w to, co najważniejsze – paszport, portfel, aparat fotograficzny, telefon i drobniutki osobiste w saszetce na pasku, wsiadłem w kolejkę Yamanote. Dojechałem do dzielnicy Meguro, której nazwa pochodzi od płynącej przez nią rzeki. Rosną nad nią japońskie wiśnie sakura. Gdy ich kwiaty zakwitają, tłumy tokijszyków zbierają się tutaj i urządzają matsuri – japońskie festiwale, pikniki na trawie. Wiśnie jednak jeszcze nie zakwitły, za tydzień, dwa drzewa powinny się pokryć welonami bladnoróżowych kwiatów. W tej okolicy, w płataninie małych uliczek, kryje się polska ambasada.

Tego dnia los mi jednak nie sprzyjał. Nie dość, że zaczął deszcz, a temperatura ciągle się obniżała, to w ambasadzie nie udało mi się niczego dowiedzieć. Była zamknięta. Wróciłem do hotelu. W internecie znalazłem informację, że LOT będzie organizował specjalne rejsy czarterowe po Polaków pozostających poza

granicami kraju. Słowo „będzie” nie było dla mnie wystarczającą gwarancją. Brak podanych terminów i miejsc transportów nie wlewał zbyt wiele otuchy w serce. Rozumiałem, że w takich okolicznościach, w tak krótkim terminie, nie było możliwe podanie konkretów, jednak tylko one mnie wówczas interesowały. Musiałem jak najszybciej opuścić Japonię i wyruszyć w drogę do Warszawy, w przeciwnym wypadku mogłbym pozostać na przymusowej emigracji.

Przyjaciółka każdego podróżnika – mapa – podpowiadała mi, że jak do brze się jej przyjrzeć, to się okaże, że Berlin nie leży zbyt daleko od polskiej granicy. W najgorszym przypadku w dwa, co najwyżej trzy dni te kilkadziesiąt kilometrów można pokonać pieszo, nawet z bagażami. I wtedy los się do mnie uśmiechnął. Znalazłem połączenie z Tokio do stolicy Niemiec. To była jednak tylko połowa sukcesu. Musiałem jeszcze kupić bilet na stronie linii lotniczej Kataru. Okazało się to nie lada wyzwaniem. Strona internetowa, najwyraźniej przeciążona, co chwilę odmawiała współpracy. Gdy w końcu udało mi się dokonać rezerwacji, zaczęły się problemy z realizacją płatności. Gdy już udało mi się znaleźć alternatywny dla karty kredytowej sposób opłacenia biletu, ten podrożał, co ponownie zmusiło mnie do kolejnych działań. Po półtorej godziny walki się udało. Drogo, jednak jeszcze w graniach rozsądku, kupiłem bilet do Berlina z przesiadką w Dausze w Katarze. Wylot z Tokio następnego dnia, czyli w niedzielę 15 marca, o godz. 22. Miałem trochę czasu, żeby załatwić choć część spraw, które mnie tutaj sprowadziły.

Na podtokijskim lotnisku międzynarodowym w Naricie pojawiłem się znacznie wcześniej niż zwykle. Wiozący mnie tam pociąg był wprawdzie prawie pusty, ale w takich okolicznościach nie wiedziałem, czego się spodziewać. Wyobrażałem sobie obraz ludzi szturmujących lotniskowe bramki, sceny niczym z dantejskiego piekła, jednak na miejscu panował pełen spokój. Terminale były niemal opustoszałe. Gdzieniedzie widać było tylko turystów w maseczkach. Mnie jak dotąd nie udało się takiej zdobyć, we wszystkich sklepach były wykupione, pomimo ich reglamentacji – jedna dziennie na rodzinę.



Podróżni koczujący na lotnisku w Dausze

Na lotnisku zameldowałem się na tyle wcześniej, że mój lot nie wyświetlał się jeszcze na tablicy odlotów. Po dwóch godzinach się pojawił. Co więcej – tuż przy nim nie wyświetlała się informacja „odwołany”, jak przy niektórych kursach do Chin i Korei. Byłem na dobrej drodze.

Przy odprawie bagażu okazało się, że mój główny plecak waży 20 kg, a podręczny 12. O ile ten pierwszy mógłby być jeszcze o 10 kg cięższy, to ten drugi przekraczał dozwolony limit o cztery kilogramy. Dodatkowo miałem jeszcze na szyi aparat fotograficzny, saszetkę przy pasku i poupychane w kieszeniach spodni, polaru i kurtki różne bibeloty. Na szczęście udało się tak to „zorganizować”, że odprawiająca mnie przemila Japonka przestała widzieć problem. Po przejściu odprawy celnej i paszportowej natknąłem się na młodą rodzinę z około pięcioletnimi córką i synem. Najwyraźniej mieli zbyt mało rąk do niesienia toreb i ich pociech. Pomogłem nieść sporą torbę z zabawkami. Okazało się, że od dwóch miesięcy podróżowali po Dalekim Wschodzie, ale wracając do Aarhus w Danii, ponieważ duński rząd nakazał wszystkim Duńczykom powrót z powodu pandemii. Od tej pory trzymaliśmy się razem. Rozstaliśmy się w Dausze, skąd polecieci do Kopenhagi. Ich dom od stolicy Danii dzieliła jeszcze trzygodzinna podróż pociągiem. Samochodem nikt nie mógł ich zabrać, ponieważ tak jak oni musiałby się poddać kwarantannie. Wymieniliśmy się kontaktami. Dotarli do domu szczęśliwie, dużo szybciej niż ja. Przed naszym rozstaniem otrzymałem od nich bezcenny prezent – maseczkę higieniczną. Wprawdzie nie jest ona gwarantem bezpieczeństwa, ale dodawała otuchy.

Przeszło 12-godzinny nocny lot z Tokio do Dauhy minął nadzwyczaj kom-

fortowo. Ponad połowa miejsc w samolocie była pusta, dzięki czemu prawie każdy mógł się położyć na kilku fotelach i spróbować usnąć. Na lotnisku w Katarze przeszedłem ponowną kontrolę. Co istotne, acz niepokojące – podobnie jak w Tokio – nikt mnie nie spytał, jak się czuję, nie zmierzył temperatury, nie wręczył ankietę zdrowotnej do wypełnienia.

W Dausze czekało mnie 10-godzinne oczekiwanie na lot do Berlina. Przede wszystkim starałem się być jak najdalej od innych podróżnych. Okazało się to bardzo łatwe. Na gigantycznym lotnisku nie było zbyt wielu osób. Koronawirus skutecznie ograniczył ruch turystyczny



Przed wylotem do Berlina



na całym świecie. W sklepach uzupełniłem zapasy – kupiłem wodę i prowiant. Tu również maseczki higieniczne były wyprzedane. Po piątej godzinie oczekiwania zaczynałem się czuć jak bohater filmu „Terminal”, zbiegiem okoliczności zmuszony do zamieszkania na lotnisku. Z najwygodniejszych miejsc – wyłożonych miękką nawierzchnią placów zabaw – wypraszała mnie i innych tam odpoczywających ochrona. Strefy ciszy, z fotelami umożliwiającymi ułożenie się w pozycji półleżącej, były zbyt zatłoczone, by móc z nich skorzystać bez obaw. Miałem wystarczająco dużo czasu, by zaobserwować drzemiących w różnych zakątkach lotniska Europejczyków, tak jak ja oczekujących na swój lot. W międzyczasie w internecie znalazłem bezpośrednie połączenie autobusowe z lotniska w Berlinie do Warszawy. Kupiłem bilet, dostałem potwierdzenie esemesm. Wiedziałem już, że kolejowy ruch międzynarodowy został wstrzymany. Po godzinie od wylądowania w Niemczech miałem wsiąść do autokaru i rano we wtorek 17 marca być w Warszawie.

Po dziewięciu godzinach ruszyłem do bramki prowadzącej do samolotu do Berlina. Tablica informacyjna nieustannie potwierdzała ten lot. Na miejscu spotkałem wielu Polaków tak jak ja wracających do domu przez Katar i Niemcy. Do Dauhy przylecieli z różnych zakątków Azji i Afryki. Jak dotąd planowałem używanie podarowanej mi przez Duńczyków maseczki dopiero w Polsce, jednak założyłem ją już teraz. Zaczęło się robić nerwowo. Lot się opóźniał. Rodacy wymieniali się swoimi historiami, prawie każdy miał swoją opinię na temat obecnej sytuacji geopolitycznej i epidemicznej, przedstawiając przy tym genialne wręcz remedia na banalnie proste rozwiązanie kryzysu. W powietrzu krążyło mnóstwo domysłów, gdybań, półprawd czy wręcz fake newsów.

Z drugiej strony istniała też giełda sposobów transportu z Berlina. Okazało się, że nie tylko ja miałem bilet na autobus do Warszawy. Jedni mówili, że kurs jest odwołany, inni, że dzwonili i potwierdzali, że jednak się odbędzie. Ktoś planował jazdę zorganizowanym autostopem, inny słyszał o zawodowym kierowcy ze Szczecina, który za opłatę zabierze do ośmiu



osób. W pewnym momencie odezwał się do mnie z Polski przyjaciel. Zaoferował mi, że przyjedzie po mnie na granicę polsko-niemiecką z bratem dwoma samochodami. By uniknąć kwarantanny, oni wrócą do Warszawy jednym, a ja drugim. Serdecznie podziękowałem. Na razie miałem autobus, ale zachowałem w pamięci ofertę pomocy.

W końcu weszliśmy na pokład samolotu. Większość podróźnych wyposażona była w różnego rodzaju maseczki higieniczne. Jedna osoba, z braku innej możliwości, używała do tego celu maseczki na oczy, tylko założonej na nos i usta.

Z prawie 60-minutowym opóźnieniem po godz. 15 wystartowaliśmy w stronę Europy. Jeszcze na płycie lotniska w Dausze dostałem esemesa od przewoźnika autokarowego, informującego o odwołaniu kursu z Berlina do Warszawy z „powodu działań operacyjnych” i zapewniającego „pełny zwrot (bez opłaty za anulowanie) ceny biletu w formie kuponu”.

Sześciogodzinny lot do Niemiec był koszmarem. Nerwowa atmosfera tylko się pogłębiała. Przez cały rejs we wnętrzu rezonował nieustanny płacz kilku niemowląt. Układ wentylacyjny nie najnowszego już samolotu nie radził sobie z obniżaniem temperatury podnoszonej przez zajmujących wszystkie możliwe miejsca pasażerów. Dodatkowo tusza siedzącego za mną mężczyzny wypełniała przestrzeń za moim fotelem na tyle szczelnie, że nie mogłem go odchylić do wygodnej pozycji. Wyciszałem się w modlitwie.

W Berlinie wylądowaliśmy chwilę przed godz. 21. Odbiór bagażu i kontrola paszportowa odbyły się z typowo niemiecką sprawnością. Co napawało mnie optymizmem, pomimo pogłębia-

jącego się zmęczenia cały czas czułem się dobrze, nie występowały u mnie żadne objawy chorobowe. Podobnie jak na dwóch wcześniejszych – na lotnisku Tegel nikt nie spytał mnie, skąd przyleciałem, dokąd jadę, nikt nie sprawdził stanu mojego zdrowia, nie wręczył ankiety do wypełnienia.

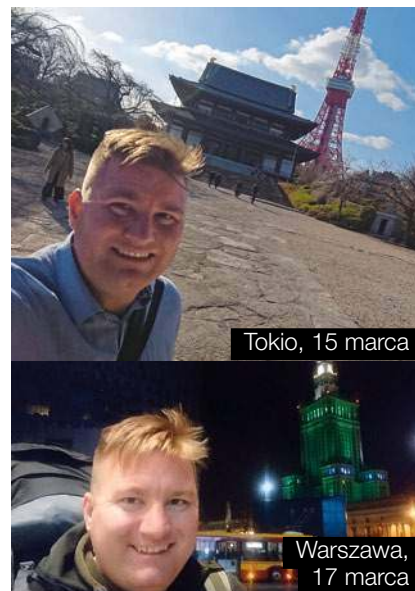
Przed lotniskiem wsiadłem do taksówki i pojechałem do zarezerwowanego jeszcze w samolocie hotelu. Wybrałem jeden z położonych w pobliżu dworca kolejowego Hauptbahnhof, by we wtorek, 17 marca rano, wyruszyć w drogę do Frankfurtu nad Odrą. Wzbudziłem wielkie zdziwienie u kierowcy, mówiąc mu, że na niemieckiej granicy nikt nie przechodzi żadnej kontroli zdrowotnej. On sam nie wiedział, ile przypadków koronawirusa jest obecnie w Niemczech ani w Berlinie.

W pokoju hotelowym zdałem sobie sprawę, jak bardzo potrzebovałem odpoczynku, bez zbędnej zwłoki poszedłem spać. Przy okazji warto wspomnieć, że pomimo zarezerwowania przeze mnie najtańszego pokoju – śniady recepcjonista wręczył mi klucz do kwatery o wyższym standardzie – epidemia spowodowała, że byłem jednym z nielicznych gości w całym budynku.

Rankiem umyty, ogolony, w końcu z paskiem u spodni (na lotniskach brak paska znacznie przyspiesza kontrolę) ruszyłem na dworzec kolejowy. Po drodze myślałem, skąd zdobyć wózek sklepowy, gdyby przyszło mi iść do granicy pieszo. Ponad 30 kg bagażu lepiej byłoby jednak pchać, niż nieść. W Berlinie wszystko funkcjonowało normalnie. Sklepy otwarte, ulice pełne przechodniów i uczniów zmierzających do szkół.



W Słubicach spotkali się Polacy powracający z Kanady, Peru, Francji, Hawajów, Indii i ja z Japonii!



Jedyną osobą w maseczce byłem ja. Na peronie spotkałem Polaków wracających do Krakowa z Indii, rozmawialiśmy już wcześniej w Dausze. Razem wsiadliśmy do pociągu i po godzinie wysiedliśmy we Frankfurcie nad Odrą. Czuliśmy, że jesteśmy coraz bliżej, napięcie powoli opadało. Niezwykle uradowały nas polskie tłumaczenia napisów na drogowych znakach w podziemiu frankfurckiego dworca. Jeszcze tylko jeden etap i będziemy na granicy.

Wsiadliśmy do taksówki. Kierowca lojalnie ostrzegł, że może nas zawieźć jedynie nad Odrę, bo granica jest zamknięta. Widzimy most, wysiadamy. Niemal biegniemy. Nie ma żadnej kolejki. Wypełniamy ankiety lokalizacyjne. Szczelnie zabezpieczony mężczyzna mierzy nam bezdotykowo temperaturę. Każde z nas pomyślnie przechodzi badanie. Widzimy namioty medyczne, zapewne trafilibyśmy do nich, gdybyśmy mieli gorączkę. Pogranicznicy wręczają nam ulotki z informacjami z Inspekcji Sanitarnej i nakazują udanie się do domów i odbycie dwutygodniowej kwarantanny. Wkraczamy do Słubic. Nie jesteśmy w stanie powstrzymać radości. Śmiejemy się. Dotarliśmy. Pokonaliśmy pół świata, nieustannie balansując na krawędzi. Ryzykując „uwięzienie” gdzieś po drodze. Z internetu dowiadujemy się, że gdybyśmy trafili do Berlina dzień później, nie mielibyśmy już możliwości spędzenia nocy w żadnym hotelu. Rząd Niemiec wprowadził nowe przepisy sanitarne. Wszystko było jak gra o wielką stawkę. Na razie wygrywaliśmy.

Ze Słubic nie jeździ żaden pociąg. Idziemy we troje na dworzec autobusowy. Po drodze miejscowe zakapiory

w czarnych skórzanych kurtkach próbują nas zaczepiać. Kilukrotnie krzyczą w naszym kierunku „Korona!”. Nie zwracamy na nich uwagi. Na dworcu autobusowym dzieje się coś niebywalego! Spotykamy innych Polaków, obciążonych bagażami podobnie jak my. Związują się wesoła rozmowa. Wszyscy są szczęśliwi, bo dotarli do Polski. Okazuje się, że na pustym placu przed zamkniętą poczekalnią spotkali się Polacy powracający z Indii, Francji, Kanady, Peru, Hawajów i z Japonii!

Za godzinę odjeżdża jedyny autobus. Będzie jechał do Rzepina. Nikt z nas nie wie, gdzie to jest. Kasjerka z bezpiecznej odległości mówi nam, że będą tam pociągi. Ten argument wszystkich nas przekonuje. Jeszcze próbuję wynająć od kierowcy cały autobus. Pozostali pasażerowie słuchają z nadzieją. Wysła mnie do dyspozytora. Przez szybę i na odległość przedstawiam swój projekt. Myśli przez chwilę, liczy na kalkulatorze, podaje cenę. Za drogo. Proponuję kierowcy dwie piąte tej kwoty. Zgodziłby się, gdyby autobus należał do niego. Przed odjazdem ze Słubic nisko nad nami przelatuje polski wojskowy śmigłowiec Black Hawk patrolujący granicę.

Wysiadamy w Rzepinie, przechodzimy na dworzec PKP. Jego obsługa dla bezpieczeństwa urzęduje na pierwszym piętrze budynku. Parter i pobliskie toalety są opustoszałe. Sprawdzamy rozkłady jazdy pociągów, wiele połączeń jest odwołanych, a kursujące pociągi dalekobieżne składają się z lokomotywy i maksymalnie czterech wagonów. Podjeżdża pociąg do Lublina przez Wrocław, Opole, Katowice, Radom. Wsiadam z „Hindusami” (i „Peruwiańczykiem”, ja

zostałem w naszym towarzystwie „Ja-pończykiem”). Początkowo zamierzam jechać do Radomia, ale ostatecznie wsiadam z „Hindusami” w Katowicach. „Peruwiańczyk” pożegnał się w Zielonej Górze i dalej pojechał samochodem.

W sklepie na dworcu w Katowicach zaopatruję się w żywność na kwarantannę. Wszystkie placówki handlowe są przystosowane do obecnej sytuacji – plastikowe osłony, ogłoszenia, obsługa w rękawiczkach. W tutejszej aptece również nie ma maseczek. Moja była już zużyta, pozbyłem się jej w bezpieczny sposób. „Hindusi” odjeżdżają do Krakowa. Niedługo po nich wsiadam do ekspresu do Warszawy. Jest 19.10. W wagonie oprócz mnie tylko dwóch podróżnych. Młodziutka pani konduktor wygląda na przerażoną. Przechodząc obok kogokolwiek, wstrzymuje oddech.

W pociągu zastanawiam się nad tym, co widziałem, i dochodzę do wniosku, że w Polsce obywatele i rząd podchodzą do zagrożenia wyjątkowo odpowiedzialnie. Znacznie bardziej roztropnie niż w każdym z krajów, przez które wracalem. Przez cały dzień widziałem, jak Polacy stosują się do ograniczeń, jak unikają bliskich kontaktów. Tylko w Polsce zostałem zbadany, wypytany, poinformowany i przede wszystkim zobligowany do odbycia kwarantanny. To daje nadzieję i znacznie zwiększa szanse na pokonanie zagrożenia.

We wtorek, 17 marca, w trzeciej dobie powrotu do Polski, docieram do pustego mieszkania przyjaciela z redakcji, gdzie nie narażając nikogo, spędzę najbliższy czas.

Z dwutygodniowej kwarantanny domowej **Andrzej Skwarczyński**



Wybory przesuwne

Fot. Shutterstock

Opozycja zgadza się nawet na ograniczenie demokracji, byleby przesunąć termin prezydenckiej elekcji



STANISŁAW JANECKI

Pzesunięcie terminu wyborów prezydenckich stało się w trakcie walki z pandemią koronawirusa ważniejsze dla opozycyjnych kandydatów niż same wybory. Podobnie jak rozwiązania specjalne, takie jak stan nadzwyczajny, czyli stan wyjątkowy lub stan klęski żywiołowej, przed którymi zwykle opozycja ostrzega jako niebezpiecznymi dla demokracji, a zatem także dla wolnych wyborów. Tym razem opozycyjni kandydaci wręcz domagają się wprowadzenia stanu nadzwyczajnego. A to oznaczałoby nie tylko przesunięcie wyborów z 10 maja, ale też 90-dniową karencję po zakończeniu obowiązywania takiego stanu.

Poza tym opozycyjni kandydaci oraz przeróżni eksperci i komentatorzy używają jeszcze argumentów o niemożności prowadzenia kampanii, obiektywnej trudności zebrania 100 tys. podpisów poparcia, niemożności skompletowa-

nia komisji wyborczych, osób do obsługi i ochrony wyborów oraz zapewnienia im odpowiednich szkoleń oraz właściwych warunków działania. Niemożliwe ma być samo przeprowadzenie wyborów, a zatem także liczenie i zatwierdzanie głosów, a ostatecznie nawet uznanie ważności wyborów. Ucierpieć miałyby zasady równości, powszechności i bezpośredniości wyborów, niemożliwe do zrealizowania czynne prawo wyborcze. A nawet nierealne miałyby być przeprowadzenie wiarygodnego exit poll przy lokalach wyborczych. Padają także argumenty moralne i aksjologiczne: nieważne wybory, przepisy, terminy i demokratyczne procedury, gdy chodzi o ratowanie życia ludzi.

Rządzący nie zaklinają się, że na pewno wybory nie będą przesunięte, lecz w czasie, gdy ten tekst był pisany, nie widzieli ku temu prawnych ani obiektywnych podstaw. Uznają, że miarodajnie można się będzie w tej sprawie wypowiedzieć na początku kwietnia.

NADZWYCZAJNE OKOLICZNOŚCI

Stanowisko opozycyjnych kandydatów na prezydenta klarownie wyłożył Władysław Kosiniak-Kamysz: „Jeżeli walczymy

o zdrowie i życie Polaków, jeżeli myślimy o ratowaniu polskich firm i miejsc pracy, to kompletnie nieważne są wybory. To życie i zdrowie Polaków są święte, a nie termin wyborów”. A skoro tak, „trzeba to przesunąć, trzeba to odsunąć. Najlepiej na jesień”. I wtedy nikt „nie będzie miał pretensji do pana prezydenta Dudy, że będzie sprawował swój urząd o pół roku dłużej, niż wynikałoby to z terminu majowego”. Taki punkt widzenia ma być powszechny po stronie opozycji, moralnie uzasadniony i politycznie niekwestionowany. Podobnie, choć mniej klarownie, wypowiadał się na ten temat Robert Biedroń. Największą powściągliwość w tej mierze wykazują Małgorzata Kidawa-Błońska i Krzysztof Bosak. Podobnie jak w wypadku wprowadzenia stanu nadzwyczajnego potrzebnego do przełożenia wyborów.

Głównym zadaniem państwa ma być walka z pandemią i jej skutkami, w czym urzędujący prezydent siłą rzeczy uczestniczy, a co ma być niedopuszczalnym prowadzeniem kampanii, skoro inni kandydaci realnie jej nie mogą prowadzić. Mamy tu zresztą sprzeczność, gdyż nieaktywny prezydent byłby atakowany za to, że nie wykonuje swoich obowiązków. Opozycyjni politycy coraz częściej żalują,

że poparli specustawę przyjętą przez parlament w związku z pandemią, gdyż umożliwia ona rządowi walkę z tym zagrożeniem bez wprowadzania stanu nadzwyczajnego, czyli także np. przekładania wyborów prezydenckich. Przy tym przy powoływaniu się na konstytucję i wyższą konieczność przemilcza się treść pkt. 5 art. 228 konstytucji: „Działania podjęte w wyniku wprowadzenia stanu nadzwyczajnego muszą odpowiadać stopniowi zagrożenia i powinny zmierzać do jak najszybszego przywrócenia normalnego funkcjonowania państwa”. Chodzi o ten „stopień zagrożenia” i sensowność samego stanu nadzwyczajnego. A jest on pożądanym i potrzebny opozycyjnym kandydatom, skoro gwarantuje (art. 228 pkt 7), że „nie mogą być przeprowadzane wybory do Sejmu, Senatu, organów samorządu terytorialnego oraz wybory Prezydenta Rzeczypospolitej, a kadencje tych organów ulegają odpowiedniemu przedłużeniu”.

POWSZECHNA NIEMOŻNOŚĆ

Opozycyjni kandydaci twierdzą, że nie mogą zbierać podpisów poparcia ze względu na kwarantannę wielu obywateli oraz ograniczenia w poruszaniu się i gromadzeniu. A listy poparcia trzeba przedstawić do 26 marca. Twierdzą też, że w czasie pandemii nierealne będzie zorganizowanie ok. 400 tys. osób potrzebnych do pracy przy wyborach. Nie można będzie im zagwarantować bezpieczeństwa, bo to często osoby starsze, narażone na zarażenie i ciężki przebieg choroby. Tym bardziej że komisje wyborcze muszą być skompletowane 21 dni przed terminem wyborów i powinny się odbywać szkolenia dla członków tych komisji. Same wybory mają być zagrożone tym, że część uprawnionych będzie poddana kwarantannie, część będzie się obawiać zarażenia i nie pójdzie do urn. A poza tym stan zagrożenia ma wpływać na emocje, a to z kolei ma oddziaływać na wolny i świadomy wybór. Na wolny i świadomy wybór ma też wpływać aktywność i obecność w mediach prezydenta Andrzeja Dudy, który zbierałby premię nie tylko za swoje działania, ale i za pracę całego rządu.

Pandemia miałaby więc być atutem Andrzeja Dudy, stąd w „Gazecie Wyborczej” takie tytuły, jak „Wirus z nieba dla Andrzeja Dudy”, „Koronawirus jako zbawca PiS” czy „Przez wirusa Andrzej Duda może wygrać w pierwszej turze”.

Opozycja najwyraźniej uważa, że gdyby wybory prezydenckie odbyły się w ustalonym terminie, byłby to dla niej wariant najbardziej niekorzystny, praktycznie nie dałoby się tego wyborczo zdyskontować. I odwrotnie, gdyby wybory zostały przełożone, miałyby to być atutem opozycyjnych kandydatów,

Opozycyjni kandydaci są kuszeni przez prawników, aby wycofali się z kandydowania, a wtedy pozostałby tylko urzędujący prezydent, więc zastosowanie miałby art. 293 Kodeksu wyborczego, który przewiduje ponowne zarządzenie wyborów przez marszałka Sejmu

bo rozciągnięta i wiążąca się z ofiarami śmiertelnymi oraz dużymi stratami gospodarczymi oraz społecznymi pandemia mogłaby być wykorzystana przeciwko urzędującemu prezydentowi (i rządowi). Poza tym zatarłoby się wrażenie, że w pierwszej fazie rządzący i prezydent dobrze sobie radzili. Taka strategia wyborcza (moralność zawieszona na kołku) zakłada, że pandemia będzie miała bardzo dotkliwe skutki, rządzących będzie można przedstawić jako odpowiedzialnych za te skutki, nieprzygotowanych i nieudolnych, więc opozycja oraz jej kandydaci na tym skorzystają. A wtedy im późniejszy termin wyborów, tym bardziej sprzyjający kandydatom opozycji. Przełożone wybory, np. na październik, nie opozycji by nie dały, gdyby rządzący dobrze zdali

egzamin z walki z pandemią. Wtedy, zdaniem opozycji, urzędujący prezydent mógłby liczyć na premię i mógłby wygrać wybory w pierwszej turze. Ale jeśli opozycyjnym kandydatom sprzyja wyłącznie scenariusz katastroficznego, gdzie wyrażana przez nich nadrzędna wartość zdrowia i życia Polaków?

SUKCES NA KLĘSCIE

Opozycyjni kandydaci są kuszeni, szczególnie przez sprzyjających im prawników, aby wycofali się z kandydowania, a wtedy pozostałby tylko urzędujący prezydent (jako jedyny kandydat), więc zastosowanie miałby art. 293 Kodeksu wyborczego, który przewiduje ponowne zarządzenie wyborów przez marszałka Sejmu. Na razie nie ma zgody po stronie opozycyjnych kandydatów w kwestii wycofania się, niektórzy bowiem podejrzewają, że ktoś się jednak nie wycofa (nie musi to być kandydat z czołówki sondaży) i wówczas cały plan okazałby się katastrofą. Doradzający opozycji prawnicy zonglują jeszcze tym, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, która rozpatruje protesty wyborcze i podejmuje decyzje o ważności wyborów, może być kwestionowana jako „legalna”, więc ostatecznie nie byłoby instancji mogącej uznać ważność wyborów i nawet gdyby się odbyły, można by je zakwestionować. Tyle że ta izba już prawomocnie uznała ważność wyborów parlamentarnych w październiku 2019 r., więc z tym byłby jednak kłopot. Podstawowy kłopot opozycyjnych kandydatów polega na tym, że swoją strategię sukcesu budują, zakładając nieszczęście, a wręcz tragedię. I liczą na wygraną tylko w atmosferze klęski, rozliczeń i konfliktów. A to może być dla nich zabójcze. Rządzący mogą przystać na przełożenie wyborów, gdyby pandemia się rozszerzała i pogłębiała, ale wcale nie musi to być termin jesienny w br. Równie dobrze wybory mogłyby być przesunięte na maj 2021 r., czyli na czas, gdy możliwy byłby pewien reset społeczny, polityczny, moralny i gospodarczy, czyli wybory nie odbywałyby się w cieniu ani pod presją pandemii.



Mamy wyjątkową szansę przemyślenia tego, co jest naprawdę w życiu społeczeństw ważne. Cywilizacja techniczna nie przyniosła nam świata, nad którym mielibyśmy pełną władzę. Powinniśmy wykazać więcej pokory, pamiętać, że „nie znamy dnia ani godziny”



Dotyk skrzydła śmierci przywróci ludziom proporcje w myśleniu

Jacek Karnowski rozmawia z **prof. Andrzejem Zybertowiczem**, socjologiem, doradcą społecznym prezydenta Andrzeja Dudy

Mamy na świecie dziesiątki, jeśli nie setki, międzynarodowych instytucji zajmujących się bezpieczeństwem. Do tego think tanki, uczelnie, oczywiście rządy. Czy cała ta infrastruktura potrafiła dostrzec, wyłapać nadchodzące globalne niebezpieczeństwo i jego skalę?

Prof. Andrzej Zybertowicz: Nasza cywilizacja nie była gotowa na to zagrożenie. Jest bardzo charakterystyczne, że nadal nie wiemy, która metoda walki z koronawirusem okaże się skuteczna. Czy właściwe jest fizyczne rozdzielanie ludzi, a więc

próba maksymalnego spowolnienia epidemii, czy też przyjęcie założenia, że infekcja musi się przetoczyć przez społeczeństwo? Przeglądam na bieżąco liczne publikacje ekspertów z całego świata i nadal nie jest jasne, co się okaże długofalowo cywilizacyjnie słuszne.

Strategię „stadnej odporności”, która zakłada, że lepiej puścić wirusa luzno, niż ryzykować załamanie się gospodarki, przyjął rząd brytyjski. Później jednak podjął działania podobne do tych na kontynencie, bo

okazało się, że bez społecznego zdystansowania się ludzi liczba ofiar może sięgnąć tylko w tym kraju ćwierci miliona. Jednak samo to, że rozważano tak brutalny scenariusz, jest bardzo ciekawe.

To zapewne wynikało z analizy. Analizy są z natury bezduszne. Zatrzymanie i zamknięcie kraju może powodować takie straty gospodarcze oraz w systemach wsparcia społecznego, że liczba ofiar tego zatrzymania może się okazać znacznie większa niż żniwo epidemii nawet w złym scenariuszu. Brytyjczycy, owszem, nieco zmienili

kurs, ale nadal wydają raczej zalecenia niż nakazy.

Czy jednak rząd demokratyczny może przyjąć kurs zakładający, że pewnej grupy obywateli nie da się obronić? To oznacza wejście w bardzo niebezpieczne rejony inżynierii społecznej.

Zapewne eksperci, którzy podpowiadali Brytyjczykom czy Holendrom takie rozwiązanie, wskazywali, że koszty związane z zatrzymaniem całych państw też będą bardzo wysokie. Załamią się normalne systemy opieki, wielu ludzi może stracić pracę, pojawiają się duże lęki, stresy, choroby serca, niestety zapewne również liczniejsze samobójstwa. Żaden odpowiedzialny polityk nie powie tego wprost, ale wydaje się, że niektóre rządy zachodnie prowadzą takie kalkulacje.

Jak społeczeństwa reagują na to w sumie nieznane naszym pokoleniom doświadczenie?

Na razie spokojnie. W żadnym kraju nie widzieliśmy jeszcze takich objawów społecznej paniki jak rabowanie sklepów czy skokowy wzrost przestępczości. Nigdzie też nie doszło do załamania się elementów infrastruktury, takich jak wodociągi, kanalizacja, prąd, nie mówiąc już o internecie. Jeśli jednak dojdzie do paniki, to fala destrukcji może być wysoka. Z tego punktu widzenia jest bardzo ważne, by obywatele byli przekonani, że władze podejmują zdecydowane, jasne kroki.

Brytyjska prasa ocenia, że może nas czekać bardzo głęboka recesja. Niektórzy analitycy mówią o możliwym spadku PKB na poziomie kilkudziesięciu procent.

Bardzo dobrze, że rządy, w tym także polski, nie zwlekają z uruchomieniem pakietów ratunkowych dla gospodarki. Tarcza antykryzysowa to sygnał nie tylko dla pracodawców, to także ważny sygnał dla pracowników. Bez takich działań, niosących nadzieję, wcześniej pojawiłoby się zmęczenie izolacją, spadek dyscypliny społecz-

nej, wzrost zachowań ryzykownych. Sama izolacja ludzi to za mało, obywatele muszą dostrzegać działania na wielu innych polach.

Rządy są dziś w bardzo trudnej sytuacji. Rozwój komunikacji sprawił, że są właściwie non stop deligitymizowane, atakowane, szarpane za nogawkę w każdej sprawie. Jak w tych warunkach walczyć z epidemią?

Od czasu upowszechnienia się iPhone'a w 2007 r. nasza cywilizacja żyje w świecie mediów społecznościowych, gdzie panują postpolityka, fake newsy, kultura trollowania, „psocenia” zupełnie nowego kalibru. Tego szybko się nie da odwrócić; pytanie, jak sobie z tym poradzić.

Ten szok chyba wymusi przywrócenie godności pojęciu „granica”. Świat w swojej „postępowej bezgraniczoności” stał się zbyt podatny na wstrząsy. Jest nadzieja, że ta kwestia zostanie racjonalnie przemysłana

Np. Google zachowuje się odpowiedzialnie, promując wiarygodne, rządowe źródła informacji. Z kolei Facebook, chyba niechcący, blokuje obieg także prawdziwych informacji, choć nie jest jasne, czy wynika to z ustawienia algorytmów, czy też z braku dostatecznej liczby ludzi robiących to ręcznie. To jedna warstwa. Kolejna to fakt, że wiele osób, w tym także politycy z wieloletnim doświadczeniem, którzy w ostatnich latach swoją pozycję w życiu publicznym budowali na ostrej antypisowskiej krytyce, zachowuje się tak, jakby wciąż nie zrozumiało, że żyjemy już w odmiennej rzeczywistości.

W obliczu epidemii powinni być ostrożniejsi w krytyce?

Zachowania tego typu w normalnych warunkach pluralistycznej demokracji są niemiłe, nie są dla debaty publicznej pożyteczne, ale ich szkodliwość jest dość ograniczona. Gdy jednak dochodzi do wzbudzania naturalnych społecznych lęków w obliczu majestatu śmierci, to wypowiedzi, które wcześniej można było uznać tylko za niemądre, teraz stają się niebezpieczne.

Jak dotąd Polacy dobrze oceniają działania rządu. Z badania pracowników Social Changes wynika, że za dobre lub bardzo dobre uznaje je 71 proc. badanych, w tym także 62 proc. wyborców Koalicji Obywatelskiej.

Są dwa zagrożenia komunikacyjne. Po pierwsze, nadmierny hurraoptymizm zwolenników rządu. Bo jeśli sytuacja się zaostrzy, to hurraoptymizm zdemobilizuje ludzi, obniży poziom odporności emocjonalnej. Po drugie, również niemądry jest hiperkrytycyzm. To, co zaprezentowała telewizja TVN po ogłoszeniu tarczy antykryzysowej, to było nadmierne podkręcanie społecznego zwątpienia. A przecież od dawna wiadomo, że w procesach społecznych olbrzymią rolę odgrywa zjawisko samospełniającej się przepowiedni.

Skoro zapowiadamy klęskę, to prawdopodobieństwo jej nadejścia rośnie?

Oczywiście. Ale jest także pytanie o to, jakie wzorce propagujemy. Gdy telewizja pokazuje młodych mieszkańców blokowisk, którzy wspierają starszych sąsiadów, to wzmacnia dobre wzory. Czy znaczy to, że należy domagać się od opozycji, by przestała być opozycyjna? Obecnie opozycyjność nie może mieć starej formuły. Np. Włodzimierz Czarzasty zapowiedział, że on i jego partia przekazują uwagi krytyczne bezpośrednio instytucjom odpowiedzialnym za walkę z wirusem, rezygnując z ich upubliczniania. To jest wyraz dojrzałości. Bo poważne kłopoty są wszędzie. 18 marca dziennikarz „The New York



Timesa”, który ma koronawirusa, napisał, że z tuzin razy dzwonił do pięciu różnych instytucji zdrowotnych, przez dwie godziny wysłuchując muzyki przez telefon, kolejne godziny spędził w szpitalu, czekając na test, a wynik dostał po pięciu dniach.

Postuluje pan swego rodzaju autocenzurę?

Jeśli lekarz idzie do telewizji i skarży się, że mają w szpitalu maseczki na trzy dni, to zachowuje się nieodpowiedzialnie. Jedyne, co osiągnie, to poczucie niepewności wśród pracowników służby zdrowia oraz wzmożone poczucie lęku wśród widzów. Taki sygnał miałby sens, gdyby maszynaria państwa spała, nie była w ogóle zmobilizowana, gdyby nie przestawiano jej na specjalne tory. A przecież jest przestawiana.

Może ten lekarz kieruje się chęcią wywołania skutku politycznego?

Część środowisk PO i KOD znalazła się w pułapce mentalnej, z której nie potrafi wyjść. Ponoć red. Jacek Żakowski (cytuje za prof. Stanisławem Żerką) jeszcze przed ostatnimi wyborami powiedział: „Jeśli oni są tak beznadziejni, to dlaczego tak nam dają w kość?”. Ideolodzy, politycy oraz część twardego elektoratu PO uwierzyli, że ludzie PiS są po pierwsze, skrajnie niekompetentni, a po drugie, skrajnie cyniczni i źli; że ludzi PiS poza władzą i pieniędzmi nic nie interesuje. A tymczasem nie nastąpiło załamanie gospodarki, nie było buntów społecznych paraliżujących kraj, nie ma więźniów politycznych, zamykania niepokornych mediów, a więzi polityczne i gospodarcze ze światem nie zostały zerwane. Fundamentalisci antypisowscy zaprogramowali się tak, że nie potrafią tego wszystkiego pojąć.

Część opozycji uwierzyła we własną propagandę?

Tak i teraz ci ludzie nie mogą sobie poradzić z dysonansem poznawczym. Jak ugrupowanie, definiowane jako pokraczny, niepełnosprytny demon, może od roku 2015 rządzić na tyle skutecznie, że zachowało wysokie poparcie, potrafi wygrywać kolejne wybory, a teraz dość

sprawnie – na razie tak to wygląda – przesterowuje państwo? I to w czasach kryzysu, który po raz pierwszy od II wojny światowej stawia ludzkość na baczność. W obecnej fazie kryzysu można powiedzieć, że rządzący sprościli wyzwaniu, zwłaszcza gdy porównamy Polskę z krajami bogatszymi. Najlepiej dowodzi tego niewielka jak dotąd, przynajmniej do dnia naszej rozmowy, liczba ofiar śmiertelnych. Ona pokazuje, że reakcja była właściwa, także w sferze zakresu testowania.

Opozycja oraz życzliwe jej media wzywają Andrzeja Dudę, by „został w domu”, czyli nie wychylał się z Pałacu Prezydenckiego. Jakiej jest pana zdanie w tej sprawie?

Gdyby prezydent ogłosił, że nie chce nikogo narażać, że będzie koordynował walkę z epidemią z pałacu, to powiedziano by o nim, że ucieka, chowa się, że tchórzy. Cokolwiek prezydent by zrobił, będzie atakowany. Pamiętajmy, że prezydent ma szczególną odpowiedzialność związaną z rolą zwierzchnika sił zbrojnych, obejmującą całą sferę bezpieczeństwa narodowego. Prezydent musi mieć bezpośredni ogląd spraw, nie może się opierać wyłącznie na raportach i notatkach. Obywatele widzą, że to nie jest tchórzliwy prezydent. Co by było, gdyby zagrożenie miało charakter militarny? Oczywiście dowódca nie powinien stacjonować na pierwszej linii frontu, ale powinien być wśród żołnierzy. By z pierwszej ręki wiedzieć i by go widziano.

Wielu komentatorów mówi, że rząd stąpa po kruchym lodzie. Czy rzeczywiście jeden skandal, jakiś filmik, mogą odwrócić nastroje?

Żaden poszczególny filmik nie wywoła takiego efektu, bo może zostać szybko odklamany. Niebezpieczne są zdarzenia kaskadowe, skumulowane. Niebezpieczne dla spokoju społecznego mogą się okazać jakieś nadużycia, np. korzystanie przez ludzi władzy z badań poza kolejką. Niebezpieczna mogą być ewentualne nadużycia gospodarcze związane z walką z epidemią. Tego trzeba bardzo pilnować. Szczególnie nawarstwienie się takich okoliczno-

ści w krótkim czasie może sprawić, że społeczeństwo utraciłoby zaufanie do władzy. Ale generalnie ludzie myślą racjonalnie, porównując sytuację z tym, co za granicą. Wiele rodzin zastanawia się pewnie, na co wskazał premier Mateusz Morawiecki, na ile bezpieczne byłyby dziś ich budżety domowe bez 500+.

Jak ocenić falę zakupów na zapas w obliczu epidemii?

W granicach rozsądku jest to zdrowa zapobiegliwość. Myślę, że w obecnych warunkach zapasy na dwa, trzy tygodnie są uzasadnione, racjonalne. Jeśli ktoś kupuje więcej, to chyba reaguje i historycznie, i społecznie.

Jaki będzie świat po przejściu epidemii? Niektórzy eksperci twierdzą, że Zachód będzie chciał odzyskać część produkcji, którą przekazał Chinom, zwłaszcza w sferze środków medycznych.

Będą ze sobą walczyły dwie tendencje. Z jednej strony np. dążenie wilków biznesu z USA i na Dalekim Wschodzie, którzy będą chcieli agresywnie odrobić straty. Z drugiej – będą próby przemyślenia na nowo architektury bezpieczeństwa. Stany Zjednoczone dojdą zapewne do wniosku, że muszą zachować autonomię strategiczną na większej liczbie pól, niż dotąd sądziły. Liczę też na poważną dyskusję o tym, czy globalizacja, mobilność, międzykontynentalny podział pracy, nie poszły za daleko? Dzięki upowszechnieniu kontenera i drastycznemu potaniu transportu morskiego kraje autorytarne zyskały możliwość chwytenia za gardło gospodarek krajów demokratycznych. Sama potencjalność takiej sytuacji jest już niebezpieczna.

W chwili kryzysu okazało się także, nie po raz pierwszy, że wszyscy bronią się w państwach narodowych.

Ten szok chyba wymusi przywrócenie godności pojęciu „granica”. Ciekawe są relacje ludzi, którzy w ramach pracy zdalnej próbują zbudować sobie w domu biuro czy kąpiel do efektywnej pracy. Piszą, że najważniejsze jest znalezienie miejsca jakoś odizolowanego, w którym można wykonywać

TANIE TANKOWANIE

Reszta należy do Ciebie





pracę głęboką, wymagającą skupienia. W naszych mieszkaniach mamy drzwi, załomy, stawiamy regały oddzielające przestrzeń. Świat w swojej „postępowej bezgraniczności” stał się zbyt podatny na wstrząsy. Jest nadzieja, że ta kwestia zostanie racjonalnie przemyślana.

Granice wewnątrz Unii Europejskiej – których ponoć już nie było – zostały przywrócone w ciągu kilkudziesięciu godzin. To wręcz fascynujące.

Z pewnością pojawi się też zwyczajowa narracja, według której „gdyby Europa była głębiej zintegrowana, to byśmy szybciej sobie poradzi”. Ta narracja musi spotkać się z inteligentną, a nie bombastyczną odpowiedzią z naszej strony. Otwartość i zamkniętość zawsze muszą balansować; pod pewnymi względami systemy społeczne muszą być otwarte, pod innymi zamknięte. Mądra władza zarządza poziomem otwartości. Gdyby integracja zaszła tak daleko, że nie mielibyśmy służb i narzędzi do zamknięcia krajowych granic, to w jakim miejscu byśmy byli? Nie można integracji przyspieszać na siłę, ona musi być przemyślana, wiązać się także z kulturową dojrzałością społeczeństw. Integracja europejska na mocy samych śmiałych wizji i ideologicznych ambicji to za mało. To zagrożenie, a nie rozwój.

Epidemia oznacza odwołanie mistrzostw Europy w piłce nożnej, rozgrywek sportowych, Eurowizji, koncertów. Oferta rozrywkowa gwałtownie się kurczy.

Mamy wyjątkową szansę przemyślenia tego, co jest naprawdę w życiu społeczeństw ważne. Człowiek musi być zasilany dwoma strumieniami „paliwa” – energią (chlebem) i stymulacją (igrzyskami). Stymulacje mogą być bardziej lub mniej wartościowe – mogą uspołeczniać lub odspołeczniać, egocentryzować. Boom przeżywają takie sieci, jak HBO Go, oferujące filmy i seriale. To są jednak rozrywki raczej aspołeczne. Pójście na mecz czy do teatru to przeżywanie zbiorowe, czyli coś, czego ludzie

bardzo potrzebują. Jednak jeśli ktoś rozpacza nad odwołanymi mistrzostwami w piłce nożnej, to sygnalizuje, że utracił zdolność rozróżniania rzeczy ważnych i nieważnych. To coś podobnego do głosów wzywających do zrównania praw ludzi i zwierząt, a nawet i roślin.

Współczesny człowiek jest jednak bardzo mocno przebadczowany. Jak sobie poradzi na takim przymusowym odwyku? Pewnie jeszcze wielu bardziej ucieknie w internet.

Są dwa zagrożenia komunikacyjne. Po pierwsze, nadmierny hurraoptymizm zwolenników rządu. Bo jeśli sytuacja się zaostrzy, to hurraoptymizm zdemobilizuje ludzi, obniży poziom odporności emocjonalnej. Po drugie, równie niemądry jest hiperkrytycyzm

Gdyby ta nadzwyczajna sytuacja potrwała dłużej, powiedzmy ponad pół roku, to poziom uzależnienia od rozrywek sieciowych może się pogłębić u całego młodego pokolenia wraz z wszystkimi negatywnymi konsekwencjami. Z jednej strony zdalna praca i komunikacja sieciowa są dziś pewnym ratunkiem, powodują, że zaburzenia w funkcjonowaniu ważnych instytucji są płytsze, ale z drugiej – będą też zjawiska negatywne, także w skali światowej.

Na marginesie można powiedzieć nieco żartobliwie, że akurat pan profesor wielokrotnie wzywał, by świat troszkę zwolnił i prosić – świat usłuchał. Nawet z pewną przesadą.

Od lat postuluję „muratorium technologiczne”, a więc spowolnienie roz-

woju wybranych technologii. Jeszcze niedawno wydawało się to całkowicie nierealne, bo ktoś miałby zdecydować się na tak radykalny (co z tego, że niezbędny) krok? Okazało się, że tak drobny byt jak „jakiś wirus” jest w stanie naszą całą cywilizację zatrzymać. A może zamiast czekać na kolejne sygnały od przyrody ludzie sami powinni okiełznać nadmierną dynamikę społecznych zmian? Nie uporządkujemy ludzkiego świata bez zmniejszenia złożoności systemów społecznych.

A z perspektywy bezpieczeństwa obecna sytuacja ma jeszcze jedną niedobłą konsekwencję: w momencie, gdy ten wirus zostanie rozpracowany oraz powstaną wiarygodne, sprawdzone modele epidemiczne, to żli ludzie będą mieli pokusę, by po tę wiedzę sięgnąć, wprowadzając w obieg coś znacznie bardziej śmiertelnego. Musimy to uwzględnić.

Jak ocenić to, co zdarzyło się w pierwszych dniach epidemii, a więc wręcz eksplozję agresji wobec Kościoła, który nie chciał zamykać świątyni, będąc wiernym swojej misji? Czy to pierwsze zbiorowe przeżycie, w którym wiara chrześcijańska nie stanowi podstawowego punktu odniesienia dla więk-

szości Polaków?

Myślę, że ten dotyk skrzydła śmierci przywróci wielu ludziom proporcje w myśleniu. Cywilizacja techniczna nie przyniosła nam świata, nad którym mielibyśmy pełną władzę. Powinniśmy wykazać więcej pokory, pamiętać, że „nie znamy dnia ani godziny”, zaakceptować, że niezależnie od kwestii istnienia Boga, skupienie modlitewne, zwłaszcza wspólne, jest niezwykłą społeczną wartością. A gdybym był wierzący, to może bym powiedział, że może w Polsce unikniemy wielkiej tragedii, bo jest to ziemia mocno omodlona. A może skala tragedii we Włoszech ma jakiś związek z tym, że Włosi, przez wieki tak bliscy Kościołowi, od religii się odwrócili? To są, rzecz jasna, refleksje niesocjologiczne i niesprawdzone, ale można i tak to widzieć.



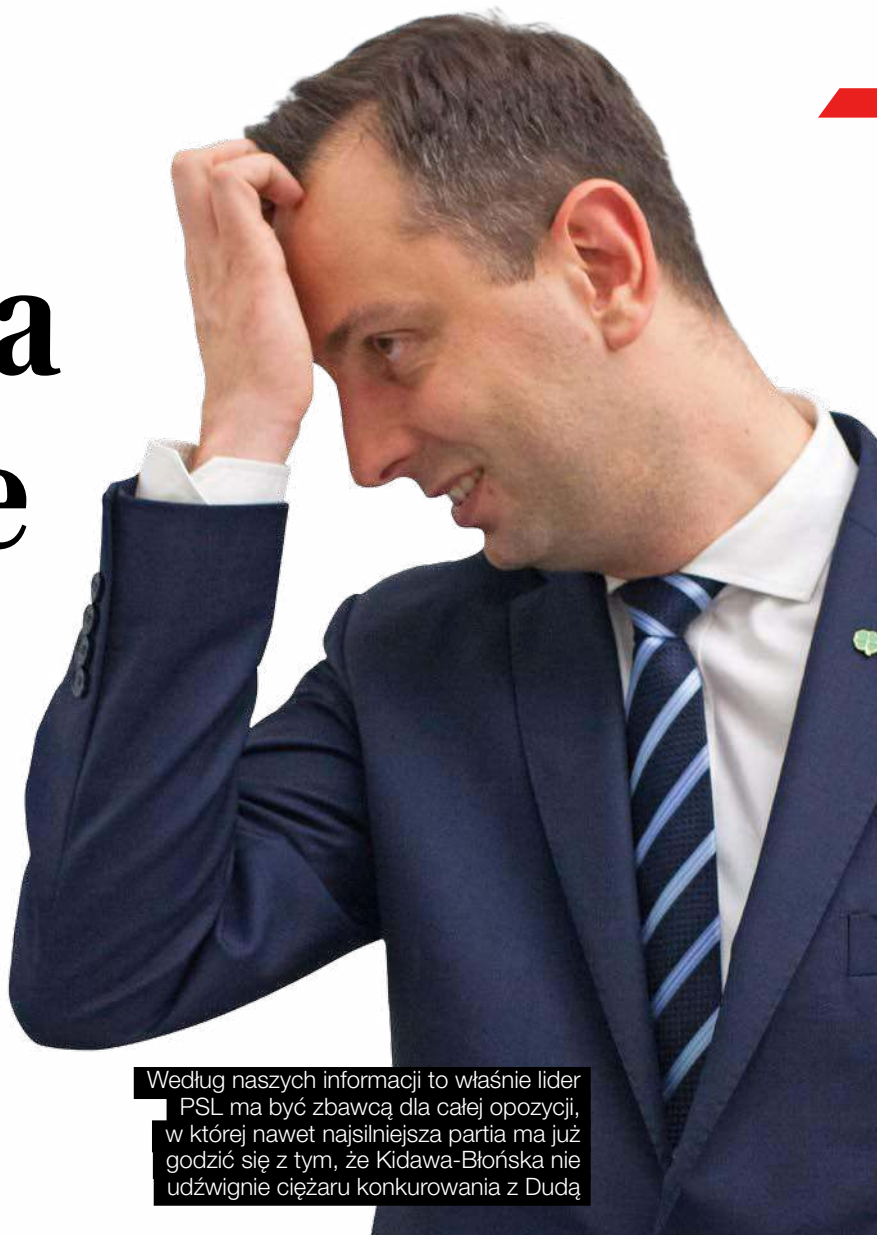
Opozycja w stanie klęski

Czas kryzysu w brutalny sposób weryfikuje polityków. Pozwala dostrzec, kto prowadzi tylko polityczną grę, a kto chce realnie rozwiązywać problemy. Opozycja najwyraźniej nie czuje, że przegrzewa z krytyką rządu, którego działania w obliczu epidemii zyskują uznanie w oczach Polaków

Jak ustalił portal wPolityce.pl, za kulami oficjalnej kampanii wyborczej trwa intensywna akcja agencji PR pracujących dla niektórych sztabów opozycyjnych. Chodzi o wywieranie presji na politykach i opinii publicznej, by przelożyć prezydencką elekcję. – Wydzwaniamy do dziennikarzy i suflują tezy, że kampania jest zamrożona, opozycja nie ma głosu, prezydent Duda jest faworyzowany przez swoją funkcję. Ta akcja ma naprawdę szeroki zasięg – słyszymy od informatora. Śledząc media i cytowane wypowiedzi polityków, rzeczywiście czuć parcie na zmianę daty wyborów.

BĘDZIE ZMIANA?

To naprawdę nadzwyczajna sytuacja, gdy konkurujący z Andrzejem Dudą w wyborach prezydenckich Władysław Kosiniak-Kamysz prosi prezydenta, by ten jeszcze przez rok pozostał na urzędzie. Opozycja ewidentnie jest w rozsypce. Niby jeszcze walczy, ale czy wie o co?



Według naszych informacji to właśnie lider PSL ma być zbawcą dla całej opozycji, w której nawet najsilniejsza partia ma już godzić się z tym, że Kidawa-Błońska nie udźwignie ciężaru konkurowania z Dudą



MARK PYZA MARCIN WIKŁO

Małgorzata Kidawa-Błońska, Szymon Hołownia i Robert Biedroń są zgodni jak nigdy dotąd: wybory nie mogą się odbyć w maju. – Jeżeli trzeba je przesunąć nawet o rok (...), jestem gotowy i nie będę kwestionował mandatu Andrzeja Dudy – ogłasza Władysław Kosiniak-Kamysz. Dlaczego właśnie on zapowiada aż takie ustępstwo? Według naszych informacji to właśnie lider PSL ma być zbawcą dla całej opozycji,

w której nawet najsilniejsza partia ma już godzić się z tym, że Kidawa-Błońska nie udźwignie ciężaru konkurowania z Dudą. Jest merytorycznie za słaba, każde jej wystąpienie dorzuca coś do rosnącego bagażu wpadek, pomyłek, przejęczyzeń. To wszystko w sosie nieznośnego banału i nudnego już strofowania prezydenta, by zaprzestał prowadzenia kampanii. Podmiana głównego kontrkandydata Dudy nie uda się jednak do 10 maja, nie ma czasu ani na promocję, ani na wytłumaczenie swoim wyborcom, o co chodzi. Przełożenie wyborów dałoby na to szansę.

Politycy PiS zasypywani pytaniami o możliwość zmiany daty elekcji są na ten moment nieugięci. Powtórzymy „na ten moment”,

**SIECI**

PANDEMIA KORONAWIRUSA

bo sytuacja jest dynamiczna i nie można wykluczyć niczego. Prezydent w wywiadzie dla Polsat News mówi, że „nie ma na razie wniosku o wprowadzenie stanu nadzwyczajnego”, ale też dodaje, że „nie da głowy, że w przyszłości go nie będzie”. Marszałek Sejmu Elżbieta Witek pytana o 10 maja zapewnia, że „ten termin nie jest zagrożony”.

Na tę wypowiedź reaguje Jarosław Kurski, wicenaczelny „Gazety Wyborczej”, pisząc na Twitterze: „PiS postanowił wysłać Polki i Polaków do urn. #koronawirus #WyboryPrezydenckie2020”. Straszanie śmiercią to nowy poziom, na który również parlamentarzyści KO zaczynają się wspinać za pismem Michnika. To z jego łamów najgłośniejszy słychać wołanie o zmianę daty 10 maja.

WIEDZĄ, CZEGO CHCĄ?

Opozycja goni w piętę, tak histerycznie domagając się wprowadzenia stanu wyjątkowego. To spore niezrozumienie tego, co robi rząd. Przecież „stan zagrożenia epidemicznego”, jaki od dziesięciu dni obowiązuje w Polsce, oczywiście zmienia naszą rzeczywistość i wraz z przyjętą prawie jednogłośnie specustawą daje ministrowi zdrowia i premierowi bardzo szerokie uprawnienia. Wybrano taką ścieżkę m.in. właśnie po to, by nie było konieczności wprowadzenia stanu nadzwyczajnego (konstytucja przewiduje trzy: wojenny, wyjątkowy lub klęski żywiołowej). Ciekawe, czy opozycja wie, co mogłoby oznaczać wprowadzenie stanu wyjątkowego, o którym tak marzy? Czy

wie, że wtedy zgodna z prawem byłaby np. cenzura prewencyjna mediów, kontrola korespondencji i rozmów telefonicznych? Czy wie, że władza centralna mogłaby np. wprowadzić komisarzy zamiast prezydentów miast, gdyby doszła do wniosku, że ci sobie nie radzą?

Argumentem za przełożeniem wyborów ma być brak możliwości prowadzenia kampanii. To prawda, że mamy sytuację ekstraordynaryjną, ale niedogodności dotyczą wszystkich w takim samym stopniu. Zwrócił na to uwagę były szef Państwowej Komisji Wyborczej sędzia Wiesław Koziół. Jego wywiad dla „Wyborczej” to wbicie dodatkowego noża w plecy opozycji. „Wybory da się przeprowadzić w terminie. Zakazu prowadzenia kampanii przecież nie ma. (...) Wszyscy kandydaci znaleźli się w tej samej sytuacji. Nie to, że jeden żyje na Księżycu, a drugi w Polsce. Utrudnienia niewątpliwie są i dotyczą wszystkich” – powiedział.

Na zakazie organizowania otwartych spotkań najwięcej traci Andrzej Duda. Mimo to jego sztab uzbierał w ciągu niespełna miesiąca ponad dwa miliony podpisów poparcia i zarejestrował kandydata. Skoro można było uskładać taką liczbę, to jak chcą wygrać wybory kandydaci, którzy nie potrafią zebrać wymaganych prawem 100 tys.? Udało się to nawet Markowi Jakubiakowi, który zgłosił się do prezydenckiego wyścigu jako ostatni, bez większego rozgłosu i bez wielkich inwestycji finansowych. Jego start psuje szyki pozostałym kandydatom opozycji, którzy rozważali nawet gremialne wycofanie się z wyborów, by Duda pozostał na placu boju sam, a wtedy wybory byłyby

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

z automatu przełożone. Kampania na dobre trwa w internecie. Choć kandydaci uparcie przekonują, że wcale jej nie prowadzą. Małgorzata Kidawa-Błońska twierdzi, że „ją zawiesiła, jak państwo dobrze wiedzą”. Jednak propozycje dla przedsiębiorców, ogłoszone nie wiadomo po co, bo w tym samym czasie nad prawie identycznymi rozwiązaniami pracowała Rada Gabinetowa, kandydatka KO ogłosiła na dedykowanym wyborom profilu #KIDAWA2020. To

nie był element kampanii? Pani marszałek z rozbrajającą szczerością odpowiedziała w Tok FM: „Zawiesiłam całą kampanię i właściwie to, co robię, to jest taka działalność obywatelska”.

Podobnie „zawiesił” kampanię Szymon Hołownia, choć wciąż udziela wywiadów i organizuje konferencje prasowe. W czwartek zmienił melodię: „Nie zawiesiłem swojej kampanii, a zawiesiłem czynne prowadzenie agitacji wyborczej” – mówił w TVN. Czyli agituje... biernie?

WBREW POLAKOM

O wyjątkowości sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, świadczy też to, że najrozsądniejszymi spośród polityków KO, iście sensacyjnymi przemyśleniami podzieliła się Klaudia Jachira. Zarzuciła hipokryzję swojej formacji i pozostałej części opozycji, która krytykuje Andrzeja Dudę za jeżdżenie po stacjach pogotowia ratunkowego czy fabrykach produkujących płyn do dezynfekcji. „Gdyby siedział w Pałacu i nie wychodził, to byśmy mu zarzucali, że się schował, jest tchórzem i nic nie robi. (...) Dobrze wiecie, że wytykanie mu tego jest czystym cynizmem” – grzmiała posłanka i punktowała kontrkandydatów prezydenta: „Właśnie w tym trudnym czasie teraz pokażcie, jak ważny to jest urząd, że się nadajecie na bycie prawdziwym prezydentem. (...) Gdzie jesteście i co robicie? Dlaczego nagle zniknęliście?”. Po czym zaprezentowała serię rad dla każdego z nich. Wicemarszałek Sejmu zganiła nawet za „siedzenie przy zakurzonej biurku” zamiast np. gotowania obiadu dla pracowników szpitala.

Musi być z opozycja naprawdę źle, jeśli z jej korkociągu ku klęsce wyłamuje się właśnie Klaudia Jachira ze swoimi – jakże tym razem trafnymi! – diagnozami.

Może dlatego, że jest nowa w polityce i nie podporządkowuje się jeszcze wszystkim wytycznym partyjnych generalów opozycji, którzy obrali jeden kurs: totalne zderzenie z rządem, nawet w czasie tak dramatycznym, jak pandemia śmiertelnego wirusa.

Im dłużej trwa kryzys, tym Polacy coraz wyraźniej widzą, że władza sensownie walczy z jego skutkami. 71 proc. badanych przez pracownię Social Changes dla portalu wPolityce.pl pozytywnie ocenia postawę rządzących. Nawet wśród zwolenników Koalicji Obywatelskiej aż 62 proc. wystawia dobre oceny gabinetowi Matusza Morawieckiego.

Badanie przeprowadzono jeszcze przed zaprezentowaniem „tarczy antykryzysowej”, która przewiduje bezprecedensową w naszej historii pomoc państwa w czasie kryzysu. Mimo gigantycznej skali wsparcia opozycja natychmiast przystąpiła do

Kampania na dobre trwa w internecie. Choć kontrkandydaci Andrzeja Dudy uparcie przekonują, że wcale jej nie prowadzą

zmasowanej krytyki zaproponowanych rozwiązań.

Jednym z argumentów (niezbyt zresztą trafnych) KO było twierdzenie, że to częściowo kopia ich pakietu antykryzysowego z 2009 r. Skoro tak chętnie sięgają do tamtego czasu, dlaczego nie przypomną sobie słów Donalda Tuska z 19 marca 2010 r., gdy z mównicy sejmowej apelował o współpracę opozycji z rządem. „Spróbujmy zrobić z tego trwałą metodę naszego współdziałania,

przynajmniej w tej przestrzeni, co do której nikt nie może mieć wątpliwości, że będzie decydowała o życiu Polaków dziś, za rok, za 5 lat, za 10 lat. (...) Jeśli tego nie zrozumiecie, wyginiecie jak dinozaury” – mówił ówczesny premier. Obecnie mamy dokładnie taką sytuację, gdy decyduje się stan polskich spraw nie tylko na dziś, lecz na lata.

Nie chodzi o to, by opozycja ślepo wspierała we wszystkim rząd. Wystarczyłoby jednak, gdyby powstrzymała się przed potępianiem wszystkiego, co jest proponowane w obliczu epidemii, nie kolportowała fake newsów, nie myślała wyłącznie o politycznej naparzaneczce, na której chce ugrać parę punktów i odwrócić coraz gorsze notowania. By wreszcie pomyślała o Polsce.

REKLAMA



DOBRE SŁOWO
NA FALI



SŁUCHAJ NAS
ONLINE



www.radiowarszawa.com.pl



Miała być izolacja jedynie dla grup ryzyka, a życie miało się toczyć jak dotychczas. Strategia walki z koronawirusem obrana przez brytyjski rząd zakładała, że większość obywateli zachoruje, a następnie stanie się odporna na infekcję. W obliczu ryzyka załamania służby zdrowia Londyn jednak zmienił nieco kurs

Walka bez walki

Borisa Johnsona



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

To jest najgorszy kryzys zdrowotny od pokolenia. Niektórzy porównują to do grypy sezonowej, niestety nie jest to słuszne. Ze względu na brak odporności ta choroba jest bardziej niebezpieczna. Będzie się rozprzestrzeniać i muszę być szczery z wami, muszę być szczery z brytyjską opinią publiczną, o wiele więcej rodzin przedwcześnie straci bliskich” – oznajmił Boris Johnson 12 marca na konferencji prasowej w Westminsterze. Słowa premiera zszokowały Brytyjczyków. Tym bardziej że chwilę potem ogłosił oficjalną

strategię rządu, która zakładała opóźnienie rozprzestrzenienia się koronawirusa, miast próby zatrzymania epidemii, na co jego zdaniem „było już i tak za późno”.

Pobrzmiwał w tym pewien fatalizm: choroba jest, będzie się szerzyła i niewiele możemy na to poradzić, możemy liczyć, że izolując najbardziej zagrożone grupy – osoby starsze i obciążone innymi chorobami – spowolnimy rozwój epidemii, a wśród ogółu społeczeństwa wytworzy się odporność. W odróżnieniu od wielu innych państw europejskich rząd brytyjski nie zdecydował się więc początkowo na zamknięcie szkół, uniwersytetów, kin i teatrów ani na odwołanie imprez masowych, w tym rozgrywek sportowych. Poleciał obywatelom jedynie, by pozostawali w domach, gdy poczują się chorzy, i starannie myli ręce. Johnson dawał przy tym do zrozumienia, że jego zdaniem rzeczywista liczba infekcji przekroczyła już 10 tys., a ważniejsza od zatrzymania epidemii jest ochrona gospodarki, która

mogłaby poważnie ucierpieć, gdyby Londyn przyjął strategię zamknięcia, praktykowaną w innych państwach Europy. Przez kilka dni Wielka Brytania była w tym względzie prawie zupełnie osamotniona. Tylko Szwecja zdecydowała się na podobne, liberalne podejście do epidemii koronawirusa.

CHAOTYCZNA KOMUNIKACJA

Sposób komunikowania rządowej strategii był przy tym bardziej niż osobliwy. Oniektórych działaniach Downing Street No. 10 Johnson informował tylko wybranych dziennikarzy z zaprzyjaźnionych mediów. O planach rządu zmuszenia osób powyżej 70. roku życia do pozostawania w domach można było się dowiedzieć wyłącznie z prenumeraty „The Daily Telegraph”, który opublikował o tym artykuł schowany za paywallem. To wynik braku zaufania premiera do wrogo nastawionych do niego liberalnych mediów, które

od początku ostro krytykowały strategię „odporności stadnej”, ukutą przez głównego doradcę naukowego rządu sir Patrickę Vallance’a. Tak Johnson zrezygnował z konferencji prasowych na rzecz briefingów „off the record” z pojedynczymi dziennikarzami. Były szef gabinetu Theresa May lord Barwell apelował do ministrów, by przestali anonimowo briefować dziennikarzy i zaczęli „mówić bezpośrednio do ludzi”.

Te apele o przejrzystość stały się jeszcze głośniejsze po tym, jak rząd opublikował swoją strategię. Podzieliła ona bowiem mocno środowisko naukowe. Zakłada ona przerwanie łańcucha infekcji: im więcej osób jest odpornych, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że infekcja się rozprzestrzeni. Zarażenie dużej liczby osób w grupach niskiego ryzyka jest więc korzystne. Brytyjski rząd zakłada, że niezależnie od przyjętych działań w Wielkiej Brytanii zarazi się nawet 80 proc. populacji. Skoro więc nie można zatrzymać zakażeń, należy położyć większy nacisk na leczenie chorych. Ponieważ wszyscy chorzy nie otrzymają pomocy, bo nie ma tylu miejsc w szpitalach, należy zająć się tymi, którzy rzeczywiście tego wymagają. Osobami starszymi i obciążonymi chorobami przewlekłymi. Brytyjski rząd założył, opierając się na różnych modelach i psychologii behawioralnej, że „odporność stadna” zostanie osiągnięta, gdy co najmniej 60 proc. społeczeństwa (ok. 40 mln osób) przejdzie infekcję. A „ludzie szybko będą mieli dość restrykcji, jeśli zostaną wprowadzone na tak wczesnym etapie”. Zamiast więc zamykać bary czy puby, należy stawiać na poczucie odpowiedzialności obywateli i liczyć, że pozostaną oni dobrowolnie w domach. Modele behawioralne, na które powołuje się Vallance, mają pokazywać, że ludzie zmuszeni do kwarantanny w końcu się buntują. Wtedy wirus może powrócić ze zdwojoną siłą. „I to się dzieje na ogół w najgorszym możliwym momencie” – przekonywał doradca Johnsona.

WĄTŁE PODSTAWY NAUKOWE?

Brytyjscy naukowcy są podzieleni w ocenie postawy rządu. Część chwali Johnsona za nieuleganie panice, ich zdaniem każdy rząd „ma własną metodę walki z epidemią i ma do niej prawo”, a część go ostro krytykuje. W liście otwartym grupa

230 naukowców (od matematyków po genetyków) z brytyjskich uniwersytetów wezwała rząd do podjęcia ostrzejszych działań przeciwko epidemii. Większe oddzielenie ludzi od siebie (social distancing) dramatycznie spowolniłoby ich zdaniem tempo rozprzestrzenienia się choroby w Wielkiej Brytanii i oszczędziłoby tysiące istnień ludzkich. Według nich strategia „odporności stadnej” jest zbyt ryzykowna, a kalkulacje brytyjskiego rządu mogą się okazać błędne. Może być bowiem tak, że liczba chorych wymagających hospitalizacji będzie zbyt duża i szpitale ich nie pomieszczą, co doprowadzi do załamania służby zdrowia.

Prof. Willem van Schaik, mikrobiolog z uniwersytetu w Birmingham, twierdzi, że by osiągnąć zakładaną przez rząd „odporność stadną”, ponad 36 mln Brytyjczyków musiałoby się zarazić koronawirusem i wyzdrowieć. „Nie da się dziś przewidzieć, co to może oznaczać w kategoriach kosztów ludzkich, ale zachowawczo patrzymy na dziesiątki tysięcy zgonów, a być może na setki tysięcy zgonów” – podkreślił mikrobiolog w rozmowie z BBC. Inni się obawiają, że odporność może się okazać tylko chwilowa. Nie wiadomo bowiem, czy nie pojawią się kolejne mutacje wirusa. Z Chin i innych krajów Azji dochodzą informacje o powtórnych zachorowaniach osób wyleczonych z COVID-19. Zachorowanie 80 proc. mieszkańców Wysp, przy obecnym wskaźniku śmiertelności na koronawirusa, oznacza zgon blisko 250 tys. Brytyjczyków. Przerazająca liczba.

LONDYN ZMIENIA PODEJŚCIE

Premier początkowo zacięcie bronił obranej przez siebie strategii. Po kilku dniach jednak zmienił częściowo kurs. Zaczął wprowadzać pierwsze poważniejsze ograniczenia. „Wprowadzono m.in. 14-dniową kwarantannę – jak donosi portal Euractiv – dla gospodarstw domowych, w których ktokolwiek z domowników ma gorączkę lub kaszel”. Kwarantanna dla osób znajdujących się w grupie ryzyka, czyli osób starszych i przewlekłe chorych, wyniesie trzy miesiące. Dodatkowo Brytyjczycy mają zrezygnować z zagranicznych podróży i nie odwiedzać pubów, klubów, restauracji, kin ani teatrów (na razie jednak nie zalecił ich zamknięcia). Kto może, powi-

nien pracować z domu. Przymusu jednak nie ma. W projekcie specjalnej ustawy do walki z epidemią koronawirusa (projekt przedstawiono we wtorek 17 marca) znajdują się m.in. zapisy przyznające policji i urzędnikom imigracyjnym prawo do zatrzymywania ludzi oraz umieszczania ich w izolacji. Zamknięto także do odwołania wszystkie szkoły, żłobki i uniwersytety. W szkołach i żłobkach zostanie jedynie minimalna obsługa, która ma zapewnić opiekę nad dziećmi „pracowników kluczowych sektorów”, przede wszystkim służby zdrowia. Wiceszefowa rządowego zespołu doradców medycznych Jenny Harries zaznaczyła, że zamknięcie szkół ma przede wszystkim pozwolić na dalsze ograniczenie kontaktów między osobami dorosłymi, a pozostawienie w nich minimalnej obsługi ograniczy kontakty dzieci z dziadkami, najbardziej zagrożonymi koronawirusem, którzy musieliby inaczej przejąć nad nimi opiekę. Brytyjski rząd przedstawił także wart 330 mln funtów program wsparcia gospodarczego.

EPILOG

Londyn do częściowej zmiany strategii miały przekonać dane z Włoch, kraju najczęściej dotkniętego epidemią koronawirusa w Europie, pokazujące obciążenie, jakie generuje dla służby zdrowia gwałtowny wzrost liczby zachorowań na COVID-19. Brytyjska służba zdrowia jest na taką ewentualność równie źle przygotowana jak włoska. „W Wielkiej Brytanii na 100 tys. mieszkańców przypada statystycznie – jak podaje Euractiv – tylko 6,5 łóżka na OIOM-ie, a we Włoszech to 12,5 łóżka”. Można by sądzić, że Londyn uznał, iż takie kraje jak Polska miały rację, natychmiast wprowadzając surowe zakazy i ograniczenia. Ale to nie byłaby prawda. Brytyjski rząd dalej uważa, że zarażenie się większej części społeczeństwa jest nieuniknione, restrykcje kontrproduktywne, a sukces w walce z epidemią będzie zależał od wydajności służby zdrowia, a więc wytworzenia się szerokiej odporności w społeczeństwie. Główny doradca naukowy rządu sir Patrick Vallance już rozpoczął pracę nad testem wykrywającym antyciała przeciwko koronawirusowi. Kto ma rację – kraje europejskiego kontynentu i WHO czy Johnson i jego doradcy – okaże się w najbliższych miesiącach.



Jeden z rosyjskich analityków napisał, że Igor Sieczin, prezes największego rosyjskiego koncernu Rosneft, zawsze miał szorsty zmysł i dobre wyczucie tego, w którą stronę podąża świat. Świadczy o tym choćby to, że w 1990 r. zdecydował się wstąpić do komunistycznej partii ZSRR, czyli rok przed likwidacją „ojczyzny światowego proletariatu”. Ta zjadliwa ironia jest zapewne związana z oceną pierwszych skutków, jakie rosyjskiej gospodarce przyniesie wojna naftowa rozpętana, jak się powszechnie w Rosji uważa, właśnie przez Sieczina. Dlaczego? Bo to właśnie on miał przekonać Władimira Putina, że zgoda na propozycje Arabii Saudyjskiej, która w ramach porozumienia OPEC+ chciała dalszych cięć w wydobywaniu surowca, jest dla Rosji niekorzystna i nie warto iść w tym kierunku. O takim nastawieniu Moskwy zdecydowało też przekonanie, że epidemia związana z wirusem COVID-19 nie potrwa tak długo, jak się dziś uważa, ani nie będzie miała tak powszechnego charakteru.

W tym wypadku rosyjskie władze pomyliły się chyba jeszcze bardziej. Na razie zgodnie z deklaracją Władimira Putina oficjalna narracja w tej kwestii głosi, że Rosja powstrzymała przenikanie infekcji na jej obszar. Narracja narracją, ale obrazki z rosyjskich sklepów, z których wykupiono wszystkie dające się dłużej przechowywać towary, nawet sól, wskazują, że Rosjanie nie bardzo wierzą zapewnieniom płynącym z rządowych kanałów telewizyjnych.

GNIEW SAUDÓW

Rynek weryfikuje propagandowe slogany. W przypadku ropy naftowej stało się to niemal następnego dnia po tym, jak Rosja odrzuciła saudyjską propozycję. Rijad, a za nim duża grupa państw arabskich i afrykańskich zrzeszonych w OPEC, na rosyjską obstrukcję zareagowały gniew-

nie, natychmiast zwiększając produkcję. Saudyjski następca tronu Muhammad ibn Salman, który kilka lat temu zadziwił światową opinię publiczną, prognozując, że w połowie tego dziesięciolecia Rosja nie będzie się już liczyła na rynku eks-

wych odbiorców rosyjskiej ropy, w Europie przekraczające nawet 10 dol. na baryłce.

Na to wszystko nałożyła się epidemia koronawirusa i pierwsze raporty na temat jej ekonomicznych skutków. Branża turystyczna stanęła, podobnie lotnictwo

i transport lądowy, ludzie siedzą w domach, konsumpcja paliwa leci na łeb, na szyję. W czasach zarazy nie kupuje się samochodów ani innych dóbr trwałego użytku, łańcuchy zaopatrzeniowe nawet jeżeli nie uległy zerwaniu, to z pewnością znacząco przetrząsnęły, więc kolejne koncerty motoryzacyjne informują o zamykaniu swoich fabryk.

Wojna cenowa w efekcie kryzysu popytu na rynku ropy paradoksalnie poprawia pozycję Saudów, bo koszt wydobywania jednej baryłki w ich przypadku wynosi 9 dol., a w Rosji 20, i to biorąc pod uwagę tylko obecnie wykorzystywane złoża, które zresztą powoli już się wyczerpują. A zdaniem specjalistów, w tym ekspertów rosyjskich, jeśli nie rozpocznie się w najbliższym czasie wielkich programów inwestycyjnych na dalekiej północy, których koszty idą w setki miliardów dolarów, bo wszystko – wliczając w to infrastrukturę transportową, nowe drogi, miasta, porty – trzeba zbudować od zera, to rzeczywiście spełni się czarna prognoza ibn Salmana i Rosja za kilka lat z trudem będzie w stanie zaspokoić nawet wewnętrzny popyt na ropę i produkty ropopochodne.

Skoro polityka Saudów zalewania świata tanią ropą i wypierania z rynku producentów rosyjskich już zaczęła działać, to wielkie rosyjskie inwestycje można będzie między bajki włożyć. Po prostu nie będzie na nie pieniędzy. Chiny w styczniu i lutym, z powodu koronawirusowych blokad, kupiły 36 proc. mniej rosyjskiej ropy naftowej niż w ub.r. Teraz będzie jeszcze gorzej, mimo że tamtejsza ekonomia ma się już nieco lepiej. Dlaczego? Bo rosyjskie firmy zaczęły informować, że ich chińscy partnerzy na masową skalę zrywają kontrakty. Po-

Kres ZSRR, kres Rosji Putina?

Mała wojna na rynku naftowym, którą w planach Kremla miał być konflikt o przedłużenie porozumienia cenowego z OPEC, kończy się wielkim starciem, w którym nie będzie jeńców. Tania saudyjska ropa i globalna zaraza mogą doprowadzić Rosję do gospodarczego krachu



MAREK BUDZISZ

porterów ropy naftowej, teraz najwyraźniej przystąpił do wcielenia w życie tych prognoz.

Po tym jak profilaktycznie aresztował członków rodziny królewskiej, mogących budować wewnętrzną opozycję wobec jego polityki, załaził świat taną saudyjską ropą (powiększył produkcję o niemal 3 mln baryłek dziennie i rzucił na rynek swoje, szacowane na 3,4 mln ton, zapasy). Światowe agencje informują też, że Arabia Saudyjska zaoferowała bezprecedensowe rabaty i upusty cenowe dla dotychczasowo-



wołują się przy tym na siłę wyższą, więc o odszkodowania za zaniechanie zakupów nie będzie łatwo. Dzieje się tak, bo kto w imię zmitologizowanej przyjaźni rosyjsko-chińskiej będzie kupował droższą ropę dostarczaną przez koncern Igora Sieczina, kiedy może kupić tańszą saudyjskiego potentata Aramco?

RUBEL POD PRESJĄ

O tym, że następują tektoniczne zmiany na światowym rynku dostaw, świadczą ostatnie informacje z giełdy frachtów morskich, które mówią, że ceny za przewóz ropy tankowcami z Zatoki Perskiej do Azji Południowo-Wschodniej wzrosły w ostatnich dniach siedmiokrotnie. Rosjanie od miesięcy lubili mówić, że są dobrze przygotowani na taką ewentualność i rezerw wystarczy im, aby przetrwać nawet sześć lat wojny cenowej. Ale jeśli idzie o rywalizację na tym polu, to Saudowie mają ich niewiele mniej, bo 520 mld dol., czemu Moskwa może przeciwstawić 570 mld. Tylko że w Arabii Saudyjskiej mieszka niecałe 33 mln ludzi, a w Rosji 147 mln.

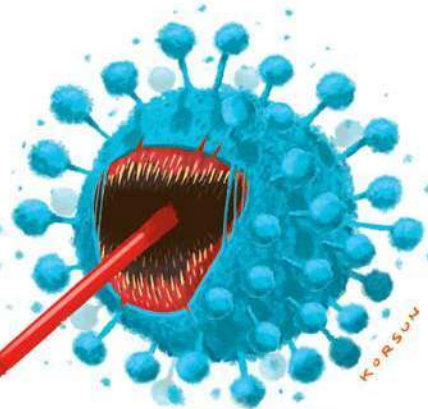
Dziś cena baryłki ropy testuje dno, zbliżając się w kontraktach terminowych do poziomu 25 dol., a wielu rosyjskim komentatorom zaczynają się przypominać czasy rozpadu ZSRR. To déjà vu wywołane jest tym, że również wówczas Arabia Saudyjska, zalewając świat ropą, doprowadziła do dramatycznego obniżenia cen, czym podcięła ekonomiczne fundamenty ZSRR. Obecnie rosyjscy ekonomiści odkurzają czarne scenariusze sporządzane w latach

ubiegłych po to, by zobaczyć, jak rosyjska gospodarka zareaguje na tąpnięcie na rynkach węglowodorów. Przyjmowano wówczas, że obniżenie się cen ropy wywoła dewaluację rubla, bo jego kurs w 99 proc. związany jest z ceną ropy. I to już się dzieje, bo rosyjska waluta w ciągu ostatnich dwóch tygodni straciła 20 proc. wartości. Pod koniec ub.r. w jednym z takich czarnych scenariuszy rosyjski Bank Centralny przewidywał, że spadek cen ropy wywoła przecenę rubla nawet o 50 proc., a gospodarka wejdzie w fazę ostrej recesji. Spadną inwestycje, inflacja znów podskoczy, spadnie konsumpcja wewnętrzna, czyli ludzie znów będą musieli mocniej zaciśnąć pasa, import zmniejszy się o jedną trzecią. Lapidarnie podsumowując ten scenariusz, analitycy napisali, że gospodarka rosyjska cofnie się o kilkanaście lat. Ale dziś ten czarny scenariusz wygląda na optymistyczny, bo nie zakładał on światowej epidemii koronawirusa i brał pod uwagę jedynie wahania koniunktury na rynku ropy naftowej.

Obecnie ekonomiści Sbierrbanku, największej rosyjskiej instytucji finansowej, z rozbrajającą szczerością mówią, że nie mają opracowanego scenariusza, co się stanie, jeśli kurs spadnie poniżej 100 rubli za dolara, a z taką ewentualnością należy się liczyć.

BŁĘDNE RACHUBY ROSJI

Mała wojna na rynku naftowym, jaką miał być – jak można przypuszczać w planach Kremla – konflikt o przedłużenie porozumienia cenowego z OPEC, kończy się wielkim starciem, w którym nie będzie jeńców. Putin na samym początku mówił, że jej efektem, z punktu widzenia Rosji pożądanym, może stać się uduszenie amerykańskiego sektora wydobycia ropy szczelinowej, który, bardzo silnie zadłużony (90 mld dol.), nie wytrzyma rywalizacji w warunkach niskich cen. Wydaje się jednak, że te rachuby nie uwzględ-



niły kilku czynników. Po pierwsze, jak wiadomo, wydobycie ropy szczelinowej z technicznego punktu widzenia można łatwo wstrzymać, i łatwo też bez wielkich inwestycji wznowić. Po drugie, jak na razie nie widać spowolnienia w amerykańskim sektorze naftowym, a wręcz przeciwnie. Uruchamiając zakupy strategiczne, władze doprowadziły nawet do wzrostu wydobycia. Paradoksalnie, i to trzeci czynnik, którego Kreml najwyraźniej nie przewidział, zachowania rynków finansowych w dobie kryzysu wzmacniają pole manewru władz amerykańskich. Zarysował się nie tylko paniczny odpływ inwestorów z rynków postrzeganych jako ryzykowne, a to przede wszystkim Rosja, ale też np. Ukraina. Mamy również do czynienia z bezprecedensowym wzrostem popytu na dolara, co dodatkowo zwiększa jego kurs, ale też ułatwia amerykańskiemu rządowi realizację polityki „poluzowania ilościowego”.

Cały świat w czasach próby chce stabilności i przetrzuca się na dolary. To dlatego Donald Trump, nie bacząc na gigantyczny amerykański dług publiczny, mógł ogłosić program szczodrych zapomóg mających łagodzić skutki kryzysu. Paradoksalnie, i zapewne wbrew temu, co sądził Władimir Putin, początek światowego kryzysu zwiększył możliwości Waszyngtonu i rozszerzył jego pole działania. A Rosja? Ostatnie szacunki, uznawane przez niezależnych ekonomistów za nadmiernie optymistyczne, mówią, że rezerw, którymi Kreml tak się chwalił, wystarczy maksymalnie na 18 miesięcy.



Męczennik, który ostrzegał świat przed wirusem

Z o. Janem Koniozem SJ rozmawia Piotr Słabek

Kim był dr Li Wenliang?

Jan Konior: Dr Li Wenliang (李文亮) urodził 12 października 1986 r. w Beizhen. Po skończeniu z wyróżnieniem szkoły średniej zdał egzamin do Wuhan University School of Medicine. Studiował tam siedem lat, uzyskując tytuł master degree of medicine. W 2011 r. rozpoczął pracę w Xiamen Eye Center i pozostał tam przez trzy lata. Był młodym, niespełna 34-letnim, lekarzem okulistą pracującym w Central Hospital w Wuhanie.

30 grudnia 2019 r. pierwszy poinformował, najpierw swoich kolegów lekarzy za pomocą chińskiego komunikatora WeChat, o siedmiu pacjentach zainfekowanych wirusem z objawami podobnymi do SARS. Jego news szybko znalazł się na portalach społecznościowych, ale też natychmiast spotkał się z oburzeniem władz.

W jaki sposób ostrzegał przed wirusem?

Pisał, że jest to bardzo niebezpieczny wirus, z którym natychmiast należy walczyć i nie dopuścić do rozprzestrzenienia się epidemii. Zachęcał do podjęcia szybkich działań, powołując się na swoje doświadczenie i obserwacje swoich pacjentów. Uważał, że może on stanowić poważniejsze zagrożenie niż SARS, wywołujący zapalenie płuc.

Już na początku stycznia władze w Wuhanie twierdziły,



Doktor Li Wenliang, który pierwszy zawiadomił świat o groźnym wirusie, został zmuszony przez tajną chińską policję do podpisania oświadczenia, w którym oznajmia, że przekazane przez niego informacje są nieprawdziwe. Gdyby tego nie zrobił, groziłoby mu długoletnie więzienie lub zesłanie do obozu pracy. Od jego rodziny i przyjaciół wiadomo, że był katolikiem

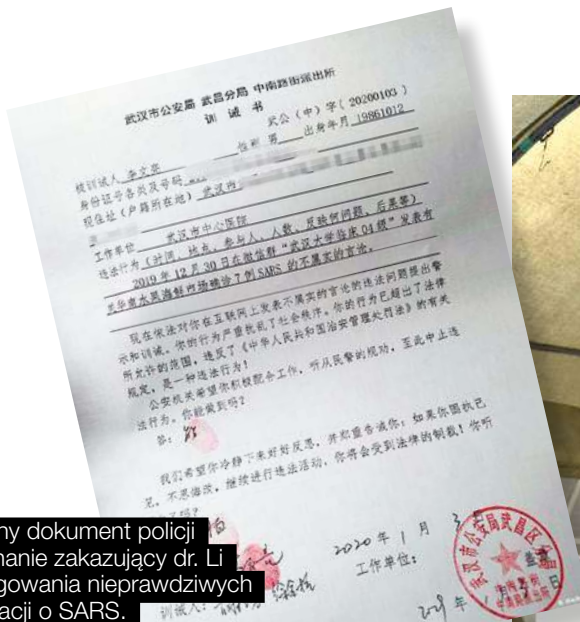
że wirusem mogą się zarazić tylko osoby, które miały kontakt z zainfekowanymi zwierzętami. Ponieważ niektóre z nich stanowią przysmaki kuchni chińskiej, jak np. nietoperze, ale też ryby, stąd powstało przypuszczenie, że wirus rozprzestrzenia się jedynie przez spożywanie zarażonego mięsa. Dlatego władze lokalne zamknęły targ rybny w Wuhanie.

Z jaką reakcją ze strony władz zetknął się młody lekarz?

Z potępieniem i odrzuceniem. Przekaz był taki, że rozsiewa plotki i podaje nieprawdziwe informacje, które wywołują panikę w chińskim społeczeństwie. Do jego domu natychmiast przyszła policja z żądaniem, aby podpisał oświadczenie, że przekazane przez niego informacje są nieprawdziwe. Pod przymusem je podpisał.

Gdyby tego nie zrobił, groziłoby mu oraz jego ośmiu kolegom, którzy również tę wiadomość zamieścili, poważne konsekwencje ze strony władz komunistycznych. Mogło to być długoletnie więzienie lub zesłanie do obozu pracy. Tajna policja natychmiast wymogła podobne oświadczenia od pozostałych ośmiu lekarzy.

Władze Wuhanu w prowincji Hubei „winne są wielkie przeprosiny mieszkańcom prowincji i całego kraju” – napisał Hu Xijin, redaktor tabloidu „Global Times”. Zhan Jiang, profesor dziennikarstwa w Pekinie, do-



Oficjalny dokument policji w Wuhanie zakazujący dr. Li propagowania nieprawdziwych informacji o SARS. Podpisany przez dr. Li i dwóch oficerów. Źródło: Sina Weibo



dał zaś, że należałoby zmienić chińskie prawo, aby chronić ludzi takich jak doktor Li, którzy „mają wrodzone poczucie dobra i zła, ujawniając opinii publicznej prawdę”. Niestety, ciągle brakuje przeprosin ze strony władz.

Władze Wuhanu, gdy zmarł dr Li, napisały w komunikacie na stronie internetowej lokalnych władz: „Niestety, mimo wysiłków nie udało się go uratować. Przekazujemy kondolencje i wyrażamy głębokie ubolewanie. Składamy wyrazy wielkiego szacunku dla jego pracy na froncie walki z epidemią”.

Dopiero 13 lutego, widząc poważne zagrożenie wirusem i gwałtownie wzrastającą liczbę zarażonych, władze zmieniły swój przekaz. Do kondolencji dołączyła się chińska państwowa służba zdrowia. Sekretarz Komunistycznej Partii Chin w Wuhanie Ma Guoqiang powiedział, że władze powinny wcześniej zareagować.

Jak wyglądałaby sytuacja, gdyby usłuchano doktora Li przed nowym rokiem?

Zupełnie inaczej. Prawdopodobnie nie doszłoby do pandemii wirusowej obejmującej ponad sto krajów. Przywódca Chin Xi Jinping już na początku stycznia wiedział o zagrożeniu wirusem w Wuhanie, a jednak pozwolił na celebrację chińskiego nowego roku, co wiąże się z nieustannym przemieszczaniem się i podró-

zami rodzinnymi w chińskim świecie, ponieważ dla Chińczyków i ich rodzin najważniejsze są właśnie te noworoczne uroczystości. Gdyby wtedy przywódca ChRL nie zignorował ostrzeżeń dr. Li i z uwagi na powagę sytuacji zabronił wyjazdów oraz nakazał pozostanie w domach, wirus nie miałby możliwości zainfekowania tylu ludzi. Nie przedostałby się do tylu miejsc w Chinach oraz na cały świat.

Jak zmarł doktor Li Wenliang?

Mając bezpośredni kontakt z chorymi, zaraził się w szpitalu koronawirusem, dlatego że lekarzy nie objęto wtedy jeszcze specjalnymi środkami ostrożności. I to był błąd, którego również można było uniknąć. Został zarażony przez jedną z pacjentek. Jego infekcję zdiagnozowano 30 stycznia, a kilka dni później, 7 lutego, zmarł. Przez ten ostatni tydzień jego życia wielu ludzi modliło się o cud jego uzdrowienia, nie spało, czuwało w nocy – jak powiedział prawnik z Kantonu Yu Guojing. Przykład dr. Li inspirował nas wszystkich, aby być czujnym i odważnym w pomaganiu innym ludziom.

Skąd wiadomo, że był katolikiem?

Od jego rodziny i przyjaciół. Zwykle ludzie w Chinach rzadko mówią o swojej wierze i jej wyznawaniu. Nie jest to dobrane widziane, poza tym istnieje obawa, że ktoś o tym doniesie. Jednak w grupie przyjaciół katolików, ludzi wierzących i modlących się, nie ukrywa się swojej wiary. Dr Li przez swoje czyny pokazał nam wszystkim, jak pomagać innym w chwilach szczególnego zagrożenia,

ryzykując swoje życie i umierając na służbie w szpitalu.

Czy jest przez część społeczeństwa chińskiego uznawany za męczennika?

W grupie katolików, osób wierzących – z pewnością tak. W społeczeństwie chińskim jego śmierć poruszyła wielu. Postać dr. Li stała się wzorem dla chińskich portali społecznościowych. Wielu Chińczyków krytycznie odniosło się do decyzji władz, zarzucając im niekompetencję, szczególnie na początku rozwoju pandemii, której można było zapobiec przez mądre, odgórne decyzje. On sam chciał do końca ratować wszystkich zarażonych, mając świadomość, że jest to nie tylko jego lekarskie powołanie, lecz również obowiązek jako człowieka wierzącego, który w imię Jezusa Chrystusa przychodzi pomóc swoim braciom i siostram. Jestem przekonany, że wkrótce jego postawa – godna podziwu i naśladowania – a także pełna poświęcenia służba dla innych zostaną przez Chińczyków docenione, bo stanowią świadectwo osoby wierzącej, która godnie zaświadczyła o swoim powołaniu lekarza i wyznawcy Chrystusa.

O. Jan Konior – teolog, sinolog, religioznawca, kulturoznawca, badacz kultur i religii Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Przewodnik duchowy i rekołecjonista. Autor wielu publikacji naukowych i popularnonaukowych dotyczących Chin i Orientu oraz książek z zakresu duchowości i psychologii.

Kościół w czasach zarazy

Od początku swego istnienia Kościół uważał plagi nawiedzające ludzkość, w tym epidemie chorób zakaźnych, za kary zesłane przez Boga. Dlatego zalecał nabożeństwa i modlitwy przełagalno-pokutne



GRZEGORZ GÓRNY

Albert Camus napisał w „Dżumie”: „Zarazy są w istocie sprawą zwyczajną, ale z trudem się w nie wierzy, kiedy się na nas zwał”. To prawda, która sprawdzała się w każdym czasie. Zarówno w starożytności, jak i dziś.

SPRAWDZIAN W MOMENCIE PRÓBY

Amerykański socjolog religii Rodney Stark zwrócił niedawno uwagę na fakt niedoceniany zazwyczaj przez badaczy piszących o początkach chrześci-

jaństwa. Jego zdaniem do szybkiego rozwoju Kościoła w Imperium Rzymskim w dużym stopniu przyczyniła się postawa wyznawców Chrystusa w czasach szalejących wówczas epidemii. Naukowiec podaje następujący przykład: „Kiedy pewnego dnia 5 tys. ludzi zmarło w samym Rzymie i kiedy pogańscy kapłani, lekarze i władze uciekli z miasta, porzucając nawet swoich najbliższych, to chrześcijanie heroicznie troszczyli się o chorych i umierali, wiedząc, że mogą się zarazić i umrzeć z powodu choroby. Księża, diakoni i świeccy umierali, dążąc do ocalenia swoich chorych pogańskich bliźnich”.

Stark twierdzi, że w czasach wielkiej próby, jakimi były momenty zarazy, Kościół wykazywał wyższość nad innymi religiami, tym samym przyciągając do siebie rzesze ludzi. Po pierwsze, oferował lepsze wytłumaczenie plag dotyczących ludzkość, a zarazem dawał nadzieję na przyszłość. Po drugie,

podczas epidemii to chrześcijanie nieśli największą pomoc potrzebującym, dzięki nim odsetek ocalałych z moru był większy, co traktowano jako cud. Po trzecie, chrześcijanie stworzyli dobrze zorganizowaną sieć wsparcia społecznego, która nie istniała wśród pogan.

O ile w roku 40 po Chrystusie – jak przypomina Stark – na całym świecie było mniej niż tysiąc chrześcijan, o tyle w 350 r. w 60-milionowym Imperium Rzymskim stanowili już zbiorowość liczącą 33 mln wiernych.

WZOREM NINIWA, NIE SODOMA

Pierwotny Kościół przejął od judaizmu biblijnego koncepcję nieszczęść spadających na społeczność jako formę kary Boga za niewierność ludu. Takie przesłanie ciągnie się od pierwszych kart Starego Testamentu (historia potopu czy zagłady Sodomy i Gomory w Księdze Rodzaju) aż do Nowego Testa-



mentu. Także Jezus w swych mowach wielokrotnie nawiązywał do starotestamentalnej nauki o karze za grzech.

Nic więc dziwnego, że zawsze kiedy wybuchały zarazy, chrześcijanie traktowali to jako wezwanie do nawrócenia. Organizowali wówczas nabożeństwa i procesje przebłagalno-pokutne, by przeprosić Boga za grzechy, wyrazić żal, skruchę i wolę poprawy, a także prosić o oddalenie nieszczęścia. W ich rozumieniu kara nie była wyrazem Bożego odwetu, lecz środkiem prowadzącym do przemiany. Podobną optykę prezentuje obowiązujący dziś Katechizm Kościoła Katolickiego, w którym możemy przeczytać: „Bóg w swoim miłosierdziu nie opuścił grzesznego człowieka. Kary będące następstwem grzechu, »bole rodzenia dzieci« (Rdz 3,16), praca »w pocie oblicza« (Rdz 3,19) stanowią także lekarstwo, które ogranicza szkody spowodowane przez grzech” (KKK 1609).

Do historii przeszła zwłaszcza epidemia dżumy w Rzymie w roku 590, której pierwszą ofiarą padł papież Pelagiusz II. Jego następcą został św. Grzegorz Wielki. W swym pierwszym kazaniu porównał on Wieczne Miasto do biblijnej Niniwy, której groziło zniszczenie przez Boga z powodu jej grzechów. Jednak niniwianie wyrazili żal, okazali skruchę i rozpoczęli pokutę, dzięki czemu nie doszło do zagłady. Nowo obrany papież wezwał mieszkańców do takiej samej postawy. Nakazał odprawienie specjalnego nabożeństwa ekspiacyjnego. Z siedmiu rzymskich kościołów w stronę bazyliki św. Piotra ruszyło więc siedem orszaków śpiewających litanie w intencji ocalenia miasta.

Kiedy jedna z procesji mijała mauzoleum Hadriana nad Tybrem, papież – jak podają kroniki – ujrzał na szczycie budynku anioła, który chował do pochwy zakrwawiony miecz. W tradycji biblijnej aniołowie byli wykonawcami Bożych kar na ludziach. W czasach współczesnych przypomina o tym trzecia tajemnica fatimska, zapowiadająca najbliższą przyszłość. Ukazuje ona anioła z ognistym mieczem, wyrzucającym języki ognia zdolne podpalić świat, który krzyczy donośnym głosem: „Pokuta, pokuta, pokuta”.

Po przeprowadzonej przez papieża procesji, podczas której zmarło wiele

osób, zaraza ustąpiła. Mauzoleum Hadriana przemianowano na Zamek Świętego Anioła, zaś na jego szczycie umieszczono złotą figurę anioła z mieczem, którą możemy oglądać do dziś. Postępowanie św. Grzegorza Wielkiego stało się paradygmatem – wzorem do naśladowania dla chrześcijan w czasie epidemii w późniejszych stuleciach. W 1576 r. podczas zarazy w Lombardii ówczesny arcybiskup Mediolanu św. Karol Boromeusz osobiście poprowadził ulicami miasta trzy procesje przebłagalno-pokutne w intencji ustania moru, idąc na ich czele boso ze sznurem pokutnika na szyi.

EPIDEMIE W POLSCE

Podobne sceny rozgrywały się także na ziemiach polskich. W XVII w. narodziła się tradycja, by w czasach moru zwracać się o pomoc do Matki Bożej Częstochowskiej. Zaczęło się to po epidemii dżumy, która nawiedziła kraj w latach 1622–1625, jednak ominęła klasztor jasnogórski. Po ustaniu zarazy w 1631 r. z całej Polski do paulińskiego sanktuarium ciągnęły pielgrzymki, dziękując za wybawienie od czarnej śmierci. Zakonnicy wspominali, że cały tamten rok był jakby jednym nieustającym odpustem. Podobna sytuacja wydarzyła się po zarazie z lat 1677–1678.

Kaznodzieje w swych homiliach często przywoływali wówczas historię z Księgi Rodzaju opowiadającą o dziesięciu plagach egipskich. Najgorsza z owych plag, czyli zaraza dotykająca pierwotnych, ominęła jedynie domy tych Izraelitów, których drzwi oznaczone były krwią baranka. Opowieść ta musiała silnie oddziaływać na umysły wiernych, skoro podczas epidemii 1677 r. zrodził się w Polsce zwyczaj wzorowany na starotestamentalnej historii – zarówno chłopci na drzwiach swoich chat, jak i szlachta na bramach wjazdowych do pałaców i dworów zaczęli przybijać obrazki Matki Bożej Częstochowskiej, by uchronić się przed morem. Zdaniem kronikarzy zwyczaj ten zapoczątkował w swojej posiadłości w Podhajcach wojewoda sieradzki Felician Potocki, którego majątek zaraza ominęła.

Największa epidemia dżumy spustoszyła jednak ziemie polskie w latach 1707–1713. Na skutek zarazy zginęła wówczas jedna trzecia ludności Pol-

ski. Były miasta, które wymarły niemal całkowicie, np. w Piszku pozostało przy życiu zaledwie 14 osób, a w Pile siedem. Poznań, który na początku 1709 r. liczył 12 tys. mieszkańców, rok później po przejściu morowego powietrza miał ich już jedynie 3 tys. W Krakowie czarna śmierć zabrała 20 tys. ofiar. Podróżnicy, którzy przejeżdżali przez podwawelski gród już po ustąpieniu epidemii, opisywali miasto widmo z wyludnionymi ulicami i opustoszałymi kamienicami.

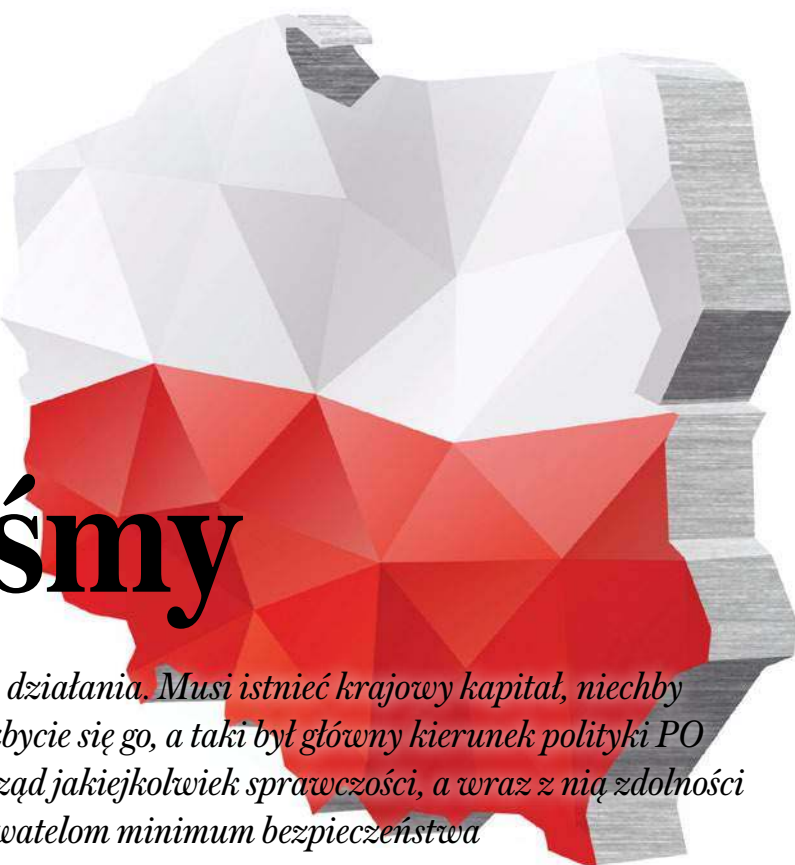
W Warszawie dżuma największe żniwo zebrała latem 1708 r. Każdego dnia umierały setki osób. Kopacze nie nadążali z wywożeniem zwłok z miasta, więc część zmarłych wrzucano do Wisły. W niektórych domach, gdzie wszyscy mieszkańcy pomarli, niepochowane ciała rozkładały się przez kilka dni, wywołując dokuczliwy fetor. Miasto straciło wówczas ok. 30 tys. mieszkańców.

Przeor warszawskiego klasztoru paulinów o. Innocenty Pokorski był przekonany, że szalejąca zaraza jest karą zesłaną z niebios za grzechy. Przekonywał warszawian, że w tej sytuacji tylko pokuta i modlitwa mogły odwrócić gniew Boży od miasta. Nie posłuchano go jednak. Dopiero kiedy latem 1709 r. epidemia powróciła do stolicy, rozpoczęto w mieście nabożeństwa ekspiacyjne i akty pokutne. Mieszkańcy ślubowali też, że jeśli dżuma ustanie, to każdego roku organizować będą pieszą pielgrzymkę pokutno-przebłagalną na Jasną Górę. W ten sposób w lipcu 1711 r. narodziła się Warszawska Pielgrzymka Piesza – najdłużej istniejąca, nieprzerwanie do dziś, pielgrzymka piesza na ziemiach polskich.

ZNACZĄCE MILCZENIE

Podczas obecnej epidemii koronawirusa dostojnicy Kościoła nie odwołują się jednak do takiej interpretacji zarazy, jaką prezentowali chrześcijanie przez dwa tysiące lat. Mentalność współczesnego człowieka wzdraga się bowiem przed myślą, że miłosierny Bóg może zesłać karę, w dodatku tak straszliwą, że pociągającą za sobą śmierć wielu ludzi. W efekcie nie mają teologicznego wyjaśnienia dla dziejących się wydarzeń. Czy są w stanie przedstawić jednak inne wytłumaczenie?

Państwo z dykty już mieliśmy



Państwo musi mieć instrumenty do działania. Musi istnieć krajowy kapitał, niechby i państwowy – to bez znaczenia. Pozbycie się go, a taki był główny kierunek polityki PO za czasów Donalda Tuska, pozbawia rząd jakiegokolwiek sprawczości, a wraz z nią zdolności do zapewnienia obywatelom minimum bezpieczeństwa



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Posel PO Bartłomiej Sienkiewicz zdrwił sobie z tego, że należąca do Orlenu Rafineria Jedlicze „rozlewa spirytus do baniaków plastikowych”. „Jeśli to będzie sens tej kampanii, to jest jakieś absurdałne. To zaczyna być coraz bardziej śmieszne i żałosne” – powiedział w ostatnią środę na antenie TVN24.

Można zrozumieć rozgoryczenie Sienkiewicza, bo przecież rzeczywiście nie tak miała wyglądać kampania przed tegorocznymi wyborami prezydenckimi. Jednak koronawirus wszystko wywrócił do góry nogami. W rezultacie dotychczasowe, zresztą coraz bardziej jałowe, spory polityczne zeszły na dalszy plan i cała uwaga Polaków skupiła się na epidemii.

Nic dziwnego, że główną rolę w spektaklu, który dzieje się na naszych oczach, odgrywają rządzący. Trudno kwestionować to, że walka z zagrożeniem należy

do ich podstawowych obowiązków. Jeśli zdołają się z nich wywiązać, zostanie to zapewne dostrzeżone i wynagrodzone podczas wyborów. Na razie idzie im nieźle i z oczywistych powodów budzi to frustrację opozycji.

PiS ma okazję udowodnić, że państwo działa. W 2015 r., gdy obecny obóz rządzący przejmował władzę, nie było to wcale takie oczywiste. Bartłomiej Sienkiewicz wie o tym bardzo dobrze. Jego „ch...”, d... i kamieni kupa” było chyba najbardziej trafną diagnozą stanu, w jakim znalazło się państwo rządzone przez ekipę Tuska, której Sienkiewicz był zresztą prominentnym członkiem w randze ministra spraw wewnętrznych.

RADZIE SOBIE SAMI

Niewykluczone, że gdyby PO porządziła Polskę dłużej, to dziś nie byłoby nawet komu „rozlewać spirytusu do baniaków”. Rafinerii Jedlicze groził bowiem upadek, w 2013 r. jej ówczesne kierownictwo wprowadziło – jak eufemistycznie donosiły media – „intensywne prace mające zapobiec utracie trwałej rentowności”. Jeżeli więc teraz uznajemy „rozlewanie spirytusu”

za sukces, z czego tak drwi pan Sienkiewicz, to należy spojrzeć na to w szerszym kontekście. Po prostu po zwycięstwie PiS szczęśliwie udało się ocalić jedną z najstarszych w Polsce rafinerii ropy naftowej.

Zamówienia na deficytowy żel do dezynfekcji realizują nie tylko Jedlicze. Własną produkcję uruchomiły KGHM oraz Polfa Tarchomin. Wszystkie te przedsiębiorstwa łączy jeden mianownik: należą do państwa polskiego. Można powiedzieć, że dopiero w sytuacji kryzysowej widać, jakie znaczenie ma to, do kogo należy przedsiębiorstwo. Firma państwowa czy szerzej polska (bo również firmy prywatne zaangażowane są w walkę z koronawirusem, np. 4F i Agata Meble) znacznie szybciej odpowie na apel o pomoc niż zagraniczna korporacja, która w obliczu trudności już prędzej wycofa się z rynku, niż będzie tracić pieniądze pro publico bono.

Przykładem mogą być węgierskie linie lotnicze Wizzair. Otóż Wizzair, który czerpie spore zyski z polskiego rynku, początkowo nawet nie uznał za stosowne zwrócić podróżnym rezerwacji utraconych z powodu wybuchu epidemii koronawirusa. Jak powiedział prezes tej

firmy, „nie mieści się to w jej modelu biznesowym”. Zamiast tego doradził klientom, aby kupowali na przyszłość droższe bilety z opcją anulowania rezerwacji. Oczywiście nie naruszało to prawa, pozostawiło jednak niesmak podobny do tego, gdy Włodzimierz Cimoszewicz doradzał w 1997 r. powodzianom, aby się ubezpieczyli. Ostatecznie Wizzair zmienił zdanie i zdecydował się na zwroty, ale dopiero wtedy, gdy z powodu zamknięcia granic był zmuszony odwołać loty z Polski.

Na przeciwnym końcu skali mamy PKP Intercity. Przesadnie krytykowany przewoźnik kolejowy nie pozostawił swoich klientów na lodzie. Bez żadnych ceregieli zwrócił pieniądze za odwołaną podróż. Warto dostrzec różnicę. I ją docenić.

Wyobraźmy sobie teraz, że nie mamy własnych firm, tylko zagraniczne. I ich jedyną odpowiedzią jest lakoniczne zdanie, że walka z koronawirusem „nie mieści się w ich modelu biznesowym”.

PO CO NAM LOT?

To jasne, że w biznesie, nawet w sytuacji kryzysowej, nic nie jest za darmo. Doradzi producenci płynów dezynfekcyjnych też chcą zarobić. Mnóstwo było krzyku o rzekomo zbyt wysoką cenę, jaką trzeba zapłacić za pięciolitrowy baniak z Orlenu. Jednak wystarczy przejść się na inną stację, zajrzeć do sklepu, np. do niemieckiego Rossmanna, i – o ile w ogóle znajdzie się tam płyn – spojrzeć na etykietkę z ceną i porównać ją z pojemnością butelki wynoszącą zwykle ok. 200 ml. Kto umie liczyć, ten zauważy, że litr płynu polskiego jest znacznie tańszy od litra podobnego płynu, ale zagranicznego producenta.

„Gazecie Wyborczej” bardzo to się nie podoba. Gdy pojawiły się informacje o rozpoczęciu produkcji płynu w Rafinerii Jedlicze, nie tylko nie skorzystała z okazji, aby siedzieć cicho (pochwały z jej strony to byłoby zbyt wielkie żądanie), lecz zaczęła utyskiwać, że rząd wspiera zaprzyjaźnioną państwową firmę, zapewniając jej zyski ze sprzedaży płynu.

Rzeczywiście to karygodne. Rząd, który wspiera krajową firmę – toż to się nie zdarza nigdzie na świecie. Oczywiście lepiej byłoby, aby rząd wspierał obcy kapitał, a jeszcze lepiej, aby nic nie był w stanie

zorganizować, bo najwyraźniej dla „Wyborczej” im gorzej, tym lepiej.

Podobnie rzecz ma się z akcją „LOT do domu” organizowaną przez rząd i Polskie Linie Lotnicze LOT. Samoloty każdego dnia przywożą z całego świata Polaków, których epidemia koronawirusa zastała na wakacjach lub w podróży. Jak podał minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz, deklarację chęci powrotu do kraju złożyło ponad 30 tys. osób. Samoloty latają codziennie: od Dominikany, przez całą Europę, po Gruzję, Indie i Tajlandię. I zwożą ludzi, którzy w przeciwnym razie utknęliby za granicą, często bez środków do życia.

To prawda, LOT na tych przelotach zarabia. Każdy musi zapłacić za bilet. Ale w tej chwili są to zryczałtowane ceny

Wyobraźmy sobie, że nie mamy własnych firm, tylko zagraniczne. I ich odpowiedzią na kryzys jest lakoniczne zdanie, że walka z koronawirusem „nie mieści się w ich modelu biznesowym”

wynoszące od 400 zł za lot europejski do maksimum 2,4 tys. zł za lot dalekiego zasięgu. Normalne ceny na rejsach liniowych są znacznie wyższe, jednak teraz różnicę pokrywa z budżetu polski rząd.

Natychmiast podniosły się głosy, że LOT wyrównuje sobie w ten sposób straty wynikające z zawieszenia normalnych połączeń. To prawda, LOT wyrównuje straty, jednak co w tym złego? Czyżby lepszym rozwiązaniem był upadek polskiego przewoźnika? A może krytycy uważają, że znacznie sprawniej i taniej przewiozłby Polaków obcy przewoźnik? Jasne, po co nam LOT, skoro jest Lufthansa.

ODPORNOŚĆ NA ZŁUDZENIA

Porozumienia z drugą stroną sporu nie będzie. Bo być nie może. W środowiskach antypisowskich wszystko, co robi rząd, jest przedmiotem krytyki. Każda firma,

która współpracuje z państwem lub należy do państwa, jest z definicji skażona, nieudolna, podła i służy wyłącznie pisowskiemu okupantowi. Dlatego dyskusja jest bezprzedmiotowa.

Osoby zdolne do refleksji zauważają za to, że na naszych oczach wali się w gruzy neoliberalna, balcerowiczowska bajka o samoregulującej roli wolnego rynku i kapitale pozbawionym narodowości. Wolny rynek działa, ale tylko w stabilnych warunkach. Wraz z początkiem kryzysu zostaje zastąpiony przez spekulację i dziki darwinizm, w którym przeżyje ten, kto jest sprytniejszy, ma więcej pieniędzy i zdrowia. Rolą państwa jest nie dopuścić do takiego rozwoju wydarzeń.

Jednak, aby było to możliwe, państwo musi mieć w ręku instrumenty do działania. Musi istnieć krajowy kapitał, niechby i państwowy – to bez znaczenia. Pozbycie się go, a taki był główny kierunek polityki PO za czasów Donalda Tuska, pozbawia państwo jakiegokolwiek sprawczości, a wraz z nią zdolności do zapewnienia obywatelom minimum bezpieczeństwa.

Równie szkodliwe są pojawiające się co jakiś czas postulaty decentralizacji państwa. Na przykładzie sąsiednich Niemiec widać, jak trudno było tam wypracować jednolitą politykę w obliczu epidemii koronawirusa. Podczas gdy jedne landy wprowadzały ograniczenia, np. zamykały szkoły, w innych nie działo się nic. W rezultacie Niemcy mają dziś gwałtownie rozszerzające się ognisko zakażeń.

Wyobraźmy sobie dziś Polskę „federalną” (były przecież takie pomysły, i to stosunkowo niedawno). Zobaczymy 16 województw, z których każde prowadzi własną politykę, i zasiadający w Warszawie centralny rząd niezdolny do jakiegokolwiek koordynacji tych działań.

Polska zdecentralizowana może brzmieć atrakcyjnie, ale tylko w nieodpowiedzialnych umysłach. Taki ustrój jest nie do przyjęcia w państwie, które tak jak Polska dopiero zaczęło się leczyć ze strukturalnej, historycznie uwarunkowanej słabości.

Jeśli obecna epidemia koronawirusa uodporni nas na niebezpieczne złudzenia, to wyjdziemy z niej zwycięsko. Gorzej, jeśli nie wyciągniemy wniosków. ▀

Bez państwa ani rusz

W sytuacji kryzysu widzimy, że potrzebujemy władzy politycznej i państwa, ale także politycznego przywództwa. Osób, które zrobią z odpowiednich narzędzi dobry użytek we właściwym momencie i właściwym zakresie – mówi **Marek A. Cichocki**, filozof, współzałożyciel środowiska „Teologii Politycznej”, profesor Collegium Civitas

Co nam na poziomie społeczeństwa mówi kryzys wokół koronawirusa?

Marek A. Cichocki: Każdy kryzys to moment, w którym możemy zobaczyć rzeczy w innym świetle, bo tego rodzaju trudne chwile zazwyczaj odsłaniają to, co ukryte na co dzień.

I co dziś widzimy? Dziesięć lat temu po tragedii smoleńskiej pisał pan w „Teologii Politycznej”, że katastrofa uzmysłowiła nam, że to wszystko w życiu publicznym jest na poważnie. A dziś?

Sytuacje kryzysowe są porównywalne tylko do pewnego stopnia. Ostatnie lata to tragedia z 10 kwietnia 2010 r., wydarzenie wstrząsające, ale to także kryzysy finansowy i migracyjny, które obeszły się z nami łagodnie, a dziś to kryzys epidemiczny, który dotyczy każdego. Wszystkie te zdarzenia uczą nas jednego – że polityka jest sprawą poważną, bo dotyczy ludzkiego życia i śmierci. Decyzje polityczne lub ich brak, błędy i zaniechania – to wszystko przynosi realne skutki i dotyczy tak istotnych spraw jak śmierć i życie wielu ludzi. To pozwala zrozumieć, że to wszystko, co obserwujemy na co dzień na ekranach telewizorów, na łamach gazet, w internecie, to nie tylko gra o stolki, sztuczki piarowskie i jakaś forma rywalizacji czy konkurencji, że polityka dotyczy kwestii egzystencjalnych.

Odruchowo jako społeczeństwo zwróciliśmy się do państwa, oczekując od władzy centralnej działania, decyzji, sprawnej komunikacji. Dlaczego?

Z całą pewnością kryzys wywołany przez epidemię koronawirusa pokazał nam wyraźnie trwałe znaczenie władzy politycznej oraz oczekiwań wobec niej. Widzimy też, że w sytuacji zagrożenia władza leży cały czas w gestii państwa narodowego, a nie instytucji unijnych (niezależnie od deklaracji czy wielkich planów). Państwo pozostaje realną sferą działania, reagowania, ochrony, ale i odpowiedzialności za ludzi oraz ich los.

Weryfikujemy sobie dziś, że Unia Europejska swoją drogą, ale bez państwa ani rusz?

Tak, w takich sytuacjach przywracane są właściwe proporcje i relacje. Kryzys powoduje, że coś, co jest złudzeniem czy roszczeniem, znika w zderzeniu z rzeczywistością. Unia Europejska w wielu wymiarach nie ma władzy, narzędzi, kompetencji – zwłaszcza w takich sytuacjach, jak epidemia czy pandemia. Instytucje unijne robią więc to, co mogą robić – a w zakresie przeciwdziałania bezpośredniego





Fot. Andrzej Wiktoria

mogą niewiele. Mamy finansowe wsparcie, korektę kursu na rynku wewnętrznym przy tąpnięciu gospodarczym, ale z całą pewnością Unia nie zastąpi nam państwa. Bruksela nie będzie centrum reagowania na ten kryzys, bo nie jest władzą polityczną.

Chodzi tylko o brak odpowiednich narzędzi prawnych?

Nie. W sytuacji kryzysu widzimy, że potrzebujemy władzy politycznej i państwa, ale także politycznego przywództwa. Osób, które zrobią z odpowiednich narzędzi dobry użytek we właściwym momencie i właściwym zakresie. Które wezmą odpowiedzialność. Już dziś można przewidzieć, że jedno państwo poradzą sobie z obecnym kryzysem lepiej, inne gorzej, ale żadne nie uciekną od odpowiedzialności i kwestii politycznego przywództwa. W przypadku UE można zaś powiedzieć, że brak przywództwa i odpowiedzialności jest problemem strukturalnym. Myślę, że po wygaśnięciu zagrożenia czeka nas na ten temat poważna dyskusja.

To może odpowiedź, jakiej powinniśmy poszukać, ma być inna: więcej kompetencji dla Brukseli, by UE mogła działać szybciej i skuteczniej.

Nie wątpię, że po tym kryzysie pojawią się tacy, którzy będą przekonywać, że konieczną odpowiedzią jest zwiększenie

kompetencji Brukseli. W tej kwestii pojawi się presja. Ale problemem tutaj nie są kompetencje, tylko brak przywództwa i odpowiedzialności.

Przy każdym większym kryzysie – jak przy finansowym czy migracyjnym – pojawiały się zawsze opinie, że najlepszą odpowiedzią na nie jest „więcej Europy”. To jest skrajnie zideologizowane podejście. Przy takich kryzysach trzeba spokojnie ocenić, jak reagują instytucje międzynarodowe, a jak państwa narodowe i kto jaką ma rolę. Tworzenie nowych kompetencji UE bez realnej władzy i odpowiedzialności to proszenie się o nowe kłopoty.

Niepokojący jest na pewno widoczny brak solidarności między państwami unijnymi. Wygląda to trochę tak, że Włosi w dramatycznej sytuacji zostali pozostawieni samym sobie przez pozostałych. To, jak każde ze społeczeństw będzie ten kryzys przechodzić i jakie pozostawi on po sobie ślady społeczne i polityczne, będzie miało ogromny wpływ na to, jak wyglądać będzie Europa za rok, za dwa lata.

Powie ktoś, że nasza krytyka dobrze wpisuje się w narrację Kremla: Unia Europejska nic nie może, dajcie sobie z nią spokój, struktura jest niewydolna. Jak znaleźć równowagę, by nie wpaść w tę pułapkę Putina?

Dlatego trzeba zachować wstrzemięźliwość w ferowaniu tego typu ocen, bo z wnioskami ostatecznymi trzeba

poczekać. Niezależnie od oceny i tempa podejmowania decyzji wnioski powinny być praktyczne, a nie ideologiczne. Na wielu płaszczyznach z problemami wywołanymi przez ten kryzys lepiej będą sobie radzić rządy narodowe, ale z pewnością niektóre kłopoty będą rozwiązywane łatwiej w strukturze ponadnarodowej. Nie szedłbym dzisiaj w zero-jedynkowe oceny, bo nie wiemy dziś do końca, z jakimi skutkami będziemy musieli się zmierzyć na poziomie gospodarczym, psychologicznym, społecznym czy duchowym w najbliższym czasie.

Wracając do katastrofy smoleńskiej: wtedy jednak mieliśmy poczucie wspólnoty, spotkania, wsparcia. Dzisiaj jesteśmy zobligowani do siedzenia w domu.

Kryzys to także moment zbiorowych emocji i zachowań. W tej kwestii także będziemy mogli więcej dowiedzieć się o samych sobie, ale i o innych społeczeństwach. To bardzo istotny moment wglądu.

To znaczy?

Kryzys wywołany przez epidemię pokazuje nam stan duchowy i psychologiczny współczesnych europejskich społeczeństw. Możemy się przekonać, jak strasliwym lękiem podszyte jest współczesne, racjonalistyczne, zsekularyzowane społeczeństwo. Okazuje się, że skrajny racjonalizm i materializm współczesnego człowieka, który wierzył, że jest panem historii, życia i świata, ma swój głęboki cień, który ciągnie za sobą w ukryciu – tym cieniem jest panika oraz irracjonalna histeria. Znaczące w obecnej sytuacji zagrożenia jest zjawisko instynktownego ataku na duchowość, religię i Kościół. Tak jakby racjonalistyczne społeczeństwo, które nagle utraciło poczucie komfortu i bezpieczeństwa, zwróciło swoją wściekłość przeciwko wszystkiemu, co jest pozamaterialne, duchowe, Boskie, a więc poza racjonalną kontrolą.

Kluczowe pytanie jest jednak inne. Mamy wgląd, ale czy ta wiedza sprawi, że zmienimy się w przyszłości?

I jak pan sobie odpowiada na to pytanie?

Jestem raczej sceptyczny, choć mogę oczywiście się mylić. Widziałem różne sytuacje wyjątkowe, które Polacy mocno przeżywali wspólnie: pierwsza Solidarność, stan wojenny, przełom 1989 r., wielka powódź, śmierć Jana Pawła II wreszcie 10 kwietnia 2010 r. Za każdym razem mówiliśmy sobie, że te doświadczenia muszą nas zmienić na lepsze.

Na pewien czas pewnie tak.

Ludzka pamięć potrafi być krótka. Sama sytuacja epidemii jest już dla ludzi wstrząsem. Dodatkowo przypada

ona w szczególnym duchowym momencie. Przed nami Wielkanoc. Kontekst, który te święta niosą, jest przecież wyjątkowy: Męka Pańska, ukrzyżowanie, śmierć, pustka, przerażenie i wreszcie zmartwychwstanie i nadzieja na przyszłość.

Na ile jednak tego typu doświadczenia powodują, że my później – gdy momenty grozy mamy już za sobą – jesteśmy gotowi wyciągnąć z nich jakieś głębsze i długotrwałe wnioski? Przepraszam za niemodne dziś słowo, ale czy jesteśmy jeszcze zdolni do nawrócenia się? A może powrócimy jeszcze bardziej i mocniej do tego, co było wcześniej? Jeszcze gwałtowniej będziemy się klócić o to, co wczoraj.

Napisał pan ostatnio, że żyjemy w czasach iluzji, starając się łączyć absolutne bezpieczeństwo, którego domagamy się na poziomie wspólnoty, i absolutnej wol-

ności jednostki, z otwartymi rynkami, granicami i ułatwieniami. Czy to naprawdę iluzja?

Moim zdaniem to dwa wykluczające się pragnienia. One mogą być utrzymywane przez polityczne struktury oraz instytucje, a także współczesny kapitalizm, bo leży to w ich interesie. Pytaniem otwartym jest, czy można dalej żyć w ten sposób, trzymając się tej iluzji. Czy można mieć z jednej strony pełną globalizację, a z drugiej pełne bezpieczeństwo? Czy

możemy w dalszym ciągu trzymać się przekonania, że jesteśmy wszyscy wolnymi, niezależnymi, autonomicznymi jednostkami, które swoją tożsamość definiują przez prawa i interesy? Myślę, że te wszystkie kryzysy – a ten dzisiaj w sposób szczególnie – stawiają pod znakiem zapytania roszczenia materialnego indywidualizmu, który stał się podstawą współczesnych społeczeństw.

Dużo ludzi w Polsce – choćby w wyniku transformacji ostatnich 30 lat – przyjęło ten model w całości. Procesy sekularyzacyjne nie zaszły u nas tak gwałtownie i daleko jak u innych, ale nie ma się co oszukiwać, że jesteśmy od nich wolni. My też w znacznym stopniu przeżyliśmy ten model materialistycznego indywidualizmu i ulegliśmy iluzji powszechnego bezpieczeństwa. Czy będziemy potrafili to zmienić?

Na razie walczymy z wirusem.

To jasne, że gdy płonie dom, najpierw reagujemy, ratując go. Ale gdy kurz opadnie, to jeśli chcemy się uratować w znaczeniu głębszym i dalszym niż tylko przeżycie, to musimy spojrzeć na swoje życie inaczej i zrewidować wiele założeń, które przyjęliśmy za pewnik i obowiązujący model, jaki miał dać nam szczęście, a często przyniósł piętrówą, wygodną, ale jednak tylko iluzję.

K

ULTURY

*To z nimi przejdziemy
przez drugi sezon
„Stulecia Winnych”.
Grane przez Karolinę
Bacię i Weronikę
Humaj siostry
bliźniaczki poprowadzą
widzów przez losy
wielopokoleniowej
rodziny Winnych
i historię Polski lat
1939–1952*

Płomienne dziewczyny

Fot. TVN / Radak Orzeł



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Na potrzeby produkcji ich włosy stały się ogniościami rude. To znak rozpoznawczy bohaterki, które w drugim sezonie „Stulecia Winnych” – serialu na motywach bestsellerowej trylogii Albeny Grabowskiej – stały się postaciami wiodącymi.

Karolina i Weronika grają w nim bliźniaczki, chociaż w realnym życiu dzielą je trzy lata (Bacia to rocznik 1990, Humaj – 1993). Karolina, w przeciwieństwie do ekranowej siostry, jest też naturalną blondynką. Bez tycjanowskiego koloru włosów szybciej wtapia się w tłum.

Twarz Weroniki łatwiej zapamiętać i, co za tym idzie, przypomnieć sobie np. Kają z wieloodcinkowej produkcji „Julia”, w której nastoletnia krakowianka zadebiutowała, będąc jeszcze w liceum. Potem grała m.in. Irkę z serialu „Czas honoru. Powstanie” czy współczesną dziewczynę z „BarONa 24”. Wchodząc na plan obu tych realizacji w 2014 r., była studentką warszawskiej Akademii Teatralnej. Pięć lat później, już z dyplomem, znalazła się w obsadzie dwóch głośniejszych seriali – „Watahy” i „Stulecia Winnych”. Dla aktorstwa zrezygnowała z innej artystycznej drogi (jest absolwentką szkoły muzycznej II stopnia w Krakowie).

W PERSPEKTYWIE

Na planie „Stulecia...” spotkała się z Karoliną Bacią. Obie aktorki ukończyły warszawską AT w 2017 r. Poza pracą przed kamerą obie cenią sobie również doświadczenia ze studiów nagrań. Dubbingowych i radiowych. Chociaż w tej dziedzinie więcej wydaje się udzielać Karolina. Można ją usłyszeć w spektaklach Teatru Polskiego Radia i słuchowiskach. Ostatnio m.in. w nadawanym od jesieni ubiegłego roku w Trójce komediodramacie „Rodzina Średnickich. Mały Świat 21” według scenariusza i w reżyserii Krzysztofa Jarszyńskiego. Z Hanną Śleszyńską i Pawłem Wawrzeckim w roli radiowych rodziców.

Hannę Śleszyńską Karolina spotkała też na planie popularnego serialu „O mnie się nie martw”, gdzie gra drobną, zwłaszcza w otoczeniu postawnych kolegów z kancelarii, ale charakterną panią mecenas. Aktorka jest również związana z telenowelą „Na Wspólnej”. Jednak – i jej, i Weronice Humaj – to drugi sezon „Stulecia Winnych” dał szansę na wielowymiarowe aktorskie zadania. W głównym planie. W szerokiej fabularnej perspektywie. I w dynamicznie zmieniających się dekoracjach oraz kostiumach.

W SOCZEWCE

Albena Grabowska zapowiada: – Będzie się pomiędzy nimi bardzo dużo działo. Na tym etapie historii to postaci wiodące i w książce, i w serialu. Na nich opiera się cała akcja, która rozpoczyna się w pierwszych dniach września 1939 r. i kończy w roku 1952.

Sezon, którego emisja rozpoczęła się niedawno w TVP1, otworzyła finalna

scena z poprzedniej transzy, czyli egzekucja na rynku w Brwinowie, kiedy to nestor rodu Antoni własnym ciałem zasłonił czekającego na rozstrzelanie Pawła. Zrobił to dla swoich wnuczek, Mani i Ani.

Ta jedna scena – pełna dramatyzmu i emocji – jak w soczewce skupiła i skondensowała napięcie istniejące między siostrami a także mężczyzną, który dla jednej był mężem i ojcem jej dzieci, dla drugiej pozostał niespełnioną miłością. To za sprawą Pawła, ale nie tylko – jak komentuje autorka powieści – relacja między dorosłymi bliźniaczkami będzie wystawiona na poważne próby.

CO DALEJ

Siostry zostaną rozdzielone. Ania, co wiadomo już po pierwszym odcinku, przenie się do okupowanej Warszawy. Mania, z urodzonymi w dniu egzekucji bliźniaczkami, Basią i Kasią, zostanie w Brwinowie. Tu wróci też w pewnym momencie Ania, zresztą w niezwykle dramatycznych okolicznościach. Jej przyjazd – zdradza Albeny Grabowska – pozwoli siostrą znów się zbliżyć. Potem, w latach 50., w czasie nasilających się opresji stalinowskich nastąpi kolejna erupcja w ich relacji.

Przy tak dramatycznych zawirowaniach – zarówno w prywatnych losach, jak i historii kraju, która dzieje się tuż obok bohaterki – budowanie głównych postaci to dla Karoliny Baci i Weroniki Humaj spełnienie aktorskich marzeń.

– Wyglądają jak siostry, grają jak siostry – uważa Albeny Grabowska. – Są ogromnie wiarygodne. Dziewczynki, tak wszyscy o nich mówią, bardzo się ze swoimi rolami zrosły. I pięknie je zagrały. 

Talar szuka w papierach

Archiwista” to serial TVP z dwoma reżyserami (Maciej Żak i Robert Wichrowski), czterema scenarzystami i z dużą akcją promocyjną. Trudno za to powiedzieć, czy miał koordynatora całości, tzw. showrunnera, który pilnuje spójności projektu, jaki z reguły sam wymyślił. Jako jeden z autorów pomysłu figuruje producent Piotr Mikołajczak. Może to on jest duszą przedsięwzięcia?

I pomysł wyjściowy jest dobry. Spojrzeć na pracę policji poprzez aktywność dziwnego duetu. Starego policyjnego archiwisty, który zagrzebany w papierach, lekceważony, zna sprawy i umie zauważyć rzeczy, które pomijają śledcze ekipy. Oraz młodej policjantki, też skazanej na pozycję outsiderki, która ma dar dedukcji i dziwakowi pomaga.

Nie wiem co prawda, jak naprawdę wygląda w policji kwestia archiwów. Czy możliwe jest, aby nawet na komendzie w Żyrardowie nagle uległ awarii system wirtualnych danych i trzeba zatrzymać kogoś, kto miał przejść na emeryturę, aby czuwał nad informacjami. Notabene nie dowiemy się, dlaczego ta sytuacja się przedłuża. Pan Mikos i pani aspirant Wasiluk, która miała mu chwilowo asystować przy papierach, siedzą w archiwum. I polegając na pamięci starszego pana, rozwiązują dawne sprawy.

Serial jest naszpikowany takimi naiwnościami. Mam wrażenie, że z policyjnymi zwyczajami ma on niewiele wspólnego. Za łatwo też im to wszystko wychodzi. Policjantka włamuje się do domku posła i nic. Idzie na skróty, a że jest skuteczna, zyskuje kolejne wybaczenia. Zarazem „Archiwista” dotyka fundamentalnej kwestii. Mamy poczucie, że policja jest zrutynizowana, nie-uważna. Że za łatwo zamyka sprawy, a czasem – to najstraszniejsze – zamyka niewinnych. Dlatego po błędym, naćkanym wydarzeniach, pierwszym odcinku tak mocno zabrzmiał drugi. Młody człowiek siedzi od kilku lat w więzieniu, choć zabił ktoś inny i jeszcze wrobił kolegę.

Dla tego morału wybaczyłbym nagięcia rze-

czywistości w wyjściowym założeniu. Niestety jako widz ośmiu z dziesięciu odcinków (każdy jest odrębną historią) za dobrych wieści nie mam. Większość tych historyjek jest szablonowa. I nie przyjmę wyjaśnień, że to niespełna 50 minut. Autorzy amerykańskiego „Mentalisty” czy francuskiego „Profilu” jakoś sobie z krótkimi kryminalnymi przypowieściami radzą. Zawsze jest tam jakaś nietypowość, anegdota, coś, co łamie schemat. Jest i zabawa charakterami. No i jakaś nić łącząca odcinki, historia nadrzędna. Tu wszystko ma podobny szkielet. Czasem coś na chwilę przykuje naszą uwagę.

Oczywiście Henryk Talar czaruje osobowością chimerycznego ekscentryka. Ale nawet on mówi zbyt przewidywalnym tekstem. Znakomita Paulina Gałązka rozsada swoim temperamentem rytualne przebiegi akcji. Nie bardzo ma co grać świetny Mateusz Kmiciek, skoro jego powtarzalną rolą jest biadolić i powstrzymywać „nieodpowiedzialną koleżankę”. Nawet tak wytrawni Mirosław Zbrojewicz i Rafał Mohr jako policyjne wygi są stale tacy sami, bo tak im napisano dialogi.



Z takimi serialami jest i ten kłopot, że ich zdawkowa dziarskość spłaszcza ludzkie dramaty. W odcinku dziewiątym można się zastanawiać, czy zabójca grany przez Marcina Januszkiewicza powinien być ukarany. Nawet Hercules Poirot, symbol nieubłaganej sprawiedliwości, zamknął całkiem nietypowo śledztwo w Orient Expressie. Tu jednak nie ma czasu na rozterki.

Stały duet znów rozwikłał zaległą zagadkę. A jeśli was razi toporna satysfakcja z tego, szukajcie komplikacji i empatii gdzie indziej.

Piotr Zaremba



Alternatywna historia nadał modna



Dla fanów seriali David Simon jest marką samą w sobie. „Prawo ulicy”, „Treme”, „Kto się odważy” i w końcu „Kroniki Times Square” – to wszystko jego seriale. Teraz dorzuca kolejny, który bez wątpienia też przejdzie do historii. Zwłaszcza że Simon wybrał kontrowersyjną książkę Philipa Rotha „Spisek przeciwko Ameryce” z 2004 r.

Alternatywna historia jest czymś, co Hollywood lubi szczególnie mocno. Quentin Tarantino uczynił z niej swój znak rozpoznawczy („Bękarty wojny”, „Pewnego razu w Hollywood”). W ostatnich latach wielkimi sukcesami były seriale „Człowiek z wysokiego zamku” na podstawie Philipa K. Dicka i „Watchman” na podstawie komiksu Alana Moore’a. Oba seriale opowiadają o alternatywnej rzeczywistości, w której USA zamieniają się w mniej lub bardziej totalitarne reżimy. W wizji Rotha Amerykanie nie przystępują do II wojny światowej i wybierają na prezydenta Charlesa Lindbergha. Był on lotnikiem, który jako pierwszy w 1927 r. przeleciał nad Atlantykiem. Szybko stał się bohaterem Ameryki. W Nowym Jorku witało go na ulicach 4 tys. osób. Cały naród współczuł mu też śmierci synka, który został porwany i bestialsko zamordowany. Lindbergh od 1936 r. zaczął mocno zbliżać się do nazistowskich Niemiec. Podziwiał samoloty nazistów i ciepło się wypowiadał o narodowym socjalizmie. Był też eugenikiem i rasistą. Przyjął nawet z rąk Göring’a nadany mu przez Hitlera Order Orła Niemieckiego za zasługi dla III Rzeszy. W 1939 r. nawoływał, by nie walczyć z Hitlerem. Działal w izolacjonalistycznym America First Committee i popadł w niełaskę po ataku na Pearl Harbor. Ten serial opowiada o tym, co by się stało, gdyby Lindbergh przekonał do swojej wizji większość Amerykanów i wygrał wybory z prezydentem Franklinem Delano Rooseveltem.

Historię widzimy oczami żydowskiej rodziny w Newark, która powoli doświadcza na własnej skórze skutków polityki Lindbergha. W tej warstwie serial trafi głównie do Amerykanów, którzy na własnej skórze nie doświadczyli nigdy okupacji przez morderczy reżim. Dla Polaków i wielu Europejczyków będzie to zawsze wersja light tego, co przeżyli ich dziadkowie. Ja tak odbierałem te przerażające dla Amerykanów alternatywne wizje rzeczywistości. To jest waszym zdaniem przerażające? Pogadajcie z Polakami, którzy przeżyli okupację Niemców i komunistyczną dyktaturę.

Serial jest natomiast ciekawy w warstwie politycznej. „Tak to się zaczyna” – mówi Herman (Morgan Spector) do żony Bess (Zoe Kazan) i synów, widzący na początku niewinny wyborczy pochód Lindbergha, bazujący na izolacjonalistycznym populizmie skupionym na hasle „Lindbergh albo wojna!”. Mamy tutaj ciekawą lustrację populizmu i tego, jak łatwo nim zarazić społeczeństwo. Izolacjonizm był przecież zawsze silny w amerykańskiej polityce. Można tylko sobie wyobrazić jego skutki u władzy w czasie zimnej wojny.



TV/VOD

Świątną rolę tworzy w serialu John Turturro, który wciela się w popierającego Lindbergha rabina Lionela Bengelsdorfa, mającego romans z siostrą Bess, Evelyn (Winona Ryder przeżywa ostatnio drugą artystyczną młodość na ekranie!). Lionel szczerze stoi za Lindberghiem, dodając mu wiarygodności jako Żyd. Prędko staje się jednak jego pożytecznym idiotą. Ameryka z jednej strony bogaci się na wojnie za oceanem, a z drugiej zatapia się w rasizmie, antysemityzmie i ksenofobii. Zaraża się nią syn Hermana i staje przeciwko ojcu. Roth, podobnie jak w „Amerykańskiej sielance”, dokonuje wiwiseksji buntu zmanipulowanego ideologią dziecka przeciwko dziecku. Simon dobrze ten motyw oddaje.

Jak przystało na współczesne Hollywood, nie brak oczywiście w tym serialu licznych pstryczków w administrację Donalda Trumpa. Wyjątkowo często pojawia się tutaj hasło „America First”. Izolacjonizm Lindbergha jest podskórnie zestawiany z polityką Trumpa. Twórcy robią to subtelnie, ale trudno paraleli naznaczonej uprzedzeniami do amerykańskiej prawicy spod znaku trumpowskiej rewolty nie zauważyć.

Podtytułem tej opowieści powinno być zdanie Edwarda Burke’a o tym, że by zło zatriumfowało, wystarczy, że przyzwyczajeni ludzie nic nie robią. To jest istota tej bardzo dobrze opowiedzianej historii. Simon dowiódł już w „Kronikach Times Square”, jak fantastycznie potrafi się przenieść w realia historycznego Nowego Jorku. W „Spisku przeciwko Ameryce” jest podobnie. Oddanie epoki z jej detalami i klimatem ulicznym jest zachwycające. Każdy miłośnik Nowego Jorku pokocha z tego względu ten sześcioczęściowy miniserial.

„SPISEK PRZECIWKO AMERYCE” DOSTĘPNY NA HBO GO

Fot. mat. prasowe



Niewypał

„Śledztwo Spensera” było z przypięciem reklamowane jako wejście Marka Wahlberga na netflixową platformę. Gwiazdor wszedł na nią nie z byle kim, bo z Peterem Bergiem – reżyserem, z którym wcześniej nakręcił takie uznane filmy, jak „Ocalony”, „Żywiol. Deepwater Horizon” i „Eskorta”. Duet Wahlberg/Berg na stałe zagościł w kinie, przypominając o najsłynniejszych duetach reżysersko-aktorskich, jak De Niro albo Di Caprio/Scorsese, Washington/Scott czy Burton/Depp. Niestety ten film pokazuje, że panowie może będą musieli od siebie na jakiś czas odpocząć.

Wahlberg po raz kolejny wciela się w rolę bostońskiego gliniarza, którego grał u Berga w „Dniu patriotów”, ale przecież wcześniej również u Scorsese w „Infiltracji”. Tym razem jest to gliniarz w typie Serpico. W początkowych scenach Spenser spuszcza łomot komendantowi policji (Michael Gaston), za co trafia do więzienia. Wychodzi po pięciu latach i zamieszkuje ze swoim trenerem boksu (Alan Arkin) oraz jego nowym podopiecznym Hawkiem (Winston Duke). Spencer nie porzuca chęci pokazania, że niesłusznie go skazano, i trafia w sam środek wojny z gangusami oraz skorumpowaną policją. Pomaga mu w tym Hawk. Dwaj zupełnie od siebie różni faceci najpierw

się czubią, a potem z kolejnymi śmieszno-strasznymi przygodami zaczynają się lubić. Mieszany rasowo duet sympatycznych twarzieli miał przypominać takie klasyki kumpłowskiego kina jak „48 godzin” i „Zabójcza broń”.

Niestety między duetem nie ma żadnej chemii. Ich słowne potyczki nie mają błysku. Obie postacie są zbyt miłkie, by mógł wybrzmieć konflikt oparty na ich różnych osobowościach. Nawet urządzane wrogom mordobicie jest nudne i ograń. Wrogowie? Kompletnie bezbarwni. No, może poza kuriozalnym, ale intrygującym gangiem latającym po ulicach z... maczetami. Nie rozumiem, dlaczego obsadzono w filmie Alana Arkina, który przez ostatnie lata grał mutacje tej samej roli – trochę sarkastycznego i trochę zgryźliwego dziadka, za którą kilkanaście lat temu dostał Oscara. Ta postać jest już nudna. Zupełnie nietrafionym żartem było osadzenie w roli faszyzującego więźnia rapera Posta Malone’a, wyglądającego jak dokładne przeciwieństwo „aryczków”. Nie gra swojego epizodu na nucie autoironicznej i raczej drażni, niż bawi.



Najbardziej zaskakuje, że to oparty na książce Roberta Parkera „Wonderland” scenariusz jego głównym mankamentem filmu. Jego współautorem jest jeden z najbardziej wziętych amerykańskich scenarzystów i zdobywca Oscara za „Tajemnice Los Angeles” Brian Koppelman. Doskonale czuje klimat Bostonu, co pokazał w „Rzeczach tajemnic” Eastwooda. Na dodatek wziął na warsztat kultową serię książek Parkera o detektywie Spenserze, która w latach 80. doczekała się telewizyjnego serialu. Nie tylko nie potrafił na nowo zaciekać nas książkowym detektywem, na dodatek nie wyeksploatował specyfiki Bostonu, w którym filmowcy chętnie osadzają historię skorumpowanej policji. Rozczarowanie na każdej płaszczyźnie.

„ŚLEDZTWO SPENSERA”
DOSTĘPNE NA NETFLIX

Fot. Daniel McFadden

Stylowy i pokraczny

To imponujące, że 88-letni Janusz Majewski wciąż kręci filmy. Ten jest oparty na dodatku na jego własnej książce! I już za to dostaje twórca „Zachodnich rewirów” kciuk w górę. Niestety „Czarny mercedes” jest filmem na każdej płaszczyźnie nieudany. Kryminalna historia tajemniczego zabójstwa z okupowaną przez Niemców Warszawą w tle nie trzyma w napięciu. Poboczne wątki wyglądają, jakby były na siłę doklejone. Nie sprawdza się to ani jako kino noir, ani jako gatunkowa sensacja. Aktorzy grają na różnych nutach do siebie



niepasujących. Andrzej Zieliński jest prze-rysowany jako pseudo-Humphrey Bogart, Artur Żmijewski w roli pocziwego adwokata mógłby pojawić się w propagandowych komiksach, a Bogusław Linda jest fatalnie zdubbingowany jako niemiecki gliniarz. Broni się tylko idealnie pasująca do epoki Marysia Dębska i kradnący show Andrzej Seweryn jako hrabia erotoman podglądający sąsiadki. Taki jest to kryminal, że kradnie go trzecioplanowa postać.

„CZARNY MERCEDES”, REŻ. JANUSZ MAJEWSKI,
DYSTR. KINO ŚWIAT

W 2036 r. Władimir Putin będzie mieć 84 lata. I to wtedy będzie się właśnie kończyć jego szósta (czy ostatnia?) kadencja jako prezydenta Rosji. Całkiem nieprawdopodobne, aby wcześniejsza zmiana mogła się dokonać za sprawą wyborów. Władza w Rosji do perfekcji opanowała sposoby na przekształcanie procedur wyborczych w fasadę, formalnie legitymizującą nieusuwalne rządy jednego człowieka



Dożywotni prezydent



JAN ROKITA

Nie wiemy dziś z pewnością, czy 84-letni starzec w 2036 r. uzna, że czas już przejść na emeryturę. Wiemy za to z pewnością, że wcześniej mógłby on utracić władzę nad Rosją tylko przez śmierć, jakiś pucz na szczytach władzy albo wielki ludowy bunt samych Rosjan.

PRZEDBIEGI

Gdy idzie o czynnik pierwszy – to wydaje się, że Putinowi zdrowie na razie służy całkiem niezle, a z dbałości o kondycję fizyczną zwykł on czynić nawet swoiste publiczne popisy (np. upubliczniane przez Kreml zdjęcia głowy państwa z nagim torsem podczas różnych „wyczynów”). Antyputinowski pucz na szczytach władzy – w każdym razie w nieodległym czasie – wydaje się mrzonką, gdyż przywódca skutecznie usunął, posłał do łagru, na emigrację lub nawet na tamten świat wszystkich potencjalnych konkurentów (Chodorkowski, Bierzowski, Niemcow). Jakieś względne prawdopodobieństwo, choć prawdę mówiąc i tak bardzo nikłe, można przypisać czynnikowi trzeciemu, czyli antyputinowskiemu ludowemu buntowi. Rosyjski przywódca nieraz już nie był

w stanie ukryć swej niemal obsesyjnej obawy przed rosyjskim wariantem jakiejś „kolorowej rewolucji” na wzór Ukrainy, Kirgizji czy Armenii. Ale jego strach, skądinąd właściwy bodaj wszystkim autokratom od zarania dziejów, jest chyba przesadny. Bo choć osobista popularność Putina wśród Rosjan maleje, a proputinowski entuzjazm z początku XXI w. należy do przeszłości, to realny potencjał sprzeciwu wobec władzy ogranicza się jedynie do jakiejś części mieszkańców Moskwy i Sankt Petersburga. Dobitnie pokazały to największe jak dotąd antyprezydenckie manifestacje, jakie miały miejsce w 2011 r. na moskiewskim pl. Błotnym. Co więcej, Kreml dowiedział wtedy, że z użyciem milicji, prowokatorów, propagandy i sądów dość zręcznie potrafi radzić sobie w tego rodzaju kłopotach.

Kiedy w połowie stycznia Putin wystąpił z planem znówelizowania rosyjskiej konstytucji, dość powszechnie wyrażano przekonanie, że idzie mu w istocie o jakiś trik na przedłużenie władzy. Ale chyba nikt nie przewidział, że ów trik będzie aż tak banalny i prosty. Jeszcze w ub.r. spekulowano, że ustrojowy koncept Putina na zapewnienie sobie dalszej władzy może być bardzo wyrafinowany. Rzecz wiązano bowiem z nagle wzmożonym naciskiem na bałkę Łukaszenkę, iżby zaakceptował plan faktycznej integracji Białorusi z Rosją, jako warunek utrzymania tańszych, rosyjskich dostaw ropy oraz zgody Moskwy na rolowanie zaciągniętych przez Mińsk kredytów. Wielu analityków sugerowało wtedy, że ów nagły szantaż miał być wynikiem nerwowych starań Kremla o formalne utworzenie jakiegoś quasi-państwowego organizmu łączącego Rosję i Białoruś, po to by w 2024 r., gdy upłynie czwarta, a druga z kolei kadencja Putina, mógł on objąć stanowisko prezydenta nowej federacji, z uprawnieniami zwierzchnimi względem rządów obu krajów. Ta kalkulacja, o ile w ogóle była naprawdę przedmiotem starań Kremla, wzięła w łeb, gdyż Łukaszenka nieoczekiwanie postawił opór silniejszy, niżli mogło się początkowo wydawać.

Ale także zgłoszony w Dumie 20 stycznia prezydencki projekt rozległej noweli konstytucyjnej nie odnosił się początkowo wprost do kwestii przedłużenia prezydentury Putina. Liczni obserwatorzy rosyjskiej polityki (w tym także niżej podpisany) jeszcze parę tygodni temu głowili się, jaki polityczny plan stoi w istocie za nagłym projektem głębokich zmian konstytucyjnych. W tamtej styczniowej wersji mowa była w gruncie rzeczy tylko o dwóch dość istotnych przesunięciach w dotychczasowym instytucjonalnym układzie władzy w Rosji.

Pierwsza miała polegać na lekkim wzmocnieniu parlamentarnej odpowiedzialności rządu, co w praktyce sprowadzać się miało przede wszystkim do wprowadzenia wymogu parlamentarnej inwestytury całego rządu, a nie tylko (jak dotąd) samego premiera. Hipotetycznie mogłoby to być świadectwem zamiaru Putina odejścia z urzędu głowy państwa w 2024 r., skoro na przyszłość rząd miałby w większym stopniu być zależny od politycznej większości w Dumie niżli od prezydenta. W trochę podobny sposób mogła być odczytywana inna zmiana, wprowadzająca do systemu konstytucyjnego Rosji instytucję Rady Państwa, o rozległych, choć niejasno sprecyzowanych uprawnieniach, takich jak „określanie głów-

nych kierunków polityki krajowej i zagranicznej” czy „zapewnianie harmonijnego działania innych władz publicznych”. To z kolei mogło sugerować, że awaryjnie Putin rezerwuje dla siebie na przyszłość rolę szefa owej Rady Państwa, która poprzez fakty dokonane mogłaby przejąć za sprawą owych niejasnych kompetencji jakąś część kluczowych uprawnień głowy państwa. Co najważniejsze, styczniowy projekt przewidywał utrzymanie dotychczasowego konstytucyjnego zakazu ubiegania się o urząd głowy państwa przez inkumbenta, który sprawuje ów urząd drugą z kolei kadencję. Czyli zakaz wprost dotyczący sytuacji Putina w 2024 r.

ZEROWANIE LICZBY KADENCJI

Wszystko wyjaśniło się jednak 10 marca, podczas drugiego czytania noweli konstytucyjnej na posiedzeniu Dumy. Politycznym objawieniem było krótkie wystąpienie generał lotnika Walentyny Tierieszkowej, 83-letniej wiceprzewodniczącej komisji Dumy ds. federalnego ustroju Rosji. Sławna niegdyś Walentyna („Walentyna, Walentyna, już gwiazd krainą ją dobrze zna...” – śpiewały przed laty Filipinki) zgłosiła bowiem wniosek, aby do konstytucji dołączyć przepis zerujący liczbę kadencji prezydenckich na dzień wejścia w życie obecnej noweli, tak by (jak przekonywała): „każdy obywatel, także obecny prezydent, miał jednakowe prawo do bycia wybranym na urząd głowy państwa”. Niedysiejsza kosmonautka z przejściem wyjaśniała, iż troszczy się o zagrożone odejściem Putina poczucie bezpieczeństwa milionów Rosjan. Mówiła: „Ludzi niepokoi, a nawet zatrważa to, co stanie się po roku 2024. A stawiane przez nich pytania nie



Naszej Drogiej Koleżance

Iwone Kosakowskiej – Niedbalskiej

*Najszczerze wyrazy współczucia
i słowa otuchy*

W trudnych chwilach po śmierci

MAMY

*Składają zarząd i pracownicy
Saltus Ubezpieczenia*

*Łączymy się w bólu z Tobą
i Twoimi Najbliższymi*

69/02/0F

dotyczą po prostu urzędu głowy państwa, ale raczej człowieka, któremu ufają, który w trudnych sytuacjach podejmował decyzje i za nie odpowiadał, na którego ludzie zwykli liczyć i na nim polegać". Co prawda w odpowiedzi prezydent nie zadeklarował się wprost, iż spełni oczekiwania Tierszkowej i wystartuje w następnych wyborach, ale poparł jej poprawkę jako dobrze służącą interesom i politycznej stabilizacji Rosji.

To był wtorek 10 marca. A już w środę obie izby rosyjskiego parlamentu uchwaliły nowelę konstytucyjną wraz z poprawką Tierszkowej. Duma uczyniła to jednogłośnie, w Radzie Federacji zaś jeden głos był przeciw. Oddał go senator z Buriacji (nad jeziorem Bajkał) Wiczesław Marchajew – komunista, który zdaniem antyputinowskiej opozycji wygrał ubiegłoroczne wybory na mera buriackiej stolicy Ułan-Ude, ale w wyniku fałszerstw został pozbawiony tej wygranej. W czwartek 12 marca, by dopełnić formalności wymaganych dla zatwierdzenia zmian w konstytucji, nowelę zaakceptowało 85 regionalnych parlamentów Federacji Rosyjskiej. We wszystkich tych zgromadzeniach media odnotowały tylko jeden przypadek oddania głosu przeciw: zdarzyło się to w parlamencie Jakucji, a odważną posłanką była Sulustana Myraan z Tiumeni, która zaraz po głosowaniu złożyła mandat poselski. Aleksiej Nawalny, faktyczny lider antyputinowskiej opozycji, w reakcji na te zdarzenia powiedział z nieskrywanym sarkazmem: „Rzeczywistymi bohaterami Rosji zostali teraz Buriat i Jakutka”.

WŁADZA NA LATA

Po wszystkich poprawkach okazuje się, że ani ustrojowa rola parlamentu nie ulegnie istotnemu wzmocnieniu, ani też władza prezydencka de facto nie zostanie ograniczona. Co prawda rząd ma in gremio podlegać inwestyturze Dumy, ale z rządu wydzielono „resorty siłowe”, podporządkowując je bezpośrednio głowie państwa, sam premier został zaś pozbawiony na rzecz prezydenta uprawnień do określania kierunku prowadzonej polityki. Można powiedzieć, że takie zmiany sankcjonują w istocie polityczny status quo, w ramach którego Putin, na mocy swego osobistego autorytetu i wpływu, jest faktycznym szefem rządu w takim zakresie, w jakim akurat tego chce i potrzebuje dla swojej aktualnej polityki. Ekspertka Ośrodka Studiów Wschodnich Maria Domańska uważa, że oznacza to na przyszłość zamiar specyficznego rozdziału całości administracji na dwie części: prezydencką i premierowską, przy czym o komu ma zostać przypisane (czyli kluczowe w takich warunkach uprawnienie), przypisane zostaje głowie państwa. Co nie bez znaczenia, prezydent zyskuje także swobodną kompetencję wniosko-

wania do izby wyższej parlamentu w kwestiach głównych nominacji sędziowskich. W rosyjskich warunkach będzie to zapewne po prostu oznaczać obsadę kluczowych funkcji w wymiarze sprawiedliwości przez ludzi prezydenta.

Niezwykle ciekawa jest argumentacja, jakiej używa sam Putin dla uzasadnienia konieczności obecnej noweli konstytucyjnej. Podczas spotkania z liderami frakcji w Dumie, poprzedzającego ostateczne głosowania, prezydent dowodził przede wszystkim tego, że Rosja potrzebuje gwarancji, iż po 2024 r. nie powróci na nowo do stanu politycznego chaosu z lat 90. ub.w. W jego przekonaniu, którym dzielił się już publicznie kilkakrotnie (m.in. podczas debat w tzw. klubie waldajskim, gdzie prezydent corocznie spotyka się z ekspertami od polityki krajowej i zagranicznej), w tamtym

czasie Rosji groził faktycznie rozpad ze względu na skalę konfliktów wewnętrznych i kryzysu finansowego. Teraz mówił do liderów Dumy: „Nie wystarczy więc odkreślić grubą kreską poprzednich etapów rozwoju naszego kraju, ale konstytucja musi zagwarantować niemożność powrotu do polityki rozchwiejanej łódki”.

Nadal jednak nie jest do końca jasne, w czym dokładnie Putin upatruje owego niebezpieczeństwa nawrotu do „chwiania rosyjską łódką”. Czy w samym fakcie swojego odejścia z prezydentury? I wobec tego przygotował sobie ustrojowe przesłanki do sprawo-

wania władzy aż do 84. roku życia. Nawiasem mówiąc, tak właśnie sądzi aż 47 proc. Rosjan badanych przez niezależne Centrum Lewady, a wyniki te podaje portal newsru.com. Czy też zamierza jednak opuścić urząd głowy państwa w roku 2024, obecna nowela konstytucyjna ma zaś dać szansę silnych rządów wyznaczonemu przezeń następcy? W marcowej debacie w Dumie prezydent otwarcie argumentował, iż ze względu na swój terytorialny rozmiar, wielonarodowość i różnorodność tradycji historycznych „Rosja w formie republiki parlamentarnej nie miałaby szans nie tylko na normalny rozwój, ale nawet na stabilne istnienie”. Zważywszy jeszcze na wszystkie kłopoty państwa rosyjskiego z utrzymaniem jego dzisiejszej integralności terytorialnej (Czeczenia, Krym), można założyć, że rosyjski przywódca ma w tym twierdzeniu sporo racji.

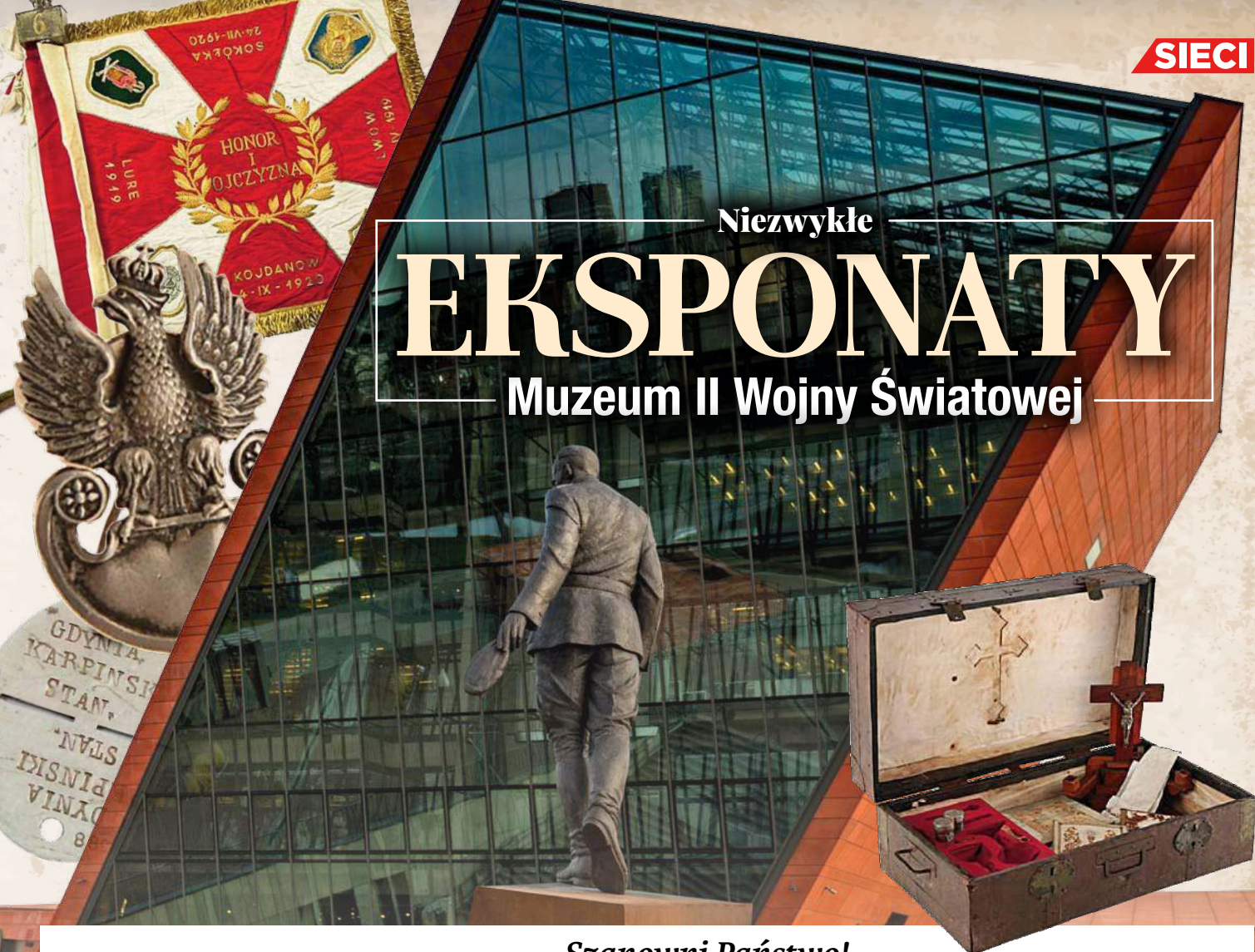
Po zdarzeniach, jakie zaistniały w Dumie 10 marca, z dużą dozą prawdopodobieństwa można przypuszczać, że Putin jest po prostu zdeterminowany, aby swojej pełni władzy nie oddawać przez długie następne lata. Niewykluczone, że dożyłby, wedle wzoru, jaki w przestrzeni krajów postsowieckich nie byłby wcale odosobniony. Jeśli tylko globalna zaraza nie zmusi Putina do odłożenia zaplanowanego konstytucyjnego referendum, to już 22 kwietnia (w dniu urodzin Lenina) prezydent zapewne zyska ze strony Rosjan wystarczająco silny mandat dla swych dalszych długich rządów.

„Rosja w formie republiki parlamentarnej nie miałaby szans nie tylko na normalny rozwój, ale nawet na stabilne istnienie” – argumentował Putin podczas marcowej debaty w Dumie

Niezwykłe

EKSPONATY

Muzeum II Wojny Światowej



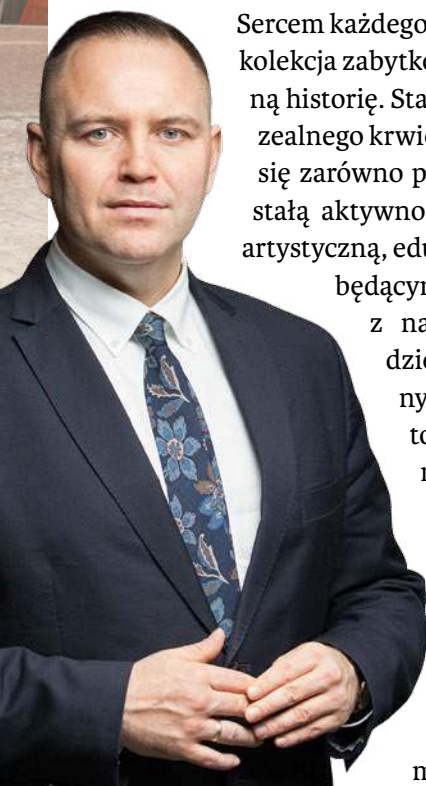
Szanowni Państwo!

Sercem każdego muzeum jest gromadzona w nim kolekcja zabytków opowiadająca pewną konkretną historię. Stanowi ona o funkcjonowaniu muzealnego krwioobiegu, gdyż to wokół niej buduje się zarówno przekaz ekspozycyjny, jak i pozostała aktywność oświatowa – kulturalną, artystyczną, edukacyjną czy naukową. W 2019 r.,

będącym 80. rocznicą wybuchu jednego z najtragiczniejszych konfliktów w dziejach ludzkości, Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku przygotowało i przeprowadziło Ogólnopolską Zbiórkę Ekspонатów „Przyjmiemy Twoją Historię” – jej efektem było powiększenie muzealnej kolekcji o 2167 ekspонатów. Dzięki zaufaniu i współpracy z Darczyńcami nasza instytucja każdego roku sukcesywnie rozwija kolekcję muzealną. Jest to tym bardziej

godne uznania, bo wiemy, jak bardzo są oni przywiązani do przekazywanych pamiątek, często stanowiących rodzinne relikwie. Świadomi wagi przekazanych zabytków razem z Redakcją magazynu „Sieci” postanowiliśmy przybliżyć Państwu w kolejnych numerach historie kryjące się za wybranymi ekspонатami, znajdującymi się w zbiorach Muzeum II Wojny Światowej. Przedmioty te niosą za sobą swoją indywidualną opowieść, często tragiczną, pełną bólu, znaczoną cierpieniem konkretnych ludzi, którzy pomimo swego losu nie tracili nadziei, byli pełni determinacji w dążeniu do przeżycia, do powrotu do najbliższych, do domu rodzinnego, do odebranej im przemocą ojczyzny. Mamy nadzieję, że przedstawione historie, kryjące się za prezentowanymi ekspонатami, nie tylko Państwa zainteresują, ale staną się także inspiracją do poszukiwania śladów przeszłości w swoich rodzinach i wśród najbliższych.

*dr Karol Nawrocki,
dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku*



Nikt za nas nie opowie historii, nie przedstawi naszych doświadczeń

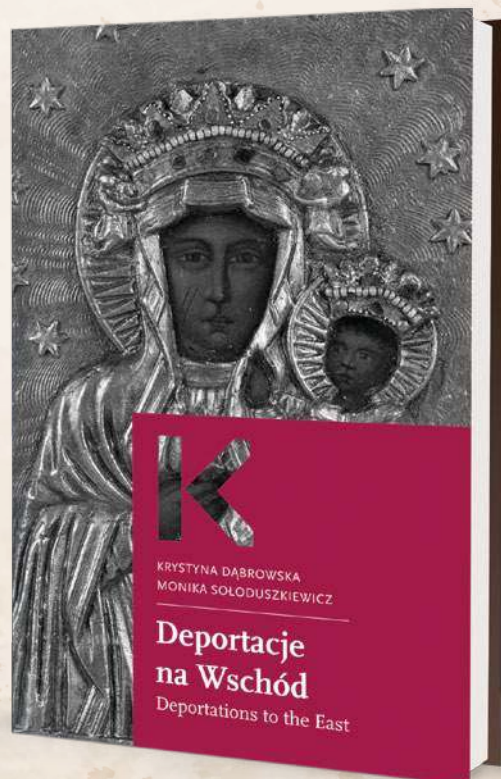


Muzeum II Wojny Światowej

Muzeum II Wojny Światowej jest miejscem niezwykłym, łączącym historię z nowoczesnością. Zwiększająca się z każdym rokiem liczba odwiedzających, która w 2019 r. wyniosła 536 441 osób, świadczy o wysokiej renomie tej instytucji, jak i zasadności opowieści o II wojnie światowej, posługując się polską wrażliwością historyczną. Za nami wielki sukces obchodów 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej, ukoronowanych działaniami zrealizowanymi 1 września 2019 r. przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę. Za nami także niezwykle wzruszające uroczystości upamiętniające 75. rocznicę wyzwolenia niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz. Wciąż pamiętamy sukces zorganizowanej w 80 państwach, w 160 miejscach na całym świecie wystawy „Fighting and Suffering. Polish citizens during World War II”, powstałej w ramach międzynarodowego projektu Walka i cierpienie, realizowanego przez Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku wspólnie z Ministerstwem Spraw Zagranicznych RP. Gdańskie muzeum dysponuje niezwykłymi eksponatami – wyjątkowymi pamiątkami, wśród których są te udostępnione i przekazane placówce przez rodziny naszych bohaterów. Chcemy o nich opowiedzieć. W związku z przypadającą w 2020 r. – 75. rocznicą zakończenia II wojny światowej, w kolejnych miesiącach do czerwca, wspólnie z Muzeum II Wojny Światowej opowiemy o eksponatach znajdujących się w zbiorach muzeum, zachęcając Czytelników do odwiedzenia tego miejsca, które zobaczyć po prostu trzeba.

Katalog „Deportacje na Wschód”

Katalog, który niebawem ukaże się w druku, jest pierwszym tomem serii wydawniczej poświęconej eksponatom. Kanwą tej publikacji są historie opowiedziane przez pozornie zwyczajne przedmioty, ponieważ to wokół obiektów gromadzonych w naszej kolekcji toczy się życie Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Prezentowane eksponaty opowiadają o doświadczeniach ludzi, którzy brutalnie wyrwani z rodzinnego domu doznali przemocy, głodu, pracy ponad siły i nieustannego lęku o życie. Obiekty, jako świadkowie dramatycznych wydarzeń, są kliszą opowiadanych przez lata historii, które udało nam się zachować dla przyszłych pokoleń.



Drewniana forma

Do wyrobu tzw. samanów, czyli bloczków służących ze-
stańcom do budowy domów i zabudowań gospodarczych.
Jako materiał do ich wyrobu wykorzystywano mieszankę
gliny i słomy, nierzadko dodawano także krowi nawóz. Mokrą
masę kobiety i dzieci udeptywały nogami w formach, a gotowe bloki
suszą na słońcu. Ten rodzaj pozyskiwania budulca był charakterystyczny dla
niemal wszystkich miejsc, do których kierowano deportowanych. Drewniana forma
pochodzi ze wsi Krasnodolsk w północnym Kazachstanie. Dar Dmitriya Panto.



List w skórzanym etui

Napisany 16 stycznia 1941 r. podczas zesłania na Syberii
przez majora Andrzeja Palucha do Janiny Bortnowskiej.

Major wiele uwagi poświęca realiom życia na zesłaniu
i pracy naznaczonej licznymi wypadkami w czasie panującej
wówczas srożej zimy. Bezradny wobec przeciwności losu,
jako najbardziej dokuczliwy problem wskazuje brak wiado-
mości z Zachodu i listów od najbliższych. Andrzej Paluch był
żołnierzem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, uczestniczył
w walkach pod Monte Cassino. Po wojnie nie powrócił do Polski,
zmarł w Manchesterze. Dar Janiny Furyk.

Talia kart

Składająca się z zachowanych 19 ręcznie malowanych kart do gry, wykona-
nych na zesłaniu. Do ich zrobienia posłużyły zabrane z domu bilety wizytowe.
W chwili wybuchu wojny Tadeusz był studentem IV roku prawa w Lublinie.
Początek konfliktu zastał go w Szarkowszczyźnie, gdy odwiedzał rodzinę.
W czerwcu 1940 r. Załuska wraz z matką, siostrą i małą siostrzenicą Elwirą zo-
stał deportowany na Syberię. W kraju zostawił narzeczoną Kazimierę, której już
nigdy nie zobaczył. Zmarł w Barnaule na skutek wycieńczenia pracą i głodem
w styczniu 1944 r. Dar Elwiry Bartoszek.





Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej

Zabrany przez rodzinę Michała i Annę Czerwińskich.

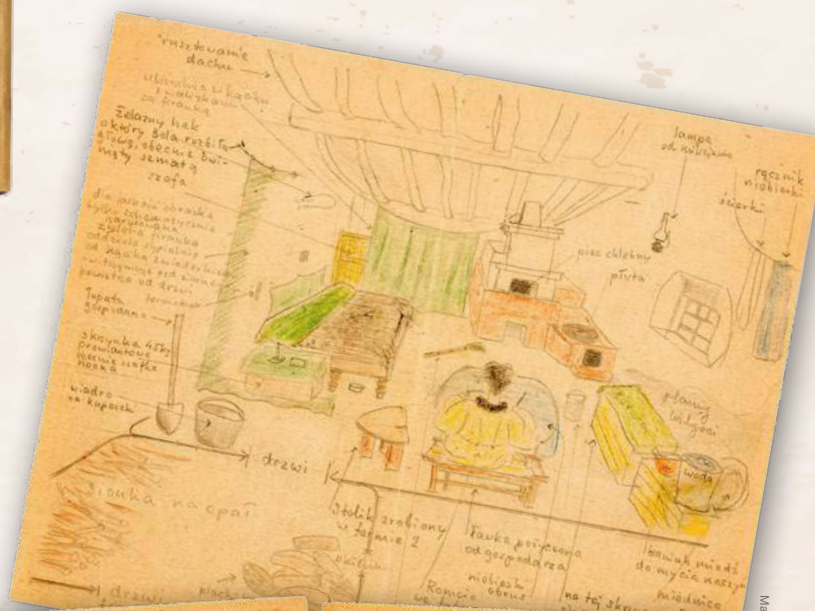
Czerwińscy wraz z trójką swoich dzieci byli jedną z rodzin deportowanych w 1936 r. ze Smotrycz koło Kamienia Podolskiego na Ukrainie. Zostali wywiezieni do Krasnodolska w Kazachstanie, gdzie urodziło im się czwarte dziecko. Rodzina zdołała ocalić kilka pamiątek i przewieźć do miejsca zesłania. Przedmioty kultu religijnego i zachowanie tradycji stały się dla przesiedleńców ważnym elementem podtrzymania polskiej tożsamości.

Dar Emilii Rosołowskiej.

Rysunki wykonane przez Bogusławę Sałęgę

Obrazują życie na zesłaniu w latach 1940–1942.

Major Jan Sałęga po kampanii polskiej został aresztowany przez NKWD i zamordowany w Katyniu. W tym samym roku Bogusławę wraz z synami – Bolesławem i Bogusławem – deportowano do Urdżaru w Kazachstanie. Kobieta dokumentowała tam w formie rysunków surowe warunki, w jakich musiała się odnaleźć, i wysyłała je do mieszkającej we Lwowie matki. Rodzina opuściła ZSRS z Armią Andersa przez Azję Mniejszą do Afryki, skąd przedostała się do Australii. Dar Barbary Jastrzębskiej.



KGHM odporny na koronawirusa. Wspiera rząd i Polaków

Przedstawiony przez prezydenta i premiera pakiet antykryzysowy dla gospodarki jest najszerszym, jeśli chodzi o skalę działania, z zakomunikowanych dotychczas w Europie – ocenił w śróde prezes KGHM Polska Miedź SA Marcin Chłodziński przy okazji telekonferencji prasowej, na której omówione zostały wyniki Grupy KGHM za 2019 r. W programie „Wywiad gospodarczy” dla naszej telewizji wPolsce.pl same wyniki spółki ocenił jako bardzo dobre, jednocześnie wymieniając, jak aktywnie KGHM wspiera władze i Polaków w walce z koronawirusem.

Prezes KGHM odniósł się do aktualnej sytuacji związanej z koronawirusem oraz zapowiedzianą przez premiera i prezydenta w śróde tzw. tarczą antykryzysową, czyli planem pomocy dla Polaków i polskiej gospodarki w związku z koronawirusem.

– Interwencja państwa jest bardzo potrzebna. Mniejszy optymizm to mniej zamówień konsumenta, to mniej zamówień w przemyśle. Przedstawiony pakiet jest najszerszy spośród zakomunikowanych w Europie w tej chwili działań. Też w dobrym tempie, bo Polska to obecnie jeden z pierwszych krajów z tak dużym pakietem. Cieszy wątek infrastrukturalny dla podtrzymania gospodarki, ulgi i subwencje. To kompleksowe działanie i myślę, że pomoże zmierzyć się z tym zagrożeniem polskiej gospodarce. Rządowy pakiet to bardzo dobry plan dla gospodarki, istotnie pomoże wszystkim tym, którzy odczuwają skutki – ocenił Marcin Chłodziński, prezes KGHM Polska Miedź SA.

KGHM włączył się aktywnie w walkę z koronawirusem. W śróde spółka poinformowała o rozpoczęciu produkcji płynu do dezynfekcji rąk w wariantcie podstawowym i wzmocnionym H_2O_2 . Płyn ma być dostarczony do szpitali, urzędów i firm. Co ciekawe, produkuje go spółka Nitroerg, która na co dzień produkuje dla KGHM materiały wybuchowe. Jak mówi prezes Chłodziński, udało się błyskawicznie przestawić linię produkcyjną na produkcję płynu do dezynfekcji. KGHM przekazała też część



nadwyżek własnych środków ochrony i masek Ministerstwu Zdrowia i szpitalowi wojewódzkiemu. Doposaża też szpitale, które szybko potrzebują pomocy i szybko mogą dostać potrzebny od firmy sprzęt. Mobilizacja związana z koronawirusem, ta odgórna i oddolna, w ocenie prezesa jest duża i naprawdę budująca. Mimo wszystko pandemia nie wpływa obecnie ani na działalność firmy, ani na jej wyniki. Wygląda na to, że – przynajmniej na ten moment – miedź jest odporna na koronawirusa.

W śróde KGHM zaraportował swoje wyniki roczne za 2019 r. „Wynik bardzo dobry, mimo wiatru w oczy” – ocenił Chłodziński. Tym wiatrem były warunki

makroekonomiczne na świecie. KGHM w 2019 r. to wyższa produkcja miedzi płatnej (+11 proc.), rekordowa produkcja srebra (+18 proc.), wyższe o 11 proc. przychody Grupy Kapitałowej i o 5 proc. wyższa EBITDA (zysk operacyjny przedsięwzięcia przed potrąceniem odsetek od zaciągniętych zobowiązań oprocentowanych i opodatkowaniem). A trzeba pamiętać, że w 2019 r. ceny miedzi spadły o 8 proc. r/r, do tego przypominająca taśmową operę mydlaną albo spaghetti western wojna handlowa między USA i Chinami oraz niepokoje związane z wyjściem Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej – żeby nie używać już enty raz słowa brexit. Większa produkcja właśnie szczególnie pociągnęła wynik KGHM w górę.

– Wynik myślę, że bardzo dobry i satysfakcjonujący. Można użyć takiej przenośni, że sziłszy pod wiatr, jednak osiągnęliśmy lepszy wynik finansowy niż w czasie roku 2018, gdy ten wiatr nam sprzyjał i gdy mieliśmy go w plecy. Tak to w skrócie wygląda – podsumował w rozmowie z nami w programie „Wywiad gospodarczy” w telewizji wPolsce.pl Marcin Chłodziński, prezes KGHM.

Podkreślił też duże zaangażowanie pracowników w osiągnięciu postawionego na 2019 r. celu oraz wpływ aktywów zagranicznych KGHM, które dopiero teraz, po wielu zmianach, zyskują na wartości. W rozmowie z nami wyjaśniał, że jest to też efekt dobrego przewidzenia sytuacji w strategii na 2019 r. Jak na razie spółka nadal pozostaje odporna na wirusa. 

Maksymilian Wysocki

Tam, gdzie nas jeszcze nie było

Grażyna Wolszczak: To wcale nie jest zaskakujące, że wzięliśmy udział w tak szalonym projekcie, jak „Ameryka Express”. Kocham wyzwania. Rzucam się w każdą nową sytuację. Życie traktuję jak przygodę. Im bardziej jest ekstremalna, tym ciekawsza.

Kiedy zaproponowano mi udział w tej „podróży za jednego dolara” (czasem „też za jeden uśmiech”), od razu w to weszłam. Wciągnęłam też w tę przygodę syna. W ten sposób trafiliśmy w rejony zupełnie mi nieznane, czyli do Gwatemali i Kolumbii (Filip był już kiedyś w Kolumbii, a po zakończeniu nagrań przedłużył swoją podróż o samodzielną wyprawę do Meksyku).

Nim wyruszyliśmy z uczestnikami programu TVN „Ameryka Express”, lubiłam podróżować w ten sposób, że kupowałam bilety w jakieś miejsce, a dopiero potem opracowywaliśmy trasę i zastanawialiśmy się, gdzie i jak będziemy spać. Zawsze jednak przed wyprawą mieliśmy wszystko przygotowane. Nigdy nie wpraszałam się nikomu do domu, chociaż po tym programie, kto wie (śmiech). Całkiem nieźle mi to wychodziło.

Filip Sikora: Ta nasza wspólna podróż poszła nawet lepiej niż np. zorganizowane wcześniej wakacje na Santorini. To też był wyjazd na zasadach partnerskich...

Filip/Grażyna (jednym głosem): Ale nie było wyzwań!

G.W.: Bardzo szybko odpowiliśmy się z Filipem. Także jeśli chodzi o wakacyjne wyprawy. Natomiast już jako dorośli ludzie – wspólnie opiekując się moim tatą, który porusza się na wózku – spotykaliśmy się, zazębiając

nasze wyjazdy. „Ameryka Express” to było podróżowanie, którego nigdy wcześniej nie doświadczyliśmy.

Pytani o miejsca, do których po „expressowej” trasie chcieliby – już na spokojnie – wrócić, wymieniamy m.in. leżące w Gwatemali miasta Antigua i Chichicastenango oraz otoczone wulkanami jezioro Atitlan. Zgodnie stwierdzają, że rejony, w które trafili, zachwycali przyrodą, a także zatopionymi w niej śladami odległej przeszłości.

Wspominają Tikal – zagubione w dżungli miasto Majów. Okazałe kamienne budowle na wielkiej przestrzeni wypełnionej egzotyczną zielenią. Obszar z jednej strony wręcz mistyczny, z drugiej osaczający bujną przyrodą.

Dla obojga niezwykle ciekawym doświadczeniem okazał się nocleg w dżungli, zwłaszcza dźwięki, które otaczają wtedy człowieka; świadomość intensywności tętniącego tuż obok życia i bliskość przeskakujących, dosłownie nad głowami, małych. Niektóre wydają niesamowite dźwięki. Grażyna Wolszczak mówi, że przypominały jej ryk lwa. Jej synowi kojarzyły się z filmowymi potworami czy widmami.

– Ale najpiękniejszym, co wyniosłam z wyprawy do tej części Ameryki – podkreśla aktorka – było doświadczenie, że im biedniejsi ludzie, tym bardziej serdeczni, współczujący i chętniej dzielący się z drugim człowiekiem.

Pytani, czy wybraliby się w kolejną wspólną podróż, mówią jednym głosem: „Dlaczego nie?”. Jeśli szlak miałby prowadzić po Polsce, ruszyliby w Bieszczady, bo żadne z nich nie zna tego rejonu. A – co do tego też są zgodni – warto jeździć przede wszystkim tam, „gdzie nas jeszcze nie było”.

Jolanta Gajda-Zadworna

**SŁODKO-SŁONY**

Wolno jeść się nie da

ANNA MONICKA

Taka sytuacja. Jestem w Lidlu, po cytryny, których mój organizm się domaga, jakby wiedział, że poprawiają odporność. Zaglądam do działu piekarnia, żeby sprawdzić, czy są jeszcze żytnie placuszki. Obok mnie kobieta wybiera bułki. Wygląda całkiem normalnie – porządnie ubrana, z elegancką torebką. Nagle jedna kajzerka wypada jej na ziemię, a kobieta ją podnosi i spokojnie odkłada na półkę z pieczywem. No, tego już było za wiele, ja w krzyk, że co sobie wyobraża, tak nie wolno, a baba głowę wciska w ramiona i w nogi ze sklepu. Uciekła, nikt jej nie zatrzymał, ludzie na mnie patrzyli jak na wariatkę. Było to tydzień przed epidemią, fakt, może teraz ruszyliby i inni klienci sklepu, żeby napiętnować tak nieodpowiedzialną jednostkę.

No więc zdjęłam tę bułkę z półki i odłożyłam na bok i solennie sobie obiecałam, że to był ostatni raz, kiedy zainteresowałam się chlebem z sieciówki.

Czasu mam jakby więcej, bo home office, więc wracam do pieczenia chleba z gara. A w necie aż roi się od przepisów na różne bochny, pity, placki. Ludziska się wymieniają przepisami, wrzucają zdjęcia, od których aż chce się jeść, moja ukochana Cała w Mące (rzeczywiście bywa utylana, gdy w nocy piecze, a rano sprzedaje) rozdaje na warszawskim Żoliborzu zaczyn na chleb, żeby wszyscy w wolnej chwili przypomnieli sobie, jak może smakować chleb.

Ja piekę czasem bez zakwasu, na drożdżach. Wsypujemy do miski trzy szklanki mąki, przesianej, kruszymy ćwiartkę kostki drożdży, wsypujemy po płaskiej łyżce soli i cukru, wlewamy mniej więcej 400 ml letniej wody i wyrabiamy ciasto. Powinno odchodzić od ręki. Miskę nakrywamy lnianą ściereczką, opatulamy kocem i zostawiamy do wyrośnięcia na kilka godzin w cieple i ciszy, bez przeciągów, walenia drzwiami. W końcu to drożdżowe, choć wytrawne, a ono jest bardzo wrażliwe. Gruby garnek, najlepiej żeliwny, nagrzewamy w piekarniku do 200°C. W tym czasie wyjmujemy ciasto na posypaną mąką deskę i składamy dwa-trzy razy w kopertę, zakrywamy ścierką, żeby podrosło. Do gorącego gara sypujemy otręby, układamy ciasto i pieczemy około pół godziny w 200° pod przykryciem. Potem dopiekamy skórkę, ale już bez przykrytki. Studzimy i pozeramy, bo domowy chlebek jest tak pyszny, że wolno jeść się nie da.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Burak na blokadę

**PRZEMYSŁAW
BARSZCZ**

Blokada państw, kwarantanna, ograniczenia w przemieszczaniu się – sytuacje kryzysowe skutkujące izolacją zdarzały się w historii wielokrotnie. Czasami ich skutki, wydające się początkowo zjawiskami bez znaczenia, rozwiązaniami prowizorycznymi itp., w dalszej perspektywie miały doniosłe konsekwencje, i to nie tylko negatywne. Przykład? Burak!

Dziś poza historykami i uczniami nikt nie roztrząsa blokady kontynentalnej, którą wprowadził Napoleon, by osłabić Wielką Brytanię. Natomiast uprawa buraków cukrowych i produkcja cukru, początkowo mało znacząca chociażby przy ucieczce cesarza z Elby i Waterloo, stopniowo stała się niezwykle ważną gałęzią przemysłu i rolnictwa, motorem rozwoju i bogacenia się krajów i społeczeństw.

Do początków XIX w. jedynym liczącym się źródłem cukru była trzcina cukrowa, uprawiana głównie na plantacjach w Nowym Świecie. Byłoby tak być może do dziś, bo chociaż możliwość otrzymywania cukru z buraków była znana, produkcja cukru buraczanego napotykała poważne trudności. Kiedy Franz Karl Achard opracował przemysłową metodę rafinacji cukru (pierwsza buraczana cukrownia na świecie powstała we wsi Konary na Dolnym Śląsku), angielscy cukrownicy proponowali mu majątek za wycofanie się i stwierdzenie, że buraki nie nadają się do produkcji cukru. Achard nie dał się przekupić, nie zniechęciły go także kilkukrotne pożary w zakładach i produkcja w kontynentalnej Europie powoli ruszyła. Być może jednak cukier buraczany pozostałby ciekawostką, a Europa byłaby całkowicie zależna od importu cukru, gdyby nie napoleońska blokada, ograniczenia importu cukru trzcinowego i polityka Napoleona forująca francuskich cukrowników. Działania te stały się zarzewiem, które przerodziło się następnie w boom na cukier z buraka cukrowego.

Choć dziś nadal najwięcej cukru w skali globalnej, około 60 proc., produkuje się z trzciny (jako źródło cukru wykorzystuje się także sok z pni klonów cukrowych oraz lodgy winorośli), burak zdobył bardzo mocną pozycję i w niektórych rejonach świata, np. w Europie, zdominował rynek.

Aktualnie największym światowym producentem buraków cukrowych jest Rosja, zaraz za nią oczywiście Francja. Polska zajmuje mocną, siódmą pozycję.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Uzasadnione lęki

Przyjęcie przez brytyjski rząd pierwotnej strategii walki z koronawirusem musiało mieć swoje konsekwencje w decyzjach Polaków o powrocie do kraju



www.wojciechreszczyński.pl

Polacy masowo wracają do kraju. Zachęca do tego rząd, który zdecydował się współfinansować powroty, wspomagając LOT. Najliczniejsze są powroty z Wielkiej Brytanii. Zaledwie w ciągu dwóch pierwszych dni zapisów chęć wyjazdu do Polski zgłosiło ponad 30 tys. Polaków. Żeby przewieźć tak dużą grupę, trzeba aż 116 rejsów samolotów. Czy są to powroty na stałe, czy tylko czasowe, aby być z rodziną w trudnym czasie pandemii? Pewnie wkrótce się o tym dowiemy. Ale jest też inny aspekt tej sprawy.

Premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson dwukrotnie zaskoczył opinię publiczną. Najpierw ogłosił, że jego rząd będzie rekomendował własne, oryginalne podejście do walki z koronawirusem. Ma nim być „kontrolowane zarażenie populacji” w celu uodpornienia większości obywateli na chorobę. Niewykluczone, że rząd brytyjski kierował się swoim raportem, przygotowanym dużo wcześniej i utajnionym do czasu jego publikacji przez dziennik „Guardian”. Autorzy raportu zakładali, że wirusem zarazi się czterech na pięciu Brytyjczyków, a pandemia będzie trwała aż do wiosny przyszłego roku. W ten sposób w szpitalach znajdzie się prawie 8 mln ludzi. A ponieważ nie da się całkowicie wyeliminować wirusa, należy się liczyć z faktem śmierci ponad pół miliona Brytyjczyków do końca tego roku. Raport brzmi sensacyjnie czy jednak wiarygodnie? Poza oczywistym faktem, że służba zdrowia nie dysponuje odpowiednią liczbą respiratorów. Dzień po tym, jak premier wspomniało „kontrolowanym zarażeniu”, społeczeństwo otrzymało od tego Borisa Johnsona

zupełnie inny przekaz. Rząd zalecił konkretne środki ostrożności w celu ograniczenia zarazy. Sformułowano je dosyć enigmatycznie. W konsekwencji Wielka Brytania nie zamyka się tak jak inne państwa europejskie. Szkoły, puby będą otwarte, nie zabrania się też masowych imprez sportowych. Premier zaleca jedynie ograniczenie kontaktów, zdalną pracę w domu i unikanie „niepotrzebnych podróży”. Chorym z objawami koronawirusa poleca się pozostać w domach przez 14 dni. Wybrano więc wariant mniej drastycznego przygotowania się na wzrost zachorowań, ale odrzucono scenariusz swobodnego osvajania się z koronawirusem. Zdaniem wielu specjalistów nie uchroni to jednak mieszkańców Wysp od poważnej w skutkach epidemii porównywalnej tylko z Włochami.

Jestem przekonany, że przyjęcie pierwotnej strategii walki z koronawirusem, tak różnej od strategii innych państw, musiało mieć swoje konsekwencje w decyzjach Polaków o powrocie do kraju. Podobny wpływ mogły też mieć informacje z Polski o poważnych i szerokich przygotowaniach do walki z koronawirusem. Decyzje polskiego rządu, chwalone przez inne państwa, poczynania bardzo kompetentnego ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego, musiały budzić zrozumiałe zaufanie Polaków.

Pierwotna strategia brytyjskiego rządu, choć miała krótki żywot, mieści się jednak w filozofii i pragmatyce Anglików. Przypomina nam o tym choćby jeden z największych brytyjskich pisarzy George Bernard Shaw, laureat Nagrody Nobla z dziedziny literatury za rok 1925, autor m.in. słynnej kome-

dii „Pigmalion”. Ten wielbiciel filozofii Friedricha Nietzschego i zwolennik eugeniki pisał: „Apeluję do chemików, aby odkryli humanitarny gaz, który będzie zabijał natychmiast i bezboleśnie. Jak najbardziej zabójczy, ale humanitarny, nie okrutny”. O Leninie pisał jako o „największym mężu stanu”. Potrafił też, jako dziennikarz, skutecznie ukrywać i fałszować informacje o wielkim głodzie na Ukrainie, tak aby odsunąć od Rosjan podejrzenie sprawstwa tej makabrycznej zbrodni ludobójstwa, która pochłonęła w latach 1932–1933 życie od 6 do 10 mln Ukraińców.

Zachowaną w archiwach wypowiedź tego pisarza skandalisty, nadal szanowanego w Wielkiej Brytanii, mogliśmy niedawno usłyszeć w filmie dokumentalnym „Soviet Story” lotewskiego scenarzysty i reżysera Edvinsa Snore’a. G.B. Shaw, na długo przed dojściem Hitlera do władzy, wyjaśnia własnym głosem, dlaczego nie ma sensu utrzymywać przy życiu ludzi, którzy są mało przydatni społeczeństwu. Wszyscy starzy, chorzy, ułomni, niewykształceni, więźniowie czy pozbawieni umiejętności życiowych do wykonywania pracy, która dawałaby pożytek innym, powinni być przez społeczeństwo fizycznie eliminowani. Zdrowa część społeczeństwa nie powinna się troszczyć o tych, którzy są dla niej obciążeniem, finansowym, zdrowotnym itd.

W pierwotnej koncepcji walki z pandemią, jaką zaprezentował premier Boris Johnson, odnajduję dalekie echa totalitarnego, rasistowskiego myślenia G.B. Shawa. Tak sprzeczne z ideą solidaryzmu społecznego, a już na pewno wrogie chrześcijańskiej miłości bliźniego. Jestem przekonany, że Polacy masowo opuszczający Wielką Brytanię mogli mieć podobne odczucia i uzasadnione lęki.

Świat walczy z koronawirusem

Polskie firmy mogą liczyć na wsparcie Banku Gospodarstwa Krajowego

Bank Gospodarstwa Krajowego przygotowuje dodatkowe wsparcie dla polskich przedsiębiorstw poszkodowanych w związku z pandemią koronawirusa. Pomoc dotyczy m.in. zmiany parametrów udzielanej gwarancji de minimis.

Zapewnienie płynności finansowej polskim firmom w obliczu kryzysu – to jedno z głównych wyzwań, jakie stoją przed instytucjami rządowymi i sektorem finansowym. BGK aktywnie włączył się w wypracowanie systemowych rozwiązań, które pomogą przedsiębiorcom przetrwać w trudnym okresie spowodowanym przez koronawirusa. Bank przygotowuje różne rozwiązania.

– Tarcza antykryzysowa to kompleksowy pakiet, który wesprze przedsiębiorców. Pojedyncze, nieskoordynowane rozwiązania nie przyniosłyby takich rezultatów jak holistyczne podejście, które przyjął rząd. Dużą rolę we wsparciu firm ma bank rozwoju – mówi Beata Daszyńska-Muzycka, prezes zarządu BGK.

ZMIANY W GWARANCJACH DE MINIMIS

Odpowiedzią na trudną sytuację polskich przedsiębiorców będą zmiany w programie gwarancji de minimis, które zwiększają dostęp do kredytów w bankach komercyjnych i spółdzielczych.

– We współpracy z Ministerstwem Finansów przygotowaliśmy rozporządzenie zwiększające pomoc w programie gwarancji de minimis do 80 proc., czyli do poziomu niewymagającego notyfikacji Komisji Europejskiej. Zrezygnowaliśmy także z prowizji, którą pobieramy od udzielonych gwarancji. Wydłużymy okres gwarancji dla kredytu obrotowego do 39 miesięcy. O udostępnieniu programu przedsiębiorcom będziemy informować na naszej stronie internetowej. Robimy wszystko, aby nastąpiło to

jak najszybciej – wyjaśnia Beata Daszyńska-Muzycka, prezes zarządu BGK.

Wdrożenie zmian wymaga zaangażowania banków kredytujących, z którymi BGK na bieżąco współpracuje, choćby ze względu na dostosowanie parametrów w systemach IT.

Ze zwiększonych gwarancji będzie mogła skorzystać każda firma z sektora MŚP, która dotychczas spełniała kryteria określone w programie gwarancji de minimis, niezależnie od branży. Zaletą programu jest również to, że gwarancje są łatwo dostępne, ponieważ udziela ich 20 banków w całym kraju. Przedsiębiorca nie musi przychodzić do BGK, wystarczy, że złoży wniosek o udzielenie gwarancji razem z wnioskiem kredytowym w swoim banku. W poszczególnych bankach trwają prace, aby umożliwić składanie dokumentów w formie elektronicznej.

CO DAJE PRZEDSIĘBIORCOM PROGRAM GWARANCJI DE MINIMIS?

Gwarancje de minimis ułatwiają zaciągnięcie kredytu obrotowego lub inwestycyjnego firmom z sektora MŚP. Środki z kredytu obrotowego mogą być wykorzystane na bieżące finansowanie działalności gospodarczej, np. na zapłacenie faktur za zakupione towary i usługi czy uregulowanie podatków i składek ZUS. Możliwe jest finansowanie celów rozwojowych firmy. Przedsiębiorcy mogą także przeznaczyć kredyt z gwarancją na spłatę kredytu obrotowego lub inwestycyjnego.

DOPLATY DO OPROCENTOWANIA KREDYTÓW

Drugie rozwiązanie pomocowe, nad którym pracuje BGK, to system dopłat do oprocentowania kredytów, których udziela przedsiębiorcom sektor ban-

kowy. – Jako bank rozwoju mamy do świadczenia w mechanizmach, które polegają na dopłatach do kredytów. Rozważamy różne scenariusze i możliwości szybkiego wdrożenia takiego mechanizmu. Najważniejsze jest dla nas to, jak BGK może wspomóc firmy i sektor bankowy, aby banki mogły udzielać kredytów na lepszych warunkach poprzez mechanizm dopłaty do odsetek. Sektor bankowy już dzisiaj rozważa możliwość odroczenia spłat kredytów przedsiębiorcom, którzy mają kłopoty w związku z epidemią – mówi Beata Daszyńska-Muzycka.

Kolejnym rozwiązaniem jest utworzenie Funduszu Gwarancji Płynnościowych. To z tego funduszu udzielane mają być gwarancje dla średnich i dużych firm dotkniętych skutkami pandemii COVID-19.

Parametry tego rozwiązania są następujące:

- zabezpieczenie do 80 proc. kwoty kredytu
- tylko do nowych lub odnawianych kredytów
- kwota kredytu objętego gwarancją – do 250 mln zł
- kwota gwarancji – od 3,5 mln zł do 200 mln zł
- okres gwarancji – min. 12 miesięcy
- przeznaczenie kredytu – zapewnienie płynności finansowej

Z gwarancji będą mogły skorzystać firmy, które na 1 lutego 2020 r. nie miały zaległości w ZUS, US i banku kredytującym. Łączna wartość kredytów zabezpieczonych gwarancjami może wynieść ok. 100 mld zł, a gwarancje z Funduszu Gwarancji Płynnościowych mają być udzielane do końca 2020 r., z opcją wydłużenia tego terminu stosownie do sytuacji gospodarczej.

Informacje o aktualnym wsparciu dla firm możesz sprawdzić na www.bgk.pl oraz www.biznes.gov.pl.

Fot. Shutterstock

Dwie szkoły walki z PiS

Wnocy z ostatniego piątku na sobotę odbyła się tajna odprawa FOP (Front Opozycji Politycznej). To już kolejne – bodajże trzecie w tym miesiącu – spotkanie liderów i doradców FOP poświęcone głównie doborowi środków i metod obalenia obecnego rządu przy wykorzystaniu sytuacji rozwijającej się epidemii koronawirusa. O nocnej naradzie nie miały błędnego pojęcia służby ochrony rządu, które przyjęły optymistyczny dla siebie wariant, wedle którego życie polityczne w Polsce pozostaje obecnie w stanie uśpienia. Jak wynika z naszych poufnych informacji, te rachuby są błędne, a Front robi wszystko, by doszło do przewrotu przed upływem okresu kalendarzowej wiosny.

Odprawa, o której mówię, ustaliła polityczne podwaliny pod planowany rozwój dalszego destrukcyjnego dla obecnej władzy scenariusza. Zanim opowiem o jego szczegółach, wypełniając swój dziennikarski obowiązek, nie mogę pominąć niektórych spięć, które nieomal doprowadziły do nieobliczalnego w negatywnych skutkach rozłamu, działających dotychczas w harmonii, dwóch głównych



**Jerzy
Jachowicz**

filarów Frontu – KOD i Obywateli RP. To być może wynik starcia się dwóch silnych osobowości liderów. KOD – Mateusza Kijowskiego i Obywateli RP Pawła Kasprzaka. Polem konfliktu stał się sposób oddziaływania na zwolenników PiS. Idąc za opinią swego doradcy prof. Radosława Markowskiego, Kijowski proponował dużą akcję ulotkową uświadamiającą szkodliwość rządów prawicy, podczas gdy Kasprzak okazał się zwolennikiem instrukcji Władysława Frasyniuka: „Je...ć pisiora!” i „Kopa policjantowi!” (który go chroni – dop. JJ).

Rozstrzygnięcie tego gorącego sporu odłożono do następnego spotkania, by tej nocy ustalić najpilniejsze kwestie, które mają doprowadzić do upragnionego celu. Ustalono, że priorytetem na najbliższe tygodnie i miesiące będzie niedopuszczenie do przeprowadzenia w planowanych terminach wyborów na dwa stanowiska: prezesa Sądu Najwyższego i prezydenta RP.

Jeśli idzie o pierwszy wybór – zapewniał Kasprzak – mają pełne poparcie Małgorzaty Gersdorf. 

CO MNIE PORUSZA

Mądry Polak przed szkodą

Polskie powiedzenie brzmi: mądry Polak po szkodzie, ale my dziś, patrząc na przygotowanie Polski do walki z koronawirusem, możemy śmiało powiedzieć: mądrzy Polacy przed szkodą.

Wszyscy stanęli do walki z tą nieznaną chorobą – prezydent, premier i ministrowie, przede wszystkim minister zdrowia ze wszystkimi swoimi podwładnymi. Współpracują też resorty spraw zagranicznych oraz spraw wewnętrznych i administracji, z pomocą przyszło też wojsko. Wszystkie uchwały, zakazy i nakazy zostały przygotowane, podpisane i są wprowadzane po kolei w życie. Choroba jest w Polsce. Liczba zarażonych zmienia się szybko. Teraz wiele zależy od nas samych. Potrzebna jest wielka dyscyplina i odpowiedzialność, a nie szerzenie kłamstw i głupot, m.in. w internecie.

Gdyby wyliczać wszystko, co ludzie robią, jak oddanie pracują, jak narażają się i jak potrzebują wsparcia, to ci internetowi hejterzy może by się ze swoją głupotą i podłością opanowali. Może zaczęliby poważnie myśleć o tym, co się w Polsce dzieje. Oczywiście nie trzeba popadać w panikę – to jest najgorsze. Nie podoba mi się, że pomimo zapewnień rządu o tym, że sklepy spożywcze będą czynne, a jedzenia



**Katarzyna
Łaniewska**

mamy w Polsce dużo, ludzie wpadają w panikę. Może to doświadczenia stanu wojennego? Byle im się mole potem w tym jedzeniu nie zaęgły.

Są też zauważalne zmiany postaw wśród młodzieży. Mieszkam w moim domu ponad 60 lat i jestem chyba jego najstarszą lokatorką. Inni mieszkańcy to głównie młodzi ludzie, którzy wpadają i wypadają, ciągle w biegu. Zazwyczaj zauważali mnie tylko na krótkie „Dzień dobry”. Teraz nawet ci, którzy nigdy do mnie nie zagadali, zatrzymują się i pytają: „Czy trzeba pani w czymś pomóc?”. „Przynieść coś ze sklepu?”. Odpowiadam, że dziękuję, że rodzina mnie zaopatrzyła, ale w takich chwilach

robi mi się niezmiernie miło. Z pewnością, by mi pomogli, gdybym poprosiła, bo ludzie są na ogół życzliwi. Poczułam, że zaczynamy być odpowiedzialni za to, o co nas proszą. Staramy się coś zrobić w dużej, wspólnej sprawie.

Ja w swojej starości myślę sobie: czego mam się bać?! Przeżyłam wojnę, okupację, Powstanie Warszawskie, PRL, zimę stulecia i stan wojenny, to i przeżyję tego ekskluzywnego z nazwy koronawirusa. Niejedna korona już z głowy spadła i świat toczy się dalej. Pod opieką Boga i modlitw, które do niego zanosimy, przeżyjemy i tę koronę, i tego wirusa. 



PZU w walce z koronawirusem

Bezpłatna pomoc telemedyczna dla Polaków, finansowanie sprzętu dla szpitali oraz środków ochronnych dla policji i Straży Granicznej – PZU jest jedną z pierwszych firm, które włączyły się w walkę z koronawirusem. I robi to na olbrzymią skalę. – Wyjątkowa sytuacja wymaga wyjątkowych działań – mówi prezes spółki Beata Kozłowska-Chyła

Największy polski ubezpieczyciel, który w końcu zeszłego roku prowadził kampanię „Możesz na nas polegać”, wobec pandemii koronawirusa stanął przed sprawdzianem swojej społecznej odpowiedzialności. Wychodzi z niego zwycięsko.

– Spieszmy z pomocą zawsze, gdy dzieje się coś złego. Tym bardziej więc nie pozostajemy obojętni wobec tak poważnego zagrożenia, jakim jest koronawirus – podkreśla prezes PZU Życie Aleksandra Agatowska.

NIE TRZEBA WYCHODZIĆ Z DOMU

Jeszcze na początku marca, zanim wykryto w Polsce pierwszy przypadek koronawirusa, PZU Zdrowie uruchomił bezpłatną pomoc telemedyczną dla wszystkich Polaków, nie tylko swoich klientów, którzy w związku z zagrożeniem epidemią niepokoją się o swoje zdrowie. Dziś lekarze PZU Zdrowie co dzień udzielają porad kilkuset osobom – telefonicznie bądź przez połączenia wideo, żeby ci, którzy podejrzewają u siebie zarażenie wirusem, nie narażali siebie ani innych, osobiście odwiedzając przychodnię.

Taka intencja przyświeca też akcji informacyjnej, którą prowadzi PZU, zachęcając, by jego klienci starali się jak najwięcej spraw załatwić na odległość, bez wychodzenia z domu. – Dzięki temu unikną np. podróży komunikacją

miejską i innych sytuacji, które mogłyby ich narażać na kontakt z zarażonymi osobami. Zdrowie jest najważniejsze – podkreśla Beata Kozłowska-Chyła.

PZU namawia do korzystania ze swoich usług za pośrednictwem serwisu internetowego i aplikacji mobilnej mojePZU, formularza na stronie pzu.pl i infolinii, a także kontaktując się telefonicznie i mailowo z licznymi agentami ubezpieczyciela. Firma zwiększyła przepustowość serwisu mojePZU, aby mogło z niego korzystać jednocześnie więcej osób. Wprowadziła również możliwość zawierania przez telefon umów o zarządzanie Pracowniczymi Planami Kapitałowymi.

SZEŚĆ MILIONÓW DLA SZPITALI

Pomoc od PZU ma też finansowy wymiar. Firma przeznaczyła aż 6 mln zł na zakup sprzętu dla szpitali, który posłuży do walki z koronawirusem. – Zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji i rozumiemy związane z nią potrzeby, ponieważ Grupa PZU to nie tylko ubezpieczenia, lecz i jeden z największych operatorów medycznych w Polsce, czyli PZU Zdrowie – mówi Aleksandra Agatowska.

Dodatkowo, dzięki finansowemu wsparciu PZU, do policji i Straży Granicznej trafią kombinezony, maseczki, rękawiczki i środki dezynfekcyjne. – PZU deklaruje: „Możesz na nas po-

Gdzie i jaką pomoc można uzyskać

Serwis i aplikacja mojePZU.pl

- zgłoszenie szkody i roszczenia oraz sprawdzenie ich statusu
- umówienie stacjonarnej wizyty lekarskiej, stacjonarnej bądź telemedycznej
- zakup ubezpieczenia PZU Auto, PZU Dom, PZU Wojażer, NNW Szkolne
- inwestycje

www.pzu.pl

- zgłoszenie szkody i roszczenia – zgłoszenie.pzu.pl
- wezwanie pomocy assistance – pomoc.pzu.pl
- zamówienie wizyty lekarskiej, w tym telekonsultacji

Telefonicznie i mailowo za pośrednictwem agentów PZU

- zakup ubezpieczenia i wznowienie polis
- informacje o ofercie
- informacje o zgłaszaniu szkód i innych kwestiach związanych z obsługą ubezpieczonych

Kontakt do agentów znajdziesz tutaj: www.pzu.pl/kontakt-i-pomoc/znajdz-oddzial-lub-agenta, <https://agentpzu.pl>

Infolinia 801 102 102

- zgłoszenie szkody i roszczenia
- wezwanie pomocy assistance
- zawieranie i przedłużanie umów z PZU SA

SMS wysłany pod numer 4102

- zgłoszenie szkody i uzyskanie informacji o statusie obsługiwanej szkody (treść: „Szkoda”)
- uzyskanie pomocy na drodze, w domu lub w firmie (treść: „Pomoc”)

Infolinia PZU Zdrowie 801 405 905

- umówienie stacjonarnej wizyty lekarskiej lub konsultacji telemedycznej
- wystawianie recept i zwolnień lekarskich w czasie telekonsultacji

ppk.pzu.pl i infolinia 22 640 06 22

- zawieranie umów o zarządzanie PPK

lewać”, dlatego w czasie pandemii nie mieliśmy wątpliwości, że musimy się włączyć w walkę z koronawirusem. Tak powinna działać firma zaangażowana społecznie – podkreśla członek zarządu PZU Życie i inicjator akcji pomocy Dorota Macieja.

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Czy Szumowski sypia?

Nie umiem nie napisać o wirusie, chociaż wszyscy o nim mówią i piszą. A tu z kolei wraca temat niedoli felietonisty. Bo sytuacja zmienia się jak w turbokalejdoskopie i trudno za nią nadążyć. Pewnie zaraz po tym, jak felieton wysłę do redakcji, przybędzie nowych faktów, które warto by skomentować. Ten felieton jest więc z dnia 17 marca, dodam, że do południa.

Zamknięcie mi służy. Mam czas na pracę przy biurku, na pisanie nauki, na internetowy kontakt z seminarzystami, wreszcie i na majsterkowanie, które uwielbiam. Jeżeli do czasu zamknięcia w domu nie byłem zakażony (a nic na to jeszcze nie wskazuje), to się nie zarażę. Dzieci o nas dbają, codziennie na płocie wieszają nam zakupy, zresztą niewielkie, nikt nas nie odwiedza. Czyli w miarę bezpiecznie.

Wróciłem do śledzenia mediów, którymi ostatnio się zwyczajnie brzydziłem. No to komentuję. Czy Szumowski, Morawiecki, Duda w ogóle sypią? Wszak widać, że pracują na okrągło i bez wytchnienia. Rzetelnie i wyczerpująco informują Polaków o przebiegu epidemii, tworzą prawa na okres zarazy i codziennie potwierdzają, że swego czasu przy urnach dokonaliśmy słusznego wyboru. A że młodsi ode mnie, to pozwolę sobie na okrzyk: „Brawo, chłopaki!”. Uważam, że papież Franciszek powinien dać im polecenie: „Spać co najmniej siedem godzin na dobę!”. Przecież idzie o sen w interesie nas wszystkich.

Ale moja wyobraźnia cały czas mnie dotkliwie testuje. I wyobrażam sobie tę epidemię pod dowództwem Kidawy jako prezydenta, Budki jako premiera i Arłukowicza jako ministra zdrowia. I te wyobrażenia są tak czarne, że sadza jest przy nich niemal biała jak śnieg. Ich pomysły, komentarze i komiczne wystąpienia powodują, że nie mogę ich sobie wyobrazić nawet jako podkuchennych u premiera czy prezydenta. Jak na dłoni widać, że zupełnie nie mają pomysłu na wirusa ani na Polskę w ogóle. Mają go tylko na siebie. Bardzo chore ambicje, bardzo małych ludzi. Nawet w pełnym słońcu zdają się nie rzucać cienia.

Na obrzeżach epidemii i przeogromnej pracy rządu, na marginesie naszej manifestacyjnej wręcz dyscypliny i solidarności, na przedpolach zarazy uruchamiają się i ożywiają insekty, zwykłe gnidy. Oto w programie Meller dyskusję o epidemii ograniczono do krytyki Kościoła. Cztery mózgi, które po złożeniu miałyby wielkość mózgu małpki, na czele z prowadzącym, wykazały się nie tylko nienawiścią i chrystofobią, lecz nade wszystko kompletną ignorancją. A podstarzały, długowłosy



**Aleksander
Nalaskowski**

*Oni codziennie potwierdzają,
że przy urnach dokonaliśmy
słusznego wyboru. A że młodsi
ode mnie, to pozwolę sobie
na okrzyk: „Brawo, chłopaki!”*

hipis, absolutna ikona „warszafki”, mówił z uporem „pan Gądecki”, na co Meller (też specjalista od Kościoła, był jednak naczelnym „Playboya”) zupełnie nie reagował. Tym razem (ale i wiele razy wcześniej) „Drugie śniadanie mistrzów” sprowadziło się do rozmowy pomywaczy sprzątających po konsumpcji.

Tyle bezczelna, ile cwana, kuta na cztery nogi Iwona Hartwich – to oczywiście moja subiektywna ocena, dodam asekuranko – nieodrodną uczennica Scheuring-Wielgus, nie tylko zniesła wyla prezydenta i lekarza z Garwolina, lecz gdy jej to udowodniono, nie zdobyła się na przeprosiny. Ale czego wymagać od osoby o mentalności i języku kramarki z bazaru? Kultury? To tak jakby od Jońskiego wymagać znajomości histo-

rii albo od ośla arii operowych. Kiedyś nieheteronormatywność dała mandat jednemu bubkowi do grasowania w przestrzeni publicznej. Teraz taką przepustką stało się nasze swojskie, mówiące fatalną polszczyzną, do bólu szpetne chamstwo. Zwykle knajactwo i menelskie ambicje.

Mając na uwadze pracę, jaką wykonuje rząd i prezydent, a jednocześnie odnotowując wszystkie fake newsy, hejty i celowe kłamstwa, którymi co jakiś czas raczą nas osoby publiczne, i biorąc pod uwagę nadzwyczajność sy-

tuationi, w której przechodzimy ciężką próbę, postuluję: 1. Powołać specjalną komórkę rejestrującą wypowiedzi kłamliwe, oszczercze i znieważające wybrane w demokratycznych wyborach władze. A następnie, gdy to wszystko już się skończy, zmontowanie z nich filmu dokumentalnego, emitowanego tak często i wszędzie tam, gdzie się da. Nawet w formie płatnych reklam. Jakkolwiek, byle często. 2. Ustanowić prawo, które w trybie doraźnym będzie karało (wyłącznie grzywną egzekwowaną komorniczo) autorów takich kłamstw, jakich dopuściła się frau Hartwich i inne woły przy polskiej karecie. Jeśli walczyć z wirusem, to każdym, wszędzie i zawsze, a nade wszystko konsekwentnie.

Chciałem jeszcze napisać o wydmuszce, jaką okazała się obecna Unia Europejsko, o pozorach, z którymi zaciekle walczy, i konkretach, których całkowicie nie zauważa. Bo przecież najważniejsza dla Rumunów, Niemców czy Holendrów jest polska praworządność, a nie tysiące zmarłych w koronie Włochów, Francuzów czy Hiszpanów. Ale kończy mi się miejsce. I pointa: najtragiczniejsze dla tego kabaretu Pod Budką jest to, że nijak nie da się o rozsiewanie koronawirusa oskarżyć Kaczora. No nijak... Nikt nie ma pomysłu.

PRZESWIETLIK

Z kamasy

Stan wyjątkowy albo najlepiej jakiś stan wojenny. To chyba największe marzenie polskiej opozycji, szczególnie tej spod znaku Koalicji Obywatelskiej. Ależ by było. Skargi do Komisji Europejskiej, że rząd PiS pod płaszczykiem walki z koronawirusem likwiduje demokrację. Przecież szacowne gremium europejskie już nas zdążyło skrytykować za zamykanie granic. Tylko po to, by kilka dni później zalecić to samo innym.

Na razie stanu wyjątkowego, wojennego, wojska na ulicy, kar za niewychodzenie z domu nie ma. Otóż okazało się, że ten anarchiczny tępy motloch, czyli my, zachował się w sposób najbardziej zdyscyplinowany i racjonalny w Europie. Przecież jesteśmy tak ogłupieni klerem, tak anarchiczni, a zarazem tak niedorośli do demokracji. Wokoło nas unosi się irracjonalny zapach kruchty kościelnej i „propagandy rządowych mediów”.

Tyle gorzkich słów poświęciły nam salonorosłe autorytety socjologiczne w rodzaju Madame Jandy czy Stuhra juniora. Tyle było publicystyki, apeli, wskazywania, że nie dorośliśmy, żeśmy głupi wschodnioeuropejski ludek, który dla naszego dobra zacni cywilizatorzy z Zachodu muszą wziąć za twarz. Że jesteśmy genetycznie niedorośli Mitteleuropą.

A tu niewymuszona dyscyplina. Nie trzeba ludzi zaganiać do aresztów domowych, jak w Hiszpanii czy Francji. Sami się pilnują. Zrobili zapasy, ale też nie dali się zwariować. Ufają swojemu państwu, a rząd tego państwa im, bo nie oszukujemy się, bez gigantycznego wzajemnego zaufania cały trud tria Mo-

rawiecki, Szumowski i Kamiński byłby parą w gwizdek. Jak to wytłumaczyć, co z tym zrobić? Już podpowiadam, pani Krystyno, pani Agnieszko, panie Tomku (zdrowia – tak przy okazji). Polaków PiS nie musi już do niczego zmuszać. Braki w wykształceniu, brak dostatecznie wysokich funduszy na działalność opozycji i prasy „demokratycznej”, brak sankcji ekonomicznych sprawiły, że kupieni za 500+ wolą kosztem ochrony jakiś kilku, może kilkudziesięciu tysięcy istnieć ludzkich wyrzec się wspólnych europejskich wartości. Może być? Jak nie, to zapewne ekscesarz Europy wymyśli coś jeszcze bardziej odlotowego.

Na pocieszenie zawsze zostanie mu grono bohaterów, którzy już w momencie ogłoszenia stanu zagrożenia epidemicznego wędrowali jak co wieczór z trąbkami i bojowymi pieśniami wokoło gmachu TVP na warszawskim placu Powstańców. Tym bohaterom niestraszy ani własny los, bo przecież większość jest w grupie wiekowej dużego zagrożenia, ani innych. To wasza przyszłość.

Wiktor Świetlik

REKLAMA

Radio Wnet
na całym świecie
WWW.WNET.FM



6/6/2020/F

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**

TRENDY I OWĘDY

Nie rozklekotać się

*Nasza codzienność
rozsyłała się
szokująco nagle*

Epidemia zaaplikowała nam realia znane do tej pory z kina. Można powiedzieć, że filmowcy wykrakali. Tyle razy podpowiadali wirusom, że te mogą zniszczyć ludzkość, że wreszcie wredne mikroskopijne stworki ruszyły niewidzialną armią. W fikcji były to ataki kosmitów czy szarlatani wymachujący próbówką. W obecnej wersji nie wiemy, skąd się koronawirus wziął. Wuhan! Jednak Instytut Wirusologii w tym mieście zaprzecza zarzutom i nazwaje plotkami. Trop wiodący do targu owoców morza Huanan w Wuhanie też okazał się niepewny. Wieści, że ktoś zeżarł nietoperza i od tego się zaczęło, nie przekonują. Jeśli są tam smakosze pierwowzorów Batmana, to muszą takie dania kosztować od dawna.

Co gorsze, nie wiadomo, ile stan zdroworozsądkowych aresztów domowych potrwa. Znak zapytania „co dalej?” ma coraz większe gabaryty. Nie trzeba być wybitnym znawcą globalnych finansów, żeby zdawać sobie sprawę z konsekwencji zbiorowej kwarantanny. I tu prośba do rodzimych speców „od buraków i od świata”, by nie epatowali ochotczo czarnymi wizjami udokumentowanymi danymi z sufitu. Sytuacja, jaka jest, każdy widzi. I jeśli ktoś chce błysnąć geniuszem, niech podpowie, co należy robić, żeby skutki kryzysu zminimalizować.

Co do mojej osoby, uważam, że najważniejsze to nie dać się rozklekotać. Nawet w chwili zbiorowego zagrożenia są tacy, którzy usilnie kolebią naszą łajbą. Moją zasadą od zawsze było: robić to, na co mam wpływ, i nie przejmować się tym, na co wpływu nie mam. I przy tym pozostanę.



**Ryszard
Makowski**

Michał Korsun prezentuje: **KoronaBorys**



Wycinki z przeszłości

Ilu nas jest? Jacy jesteśmy? Ile i czego spożywamy? Tego typu dane statystyczne budzą zainteresowanie dziś, budziły i dawniej. Oto „Rocznik Gebethnera i Wolffa. Kalendarz encyklopedyczno-praktyczny” na rok 1912 przytacza kilka informacji o ówczesnej Warszawie. Na ilustracji obok statystyka wyznaniowa. A poza tym?

„Warszawa liczy ogółem 781 179 mieszkańców, w tej liczbie 366 057 mężczyzn i resztę kobiet.

W 500 istniejących w mieście fabrykach pracuje 32 398 robotników, obrót roczny tych fabryk przedstawia wartość 74 688 900 rubli.

Największą ilość rąk zatrudnia rzemiosło szewskie.

Z dwóch jarmarków urządzanych w Warszawie obrót jarmarku na wełnę sięga 587 960 rubli, a jarmarku na chmiel 24 470 rubli.

Mieszkańcy spożywają w ciągu roku 39 677 wołów, 63 865 cieląt i 163 429 baranów”.

Dziś liczbę mieszkańców stolicy ocenia się na ok. 2 mln, ale niektóre szacunki są jeszcze wyższe.

(mk)



I kiedy wiosna znowu, ta oto...

Zbigniew Herbert
1924–1998



Do rzeki

Leszek Długosz

*Rzeko – klepsydro wody przenośnio wieczności
wstępuję w ciebie coraz bardziej inny
że mógłbym być obłokiem rybą albo skałą
a ty jesteś niezmienna jak zegar co mierzy
metamorfozy ciała i upadki ducha
powolny rozkład tkanek i miłości*

*ja urodzony z gliny
chcę być twoim uczniem
i poznać źródło olimpijskie serce
chłodna pochodnio szumiąca kolumno
opoko mojej wiary i rozpacz*

*naucz mnie rzeko uporu i trwania
abym zasłużył w ostatniej godzinie
na odpoczynek w cieniu wielkiej delty
w świętym trójkącie początku i końca*

Tren

Pamięci Matki

*A teraz ma nad głowę brązowe chmury korzeni
wysmukłą lilij soli na skroniach paciorki piasku
i płynie na dzień łodzi przez spienione mgławice
o milę dalej od nas tam gdzie rzeka zakręca
widoczna – niewidoczna – jak światło na fali
naprawdę nie jest inna – opuszczona jak wszyscy*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Dziewięć przestróg socjologów na niepewność



Budowaliśmy świat bez granic. Ten kryzys woła: nie zapominajmy, że „granica” to jedna z podstawowych wartości w ludzkim świecie

Pandemia śmiertelnej choroby okazała się iskrą zapalną tak wielu nieprzewidywalnych, równolegle biegnących procesów, że nawet najbardziej racjonalne analizy, modele i prognozy pozostają bezradne w obliczu metafizycznej trwogi. Amerykański psycholog Robert Epstein twierdzi, że to nie COVID-19 rozwala świat. To niepewność, jaką ten wirus ze sobą przyniósł, dzierży niszczycielski potencjał.

Jako istoty społeczne podbiliśmy i okiełznaliśmy świat – tak nam się zdawało. Dzięki nauce i technice nadaliśmy mu ramy, w których funkcjonują gospodarka, polityka, kultura. A teraz wirus, którego nawet gołym okiem nie widać, przyniósł globalny wstrząs, jaki jeszcze niedawno bardzo trudno było sobie wyobrazić.

Kluczowym wyzwaniem, nadal słabo rozpoznanym, jest to, że liczba uruchomionych procesów dostosowawczych – izolacja społeczna, pakiety osłonowe dla gospodarki, stan wyjątkowy w relacjach międzynarodowych, zmiany re-

gul gry społecznej – może przekroczyć możliwości adaptacyjne systemu społecznego. Co to znaczy?

Nie tylko służba zdrowia, policja, komunikacja publiczna, system finansowy, infrastruktura etc. nie będą w stanie dostarczać usług na takim poziomie, do jakiego się przyzwyczailiśmy. Zburzeń nie unikniemy, ale możemy je złagodzić, niejako uczłowieczyć.

By pokonać kryzys, każdy człowiek – ale też każda organizacja – musi dokonać poważnej redukcji złożoności swojej egzystencji w świecie. Naszym zdaniem może w tym pomóc przemysłowanie dziewięciu przestróg, które tu przedkładamy.

1. Natura człowieka istnieje. Wbrew rojeniom części lewicowych ideologów o nieograniczenie plastycznej i wolnej jednostce, tak jest. Człowiek to istota ograniczona. Nie jest możliwy ludzki świat bez konfliktów i nierówności, możemy jednak je łagodzić.
2. Istnieją siły, w obliczu których nadal – mimo całego postępu nauki i techniki – jesteśmy bezradni. Nawet jeśli będzie szczepionka, to potrzeba czasu, by stała się powszechna i wielu może umrzeć. Ale pamiętajmy: już mamy lek na lęk! To wsparcie wspólnoty, która wierzy w swoje wartości.
3. Społeczeństwo, kultura, gospodarka to systemy naczyń połączonych. Destabilizacja jednego z nich wpływa na pozostałe. To wiemy, ale nie do końca wiemy, jak to dokładnie działa. Systemowa natura rzeczywistości społecznej stale rodzi zjawisko nieprzewidywanych konsekwencji. Wskazówka nie tylko dla władzy: każde złożone działanie musi uwzględniać plan „B”.
4. Globalizacja nadmiarowo powiązała ze sobą różne części świata. Kaliber

nieprzewidywanych konsekwencji rośnie proporcjonalnie do złożoności i różnorodności życia społecznego. Budowaliśmy świat bez granic. Ten kryzys woła: nie zapominajmy, że „granica” to jedna z podstawowych wartości w ludzkim świecie.

5. Procesy dostosowawcze wymagają czasu. W ogromnej mierze (i nie da się tego uniknąć) dzieje się to metodą prób i błędów, które słono kosztują. Będziemy płacić nie tylko pieniędzmi, ale też naszymi marzeniami i cierpieniami duchowymi.
6. Nie wszystko, do czego się przyzwyczailiśmy, jest nam naprawdę potrzebne. W wielu krajach niemal powszechny dobrobyt doprowadził do paradoksalnego kryzysu nadmiaru. Pora na rewizję naszych własnych potrzeb.
7. Jeszcze bardziej niż dotąd obowiązuje zasada: nie wiemy, ile nie wiemy! Nie ludźmy się, że algorytmy, inteligentne maszyny, automaty rozwiążą nasze problemy. Coraz częściej nawet nie rozumiemy zasad ich działania. Poważnie zastanówmy się, czy wreszcie nie nadszedł czas na spowolnienie technologiczne?
8. Mówią, że skończył się świat, jaki znamy. Spójrzmy na to inaczej. Nasz słownik ma sporo zapomnianych pojęć: odpowiedzialność, powinność, samokontrola. Dajmy im nowe życie.
9. Wróćmy do praktykowania starych cnót. Pokory – bez której nie rozumiemy ani świata, ani siebie. Męstwa – niezbędnego, by powinności czynić wbrew przeszkodom. Oraz wyrozumiałości – złagodzi ona codzienną „nieznomość” innych, w tym bliskich.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

1%

Wierzymy, że warto pomagać

indywidualnie, **rodzinnie, zawsze**

JEDENPROCENT.CARITAS.PL



Przekaż 1% podatku dla Caritas Polska

WPISZ W FORMULARZU PIT NUMER **KRS 0000198645**

Wyjazdy wakacyjne dla dzieci, opieka nad osobami starszymi i samotnymi, świetlice socjoterapeutyczne, noclegownie, punkty żywieniowe, ośrodki rehabilitacyjne czy domy opieki to tylko część działań, które prowadzimy na co dzień.

Więcej informacji, rezultaty działań, formularze w wersji on-line i do pobrania znajdują się na stronie: **jedenprocent.caritas.pl**





DRAPIEŻNIKU,

POCZUJ DRESZCZYK NOWOŚCI!



DRAPIEŻNICY KOCHAJĄ

